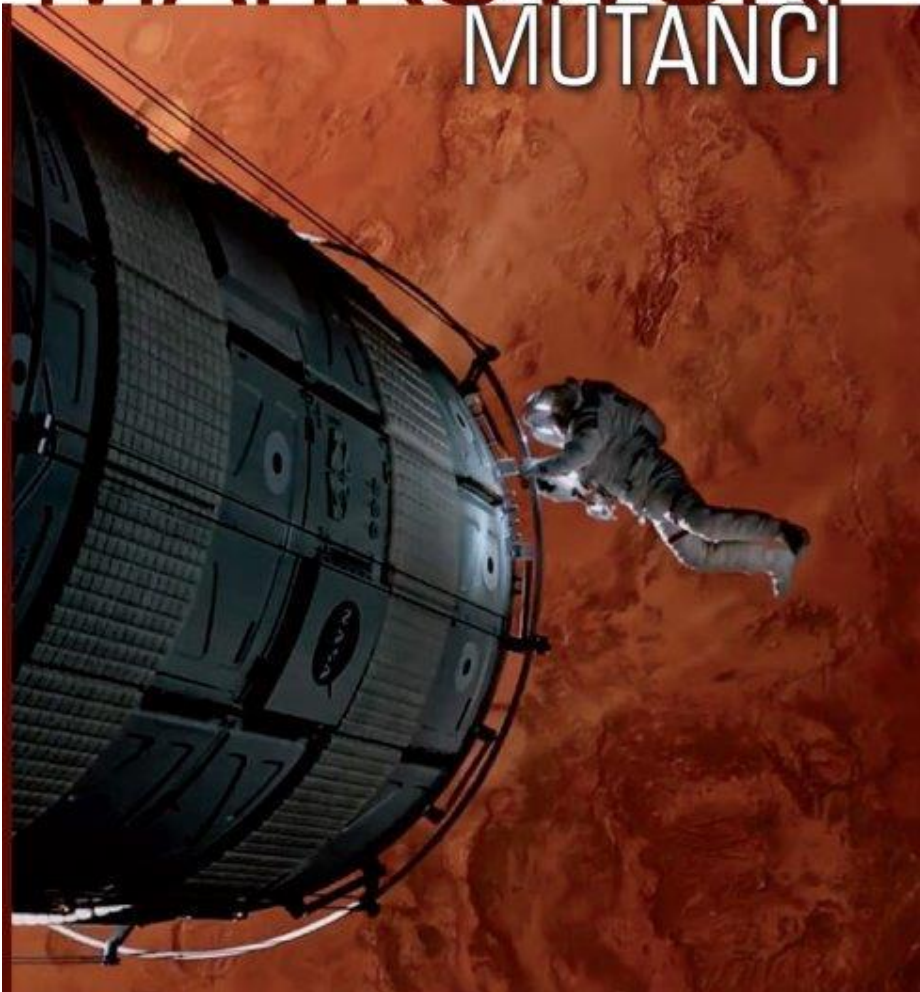


ARCHIWUM POLSKIEJ FANTASTYKI

Tadeusz

MARKOWSKI MUTANCI



TADEUSZ MARKOWSKI

Mutanci

Kobieta wpatrywała się jak urzeczona w metaliczną plakietkę Sił Zbrojnych Układu Słonecznego, której pięć autentycznych diamentów, wieńczących złotą spiralę odznaki pilota, hipnotyzowało jej wzrok od dwóch godzin. Tyle trwała znajomość z jej posiadaczem, który z niezmaconym spokojem i żelazną konsekwencją upijał się zawartością historycznych butelek Veuve Cliquot.

W tym czasie zdążyła dowiedzieć się, że jej rozmówca ma na imię Pet i że właśnie wrócił na Ziemię. To wyjaśniło jego rozrzutność i niefrasobliwość w najdroższym lokalu Genewy. Pet poinformował również, że zachwycony jest jej strojem, który składał się z obcisłych szortów i czegoś, co przysłaniało prawą pierś, wystawiając lewą na żer koneserów. W Jaskini jednak znajdowali się wyłącznie koneserzy. Fakt, że byli zbławizowani nadmiarem pieniędzy i wolnego czasu w niczym nie zmniejszał ich znajomości pięknego kobiecego ciała.

Pet tymczasem objął ją lewą ręką, pozostawiając prawą do obsługi kieliszka i butelki. Delikatnie wodził palcem po jej sutce, która nabrzmiwała za każdym razem pod jego uważnym i krytycznym wzrokiem.

- Cudowne - mruknął, powtarzając tę operację po raz kolejny. - Nie mogę się upić - dodał nagle, kiwając ze smutkiem głową. Kobieta nie zareagowała, mimo że nawet w Jaskini jego zachowanie było co najmniej ekstrawaganckie. Pilotom jednak uchodziło prawie wszystko. Po powrocie z dalekiego rejsu, kiedy ich konta były nabrzmięte odsetkami uchodziło wszystko, a nawet jeszcze więcej.

- Jak się nazywasz? - zapytał przypominając sobie nagle o konwenansach.

- Judith.

- A dalej?

- Nazywaj mnie Judith z Genewy - odparła z zalotnym uśmiechem.

- Kelner! Jeszcze raz to samo - zawołał na całą salę nie przejmując się zupełnie, czy go ktoś usłyszy. W tym jednym z

nielicznych lokali z autentycznymi kelnerami obsługa zawsze słyszała zamówienia. Jak to robili, stanowiło ich słodką tajemnicę i nikt z gości specjalnie się tym nie przejmował.

- Teraz pójdziemy się kochać, moja piękna z Genewy.

Wstał i bez słowa pociągnął ją za rękę w stronę gościnnych pokoi Jaskini, które o wiele bardziej związane były z nazwą lokalu niż jego główna sala. Dziewczyna nie opierała się, ale też nie wykazywała specjalnego entuzjazmu.

Nie zwracała najmniejszej uwagi na mgliste spojrzenia mężczyzn, choć rzucane spod oka iskry zazdrości innych kobiet wywoływały na jej twarzy cień lekceważącego uśmiechu. Jej czekoladowa skóra nie wyróżniała się specjalnie kolorem od innych. Pet był jednak biały i na dodatek był pilotem. Żadna kobieta nie mogła więc przejść obok niego obojętnie, a już z pewnością nie mogła ukryć zazdrości wobec takiego sukcesu innej kobiety. Tym bardziej, że te inne kobiety zawsze posiadają tyle wad, których nie są w stanie zauważyć zaślepieni mężczyźni. Pet nieświadom tych spojrzeń ani uczuć, jakie im towarzyszyły kroczył prawie równym krokiem do jednego z pokoi gościnnych. Po drodze zgarnął sprawnym ruchem butelkę szampana z tacy przechodzącego kelnera, co wywołało krótkotrwały protest ze strony niedoszłego właściciela, który jednak szybko zorientował się, że ma do czynienia z pilotem. Nie znaczyło to, że piloci byli zabijakami, czy czymś w tym rodzaju. Po prostu zwyczajowo wolno było im wiele. A ten akurat wyczyn należało potraktować jako żart.

Kiedy skończyli się kochać, dziewczyna położyła głowę na ramieniu Peta i delikatnie wodziła ręką po jego piersi. Pet sprawiał wrażenie nieobecnego. Dziewczyna podniosła się nieco na łokciu i włączyła ekran ściennego telewizora. Akurat nadawano wiadomości. - Jak dowiaduje się nasz wysłannik - mówił spiker podnieconym głosem - na kosmodromie australijskim wylądowała wyprawa powracająca z Deneba. Ich statek, Archimedes, uległ poważnym uszkodzeniom i załoga po-

niosła duże straty. Wracali ciągiem awaryjnym przez ostatnie siedem lat.

Wśród powracających znajduje się także profesor Alfred Hildor, znany przed laty jako ojciec mutantów. Na razie brak bliższych szczegółów o wyprawie.

Prezydent Federacji Ziemi, Alonso Borisov, gościł dzisiaj na kontynencie afrykańskim. Towarzyszyli mu...

Obraz zniknął wyłączony wolnym ruchem Peta.

- Zawiodłaś się na pilociku? - zapytał, nie otwierając oczu.

Dziewczyna spojrzała na niego uważnie. Jego ton, mimo, że wciąż wyraźnie przesączony alkoholem stał się jakby poważniejszy.

- Byłeś tam? - zapytała, kładąc ponownie głowę na jego piersi.

- Nie.

- Skąd wracasz?

- Już wróciłem - odparł, obejmując ją ramieniem.

- Ale skąd?

- Ze szkoły - mruknął, całując ją.

- Kłamiesz!

Dziewczyna wyswobodziła się z objęć i usiadła mu na brzuchu.

- Chcę wiedzieć gdzie byłeś? - powtórzyła.

- Naprawdę ze szkoły - odparł wpatrując się z uznaniem w jej kształty. - Nigdy nie kłamię. Wydawało mi się, że byłem w szkole. Musiałem za dużo wypić.

Rysy dziewczyny stwardniały. Znikła wszelka kokieteria. Teraz wpatrywała się w niego dorosła kobieta, która go nienawidziła.

- Czy wszyscy biali muszą być tacy sami? - syknęła przez zęby.

- Nienawidzę was chwilami - dodała zeskakując zgrabnie na ziemię.

Pet przypatrywał się jej w milczeniu przez cały czas, kiedy się ubierała.

Żegnaj piękna z Genewy - odezwał się wreszcie - było mi z tobą bardzo dobrze. Jeżeli zechcesz mnie kiedyś odwiedzić, to adres znajdziesz u portiera. Często odwożą mnie do domu.

Dziewczyna spojrzała na niego z nienawiścią i wyszła nie zamykając za sobą drzwi. Pet nie ruszał się z łóżka.

Leżał tak z kwadrans, zanim wreszcie usłyszał kobiecy głos, który z wyraźnym zaniepokojeniem pytał:

- Czy coś się stało?

- Wejdz, jeśli masz ochotę - odparł nie patrząc. - Kimkolwiek jesteś.

* * *

Piękna mulatka wyszła z Jaskini, udając że nie dostrzega złośliwych spojrzeń, jakimi odprowadzały ją kobiety. Wsiadła do zaparkowanego przed lokalem śmigacza i ruszyła ze świstem sprężonego powietrza, wydostającego się spod fartuchów. Był to najnowszy model poduszkowca wprowadzony do sprzedaży zaledwie przed dwoma miesiącami. Dziewczyna wyłączyła automatycznego pilota i sama przejęła sterowanie, co było surowo wzbronione w mieście.

Trzy kilometry za nią poruszał się dokładnie tą samą drogą mniejszy śmigacz, model 3354. Siedziało w nim dwóch mężczyzn o wyglądzie zdradzającym od razu ich zawód. Tajniacy przez wszystkie wieki od czasu wynalezienia tej instytucji nie nauczyli się stapiać z przeciętnymi ludźmi. Może dlatego, że trzeba było być bardzo przeciętnym, żeby zaciągnąć się do tej służby. W tym jednak przypadku nie przeszkadzało to nikomu, jako że obaj śledzili wskazania automatycznego nadajnika zamontowanego potajemnie w samochodzie dziewczyny. Całą robotę odwalał za nich ich automat sterujący pojazdem.

- No i zaliczyła pilocika - mruknął ten, który siedział za kierownicą.

- Coś jej nie wyszło - odparł drugi, parszkając przy tym skrywanym śmiechem. - I tak będzie miała co opowiadać przyjaciółkom.

- Sam bym ją zaliczył - odparł jego towarzysz z rozmarzeniem w głosie.

- Widziałeś jej śmigacz? - zapytał drugi, pozornie bez związku.

- Ciebie też nie stać.

- Poczekam, aż szef każe nam zwinąć to towarzystwo. Jego towarzysz spojrział na niego spod oka, w którym błysnął cień zrozumienia.

- Wiesz, że to zakazane?

- Po prostu dam pełną swobodę swoim Wolnym Genom - odparł drugi, śmiejąc się przy tym jak głupi.

- Jesteś kawał sukinsyna - stwierdził jego towarzysz z wyraźnym uznaniem.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Każdy z nich pograżył się w rozmyślaniach nad sposobem zaliczenia swojej klientki bez naruszenia regulaminu. Jako dobrzy tajniacy nie robili sobie złudzeń, co do możliwości zdobycia jej normalną drogą.

Śledzony śmigacz zatrzymał się nagle koło luksusowej rezydencji w okolicy jeziora. Śledzący zwolnili nieco i jeden z nich przejął kierowanie pojazdem. Powoli przejechali obok luksusowego śmigacza udając, że nie zagląдают do wnętrza.

- Stój - zawołał nagle siedzący obok kierowcy. - Uciekła, cholera.

Pojazd zatrzymał się gwałtownie bokiem, tarasując przejazd. Obaj mężczyźni wyskoczyli na ulicę i pobiegli do nagle opustoszałego poduszkowca. Po dziewczynie nie było nawet śladu.

Jeden z nich podniósł do ust mały nadajnik.

- Patrol jeden dwa alfa do kwatery głównej. Priorytet zero. Obiekt zniknął w kwadracie delta osiem. Zgodnie z poleceniem Brytan zalecamy natychmiastowe poszukiwania obiektu. Odnaleźć i kontynuować obserwację.

Następnie obaj siedzieli w ponurym milczeniu, oczekując przybycia ekipy śledczej.

* * *

Cherlawe chaty rezerwatu afrykańskiego w pobliżu Kongo dziwnym trafem wytrzymały strugi tropikalnego deszczu, który rozmył już wszystkie drogi dojazdowe i zamienił okolice w bagno. Rezerwat był utrzymywany przez Federację Afrykańską jako atrakcja turystyczna. Tak brzmiała oficjalna wersja. W rzeczywistości, w okolicznych lasach można było spotkać wszelkiego rodzaju bandy odszczepieńców, które odrzucały dobrodziejstwa cywilizacji technicznej i żyły dokładnie według zaleceń ich dalekich przodków. Rząd Federacji z siebie tylko wiadomych względów udawał, że nic o tym nie wie.

Kongo III, bo tak nazywała się ta zbieranina bambusowych budowli, leżało w samym sercu rezerwatu i składało się z czterdziestu ośmiu chat zamieszkałych głównie przez murzynów afrykańskich i hindusów. Aktualnym szefem wioski, w wyniku czterodniowych walk na noże, został ponury murzyn, dwa metry dziewięć wzrostu, o twarzy pooranej bliznami, których nigdy nie chciał usunąć operacyjnie i dłoniach wielkości stóp słonia, które potrafiły być równie delikatne, jak ręce chirurga lub łamać inne ręce z niesamowitą precyzją. Zawsze w dwóch miejscach, co z czasem stało się jego podpisem równie wiarygodnym jak każdy inny. Na imię miał Han i nikt, nawet szef federalnej policji nie znał jego nazwiska. W zależności od sytuacji potrafił być inteligentny i miły, lub głupi i brutalny. Humory nachodziły go z różną częstotliwością, ale w czasie takiej pogody jak tego dnia, nikt nie odważyłby się wejść bez zaproszenia do jego chaty, stojącej dokładnie w środku wioski. Pomieszczenie to było wyraźnie większe niż pozostałe budowle i posiadało aż dwie izby, co stanowiło wymowny wyróżnik w tych okolicach. Jedna izba służyła za jadalnię, salę

przyjęć i pokój bawialny. Druga była sypialnią urządzoną ze starowschodnim przepychem. Całą powierzchnię zajmowało wielkie łóże przykryte zawieszonym pod sufitem baldachimem w kolorze przezroczystego błękitu. Przykryte było narzutą ze skór lamparcich lub raczej z ich imitacji, bo zwierzęta te spotkać było równie trudno, co samotnych turystów z innych krajów Federacji Ziemi. W tych okolicach nic nie było jednak pewne. Białe poduszki rozrzucone wzdłuż ścian mile kontrastowały z pozostałymi kolorami, ale trudno było mówić o jakimś szczególnym wyrafinowaniu w smaku ich właściciela. Na łóżku leżała w niedbałej pozie biała kobieta o kruczych włosach rozrzuconych bezwładnie za głową, o pięknych rysach, wyraźnie skażonych perwersją przebijającą z jej zielonych oczu. Kobieta była wspaniale zbudowana. Musiała mieć około metra osiemdziesięciu wzrostu, choć leżąc wydawała się niższa. Klasycznie długie nogi przechodziły płynnie w biodra mogące niejednego mężczyznę doprowadzić do szaleństwa. Płaski brzuch lekko falował wprawiając w drżenie piersi równie doskonałe co reszta ciała. W przeciwieństwie do innych wysokich kobiet, jej piersi były duże, i pełne i mimo niedbałej pozy ich właścicielki prawie wcale się nie odkształciły. To falowanie zostało wywołane przez równie wspaniałą mulatkę, która bezwstydnie klęcząc tyłem do wejścia ofiarowała wchodzącym widok swoich bioder i ud w pozie, która dawnych mieszkańców tych obszarów doprowadzała do szału pożądania. Jej usta zajęte były całowaniem białych ud partnerki. Smutna hinduska, o wiele niższa niż obie pozostałe kobiety, zadowalała się wodzeniem dłońmi o niespotykane długich palcach po ciałach obu koleżanek. Robiła to jednak ze znanstwem świadczącym o doprowadzonej do rutyny wirtuozerii. Żadna z kobiet nie wydawała z siebie żadnego dźwięku, jakby wszystkie były niemowami. Ta cisza czyniła tę scenę w jakiś niewytłumaczalny sposób odartą z czegokolwiek ludzkiego, jeśli nie liczyć trzech wspaniałych powłok cielesnych, które brały w niej udział.

Han wstał nagle od stołu, przy którym dotąd siedział pijąc biber pędzony z okolicznych roślin i ruszył w stronę sypialni, jak człowiek, który podjął ciężką, ale nieuchronną decyzję. Nawet alkohol nie zniszczył kociej miękkości ruchów nabytej w genach przodków. Było w nim coś pięknego i straszego, coś, co kazało tym wszystkim straceńcom tworzącym jego lud bać się go i podziwiać. Stanął na progu sypialni i przez chwilę kontemplował dziejącą się tam scenkę. Jego nagie ciało zaczęło wkrótce odpowiadać na ten widok, przed którym musiał ulec każdy normalny samiec. A przecież jego nienormalność była zupełnie innej natury. Jeszcze chwilę wybierał w milczeniu swoją ofiarę, by wreszcie zdecydować się na mulatkę. Nie zdążył się jednak zbliżyć do niej. W izbie nic się właściwie nie zmieniło. Tyle, że mulatka wyprostowała się i odwróciła głowę w jego stronę, przyglądając mu się obojętnie. Hinduska nie przestała pieścić piersi swej białej partnerki, która nie otworzyła nawet oczu, jakby widziała wszystko nie patrząc. Han natomiast padł na kolana pod wpływem niewidzialnej siły usiłując krzyknąć coś, co sądząc po nienawiści bijącej z jego oczu musiało odnosić się do białej kobiety. Mulatka natomiast wstała z równie murzyńską gracją i podeszła do niego, jakby kierowana niesłyszalnym rozkazem. Delikatnie przywiązała obie dłonie do otworów w murze, które uwięziły mężczyznę w pozycji klęczącej. Spojrzała pytająco na białą towarzyszkę i sięgnęła po ukryty pod jedną z poduszek pejcz, którym poczęła smagać murzyna z automatyczną miarowością. Kiedy wreszcie Han zaczął krzyczeć przestała go bić i rzuciła niedbale pejcz na łóżko.

Han zawisł bezwładnie na uwięzionych rękach. Wyglądał jak żywa wizja murzyńskiego Jezusa. Mulatka natomiast powróciła do poprzednio wykonywanej czynności nie poświęcając mu już najmniejszej uwagi. Biała kobieta uśmiechnęła się przez zamknięte powieki i delikatnie oddała jej pieśczętę swoją wypielęgnowaną ręką.

Han ocknął się wreszcie z omdlenia i patrząc z nienawiścią na leżące przed nim kobiety wychrypiął z trudem przez obolałe wargi:

- Zabiję cię, Anno Bor. Kiedyś cię wreszcie zabiję.

Nie było w jego słowach nienawiści. Wprost przeciwnie, wypowiedział swoją groźbę spokojnym tonem człowieka, który oznajmia rzecz dawno i nieodwołalnie postanowioną. Ta niesamowicie rzeczowa groźba powinna przyprawić jej adresata o czysty strach.

W pokoju jednak nic się nie zmieniło. Jedyłą odpowiedzią na jego słowa był głośny jęk rozkoszy, który wyrwał się wreszcie z ust białej kobiety pod wpływem działań jej partnerek. Tak się przynajmniej mogło wydawać, patrząc na wygięte w spazmie ciało.

Anna Bor, cybernetyk i pilot V Wyprawy na Proximę, od trzech lat na urlopie wypoczynkowym po powrocie na Ziemię, nie raz już zaskakiwała wszystkich. Han nie był pierwszym. Byli przed nim lepsi od niego i tacy, którym to się tylko wydawało. Niektórzy mieli się o tym przekonać za późno. Pilotom jednak uchodziło wiele. Niektórzy sądzili, że zbyt wiele i to stanowiło jedną z przyczyn pobytu Anny w tym zapadłym zakątku Afryki. Błąd Hana polegał na tym, że nie miał o tym zielonego pojęcia.

* * *

Alfred Hildor skończył roczny urlop po powrocie z Deneba. Z chęcią wylegiwałby się jeszcze w Australii, ale ostatnie informacje nadchodzące z Genewy były na tyle niepokojące, że zdecydował się na powrót. Ktoś wyciągnął jego stare eksperymenty genetyczne sprzed stu osiemdziesięciu lat.

W obecnej sytuacji politycznej na Ziemi trudno było sądzić, że stało się to przypadkiem. Ludzkość potrzebowała silnych wrażeń i z braku wojny co jakiś czas kolejni prezydenci rzucali jej na pożarcie co bardziej kontrowersyjne jednostki.

Dobrzy fachowcy od socjologii i psychologii masowej potrafili ciągnąć takie sprawy do dziesięciu lat, utrzymując mocno znudzone miliardy w ciągłym napięciu i podnieceniu. Finałem była jakaś pokazowa egzekucja w wyniku kilkuletniego procesu. Hildor nie miał najmniejszego zamiaru służyć za lekarstwo dla mas.

Prawdę mówiąc, w ciągu swego ponad dwustuletniego życia czasu ziemskiego, co odpowiadało czterdziestu pięciu latom czasu biologicznego, już cztery razy próbowano wykorzystać jego stare zainteresowania genetyką w tym właśnie celu. Miał więc przygotowane pewne metody zaradcze, które może niewiele miały wspólnego z legalnością, ale za to jak dotąd gwarantowały niezawodny skutek. Posiadane przez niego informacje nie wykazywały niczego, co mogłoby uniemożliwić zastosowanie ich i tym razem. W tym celu musiał jednak dolecieć do Genewy i przejrzeć pewne dokumenty oraz odbyć kilka rozmów.

Kobieta imieniem Judith siedziała w niewygodnym fotelu stanowiącym jeden z niewielu mebli tego skromnego mieszkania w slumsach genewskich. W rogu świecił się niewyraźnie ekran telewizora, którego właścicielowi najwyraźniej brakowało pieniędzy na wymianę zużytych podzespołów. Na prostym, plastikowym stole walały się w nieładzie opakowania po żywności. Tapczan stojący pod oknem sprawiał wrażenie, jakby nikt nigdy nie zadał sobie trudu sprzątnięcia leżącej na nim pościeli w kolorze ciemnobrązowym, która niemile kontrastowała z jasnoniebieską wykładziną podłogową z niepalnego danexu, stanowiącą w tego typu tanich blokach ponury standard.

Kobieta trzymała w ręku plastikowy pojemnik z alkoholem, z którego wolno popijała wpatrując się bezwyrazowymi oczyma w głuchy telewizor.

Z sąsiedniego pokoju wyszedł nagle niski, otyły mężczyzna o wyglądzie urzędnika. Przyglądał się przez chwilę dziewczynie i bałaganowi. Wreszcie podszedł do stołu i zaczął

sprzątać, mrużąc pod nosem, ale na tyle głośno, żeby go usłyszała.

- Można być córką prezydenta i mimo wszystko posprzątać po sobie od czasu do czasu. Myślisz, że nasze zadania ograniczają się tylko do przygotowania zamachów i odgrywania incognito roli luksusowej dziwki?

- Słuchaj, Vlado - dziewczyna podniosła głowę i z trudem stłumiła wściekłość - któregoś pięknego dnia tak to załatwię, że ludzie starego sprzątną cię i pies z kulawą nogą nie zorientuje się, że wielki Mściciel, szef Wolnych Genów, zginął jak szczur na pustej ulicy.

- Skąd znasz moje imię? - mężczyzna przerwał sprzątanie i groźnie przyglądał się dziewczynie.

- Myślisz, że dla córki prezydenta jest to za trudne zadanie?

- Myślę, że rzeczywiście mogłabyś mnie sprzątnąć - zauważył Vlado już spokojnym tonem. - Przypominam, że za dwa lata twój tatuś kończy kadencję...

- Stary wie, jak wygrywa się wybory.

- Jeżeli przegra, to zabiję cię własnoręcznie. Judith patrzyła na niego pogardliwie, wyzywająco rozchyłając nogi.

- Wątpię, czy będziesz w stanie.

Vlado przez chwilę przypatrywał się jej w milczeniu. Wreszcie zmienił temat.

- Jak robota?

- Ustaliłam miejsca pobytu całej trzydziestki. Z wyjątkiem trzech, wszyscy na Ziemi.

- Kogo nie ma?

- Kir Jeni dowodzi Sokołem w rejsie ćwiczebnym i wróci za rok. Bella Det jest jego pilotem, a Ewa Bonov siedzi na Marsie i prowadzi jakieś badania. Wraca na Ziemię za cztery miesiące.

- A pilocik?

- Pet? - dziewczyna uśmiechnęła się lekceważąco. - Pije.

- Miałaś się nim zająć, a tymczasem on ma cię gdzieś. Mówiłem, żebyś nie laźła mu od razu do łóżka.

- A ty miałaś załatwić, żeby nie deptali mi po piętach. Już czwarty raz musiałam gubić facetów z bezpieki.

- Oni pilnują Peta, a nie ciebie. Każdy pilot po powrocie na Ziemię jest pod czasową obserwacją. Prewencja przeciwko takim, jak my.

- Łatwo ci mówić. Śledzili mnie a nie ciebie.

- Twoje zadanie to zdobyć zaufanie Peta. Nic więcej. Jak dotąd udało ci się tylko z nim przespać.

- Może mi wreszcie wytłumaczysz, dlaczego mam podrywać tego pijaka, a nie na przykład Jeniego czy Ogazę. Obaj są starsi od niego i o ile wiem, Hildor bardziej się z nimi liczy.

- Po pierwsze, u żadnego z nich nie masz cienia szans. Po drugie, Pet z Anną Bor są ulubieńcami Hildora i mogą się od niego dowiedzieć nawet tego, czego nigdy nie dowie się taki Jeni. Jasne?

- Może łatwiej będzie zacząć od tej Bor? To chyba lesbijka.

- Jesteś o wiele za mało perwersyjna. No i za głupia. Bor rozpracuje cię w kilka godzin. Temu, jak go nazywasz, pijakowi, zajmie to kilka dni, jeżeli zaczniesz cię podejrzewać. Staram się nie narażać cię za bardzo.

Judith zrobiła ruch, jakby chciała rzucić w rozmówcę pojemnikiem z alkoholem, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się. Vlado nawet nie drgnął.

- Anna Bor wykończyła w swoim długim życiu więcej mężczyzn i kobiet, którzy uważali ją za głupszą od siebie niż ty miałaś kochanków - dodał obojętnie, udając że nie dostrzega wściekłości Judith.

- Niby mam ci być wdzięczna? - zapytała jadownicie.

- Właśnie.

- Jesteś większym skurwysynem niż myślałam.

- Daję ci jeszcze tydzień. Potem możesz iść puszczać się na ulicy, albo na przyjęciach rządowych. Z nami nie znajdziesz

kontaktu. Jeżeli wykonasz zadanie, skontaktuję się z tobą przez łącznika.

Vlado strzepnął resztki okruchów ze stołu, rozejrzał się z niesmakiem po pomieszczeniu i bez słowa wyszedł. Judith wzruszyła lekceważąco ramionami i wypila do dna zawartość pojemnika, który potem rzuciła w kąt.

* * *

Alfred Hildor siedział w swoim tajnym laboratorium w dawnej Bazie Lotów Załogowych na Florydzie. Mieściło się ono w opuszczonej części lądowiska. Przed stu pięćdziesięciu laty zostało ogłoszone strefą zakażoną po pamiętnym starcie Wilka Gwiezdnego, który wyparował wraz z całą załogą w trzeciej sekundzie lotu. Specjalna komisja zbadała sprawę, nie dochodząc do żadnych ustaleń, ponieważ wraz ze statkiem wyparowała połowa urzędzeń rejestrujących. Jako przyczynę podano awarię reaktora, bo logicznie rzecz biorąc coś złego musiało się stać ze stosem. Żeby zaś wypaść konstruktywnie zakazano używania tej części lądowiska na czterysta lat. Hildor miał w tych czasach pewne wpływy w Ministerstwie Lotów Pozaukładowych i mocno przyczynił się do ustalenia owego czterystuletniego okresu kwarantanny. W ciągu czterech lat wybudował tu podziemne laboratorium, wykorzystując część instalacji startowych, a zwłaszcza starą sztolnię dojazdu awaryjnego, która po wypadku została uznana przez komisję za nieodwracalnie skażoną. Przeniósł tu większość swoich urzędzeń oraz cały zapas materiału genetycznego. Oficjalne laboratorium w Paryżu było zamknięte od osiemdziesięciu lat, a zapasowe w Genewie pozostawało pod ciągłą obserwacją agentów Borisova, który liczył, że w ten sposób uda mu się znaleźć jakieś dowody winy Hildora.

Przez ostatni tydzień odbywał rozmowy sondujące z wszystkimi właściwie szefami pionów Ministerstwa Lotów Pozaukładowych oraz z kilkoma odpowiedzialnymi ludźmi z

Rządu Światowego. Wynik tych rozmów był przerażający. Borisov zamierzał na serio wykończyć nie tylko jego, ale również wszystkich mutantów. Trzydzieści osób.

Od czasów II Wojny Klonów obowiązywał na Ziemi zakaz jakichkolwiek eksperymentów genetycznych na ludziach. Pokój Genewski z 3263 roku zawierał na ten temat specjalną klauzulę, grożąc karą śmierci za jakiekolwiek doświadczenia genetyczne, a wszyscy prezydenci utworzonej wtedy Federacji Państw Ziemi zawsze starannie przestrzegali tego niebezpiecznego jak antymateria punktu. Nie znaczy to wcale, że problem mutantów został raz na zawsze zlikwidowany. Przeciwnie, średnio co czterdzieści trzy lata następowała seria urodzeń zmutowanych dzieci. To było nie do uniknięcia w sytuacji, kiedy przez piętnaście wieków, średnio co sto dwadzieścia pięć lat, świat znajdował się w stanie wojny. Ostatnie pięć wieków drugiego tysiąclecia, znanych jako wieki ciemności, stanowiło za krótki okres na oczyszczenie rasy z naleciałości poprzednich wojen atomowych. Katastrofa Ekologiczna z 2995 roku i Apel Genetyków o Wolne Geny z 3001 roku wraz z następującymi potem klonowaniami na wielką skalę, wywołały odwrotny skutek w sferze psychicznej. Powstał podział na ludzi prawdziwych i na mutantów. To musiało doprowadzić do starć. Od trzech wieków udawało się jednak uchronić ludzi od wojen. Działo się to kosztem kilku wybitnych, acz kontrowersyjnych jednostek poświęconych tłumom raz na kilkadziesiąt lat.

Tym razem Borisov poszedł na całość. Piętnaście lat temu powstała po raz trzeci organizacja Wolne Geny. Mówiło się otwarcie, że prezydent życzliwie przymyka oko na tę jedyną podziemną organizację na Ziemi. Powagę sytuacji wzmagał fakt, że była to pierwsza próba odrodzenia tego tworu od 3445 roku. Wolne Geny powstały w 3270 roku po II Wojnie Klonów jako obywatelski ruch kontroli naukowców, dokonujących wciąż potajemnych klonowań. W 3302 roku rozbito tę organizację ostatecznie, nie mogąc dłużej tolerować okrucień-

stwa jej wyroków. Poza tym problem przestał właściwie istnieć. Jej nagłe odrodzenie musiało nastąpić za cichym błogosławieństwem Borisova.

W pokoju, w którym siedział Hildor cicho zadzwieczał dzwonek. Profesor spojrzął przelotnie na kilka wskaźników i nie podnosząc się mruknął w pustkę:

- Wejdz, wejdz.

Do pokoju wszedł Admirał Sonorov, były pilot i dowódca floty. Obecnie Szef Działu Lotów Załogowych Sił Zbrojnych Układu. Człowiek, który przed dwustu czterdziestu laty osobiście skontaktował go z prezydentem Howardem w sprawie rozpoczęcia tajnych badań nad stworzeniem specjalnych ludzi, przeznaczonych od pierwszych dni klonowania do lotów kosmicznych. Sonorov był ostatnim z żyjących, oprócz Hildora i jego trzydziestu dzieci, którzy wiedzieli o tym projekcie. Była to jedyna osoba, na której Hildor polegał bez skomplikowanych zabiegów hipnotycznych.

Sonorov trzymał się dobrze, mimo że od dwudziestu lat nie latał. Siwe włosy nadawały jego twarzy senatorski wygląd, ale na jego stanowisko takie przeżytki nie uchodziły za ekstrawagancję, nawet w dobie powszechnego dostępu do salonów regeneracyjnych. Ciało zachowało jeszcze sprężystość młodości, ale to była cecha wspólna wszystkim wojskowym.

- Jest o wiele gorzej niż sądziłem - zaczął na wstępie, sadowiąc się naprzeciw Hildora na fotelu. - Cała trzydziestka jest pod obserwacją oprócz Bor, która siedzi w rezerwacie Afrykańskim.

- Borisov?

- Nie. Ci wariaci od Wolnych Genów. Mściciel. Tak się nazywa ich szef.

- Pretensjonalnie - zauważył Hildor, krzywiąc się z niesmakiem.

- W ciągu tygodnia powiem ci o nim coś więcej. Muszę być ostrożny. Samo pytanie o Wolne Geny wprowadza we wściekłość naszego przyjaciela Boko.

- Szef Wydziału Specjalnego powinien przecież coś o tym wiedzieć.

- Alfred Boko jest najbardziej zaufanym człowiekiem Borisova i nie zrobi niczego, co mogłoby się nie spodobać prezydentowi.

- Video na razie milczy. To znaczy, że nie szykują się do generalnej rozprawy w najbliższym czasie.

- Czego się dowiedziałeś od swoich ludzi?

- Część została usunięta ze swoich stanowisk w ciągu ostatnich pięciu lat.

- Ktoś zdradził?

- Raczej nie. Po prostu zanalizowano sposób mojej obrony przed poprzednimi atakami. Ktoś inteligentny odkrył, że pewni ludzie, którzy pozornie nie mają ze mną nic wspólnego nagle zaczynają mi pomagać. Dał to na komputer i ekstrapolował na dzisiejszą hierarchię. Zostało mi jeszcze około dwudziestu ludzi, których i tak mogę ruszyć dopiero w ostateczności. - Hildor wzruszył z rezygnacją ramionami i sięgnął do biurka wyjmując butelkę i kieliszki.

- Zapomniałem na śmierć - uśmiechnął się przeprasza-
jąco. - Nerwy. Prawdziwa brandy. Jeszcze z czasów nielegal-
nych bimbrowni - wyjaśnił nalewając ostrożnie dwa małe kie-
liszki.

- Stary zbereźnik - uśmiechnął się Sonorov wachając z
lubością bukiet - wieki nie piłem czegoś takiego. Te syntetyki
nie przechodzą mi przez gardło. Jak ty to przechowujesz?

- Tajemnica.

Hildor wzniosł swój kieliszek do góry.

- Za pomyślność!

- Za szczęście - odparł Sonorov naśladując gest tamtego.

- Będziesz go bardziej potrzebował.

Przez chwilę każdy z nich delektował się trunkiem.

- Skontaktowałeś się z dziećmiakami? - zapytał wreszcie
Sonorov.

- Dzieciaki?! Mogłyby ciebie i mnie nauczyć już wielu rzeczy.

- Hm. Pamiętam, jak wyjmowałeś je z inkubatorów.

- Stare czasy. Howard miał jednak trochę racji.

- Teraz rządzi Borisov. Za dwa lata będzie miał wybory na głowie.

- Dlatego sędzę, że przez najbliższy rok nas nie ruszy. Zacznie tuż przed kampanią wyborczą.

- Chyba, że go sprowokujemy.

- Przez ostatni tydzień dowadywałem się na wszystkie strony, co może nam grozić. Zasięgałem opinii ekspertów od psychologii masowej. Odpowiedź jest jedna: proces i wyrok. W tej sytuacji musi zacząć całą sprawę jako część kampanii wyborczej.

- Chyba, że go sprowokujemy - powtórzył Sonorov.

- O czym myślisz?

- Za rok stocznie Saturna opuszcza Feniks. Prototypowa jednostka typu dziewięć dziewiątek po zerze. Najszybszy z całej floty. Trzeba go będzie wysłać w jakiś dłuższy rejs dla wytestowania.

- Tu chodzi o trzydzieści osób - przypomniał Hildor wachając z lubością bukiet ulatujący z kieliszka. - Proponuję powtórzyć - dodał sięgając po butelkę.

- Feniks może pomieścić załogę stuosobową - wyjaśnił Sonorov podając przyjacielowi kieliszek do napełnienia. Zabiera również cztery rakiety patrolowe i ma zasięg teoretyczny do tysiąca parseków. W praktyce oczywiście może dolecieć co najwyżej na jakieś trzysta parseków z jedną załogą, ale tobie to powinno wystarczyć.

- W chwili kiedy przedstawiś wniosek o skład załogi będziesz skończony.

- Trzeba to dokładnie przemyśleć. W sprzyjającej sytuacji może mnie czekać awans. Jeżeli przedstawię to jako najlepszy sposób na pozbycie się problemu mutantów i jednocześnie na wykorzystanie ich dla potrzeb Borisova, to możecie

nawet uzyskać daleko idącą pomoc ze strony tak zwanych czynników.

- Borisov musiałby dostać pewniaka wyborczego. Kollombo nie zrezygnuje z kandydowania tylko dlatego, że Borisov go o to poprosi. Można by spróbować porozmawiać z nim, jako ze znanym kandydatem na prezydenta, ale jego wpływy są jeszcze zbyt małe. Sam by się rzucił na nasz proces.

- Sebastian Kollombo nie jest groźnym przeciwnikiem dla prezydenta. Prawdziwym kandydatem będzie Billy Oconnor.

- Wiceprezydent?

- To wiem na pewno. Borisov podejrzewa go zresztą, ale nie ma żadnych dowodów. Poza tym nie bardzo może przeskoczyć Parlament, w którym Oconnor ma duże poparcie.

- W takim razie może udałoby się podsunąć mu myśl o procesie?

Sonorov przez chwilę delektował się bukietem sączonego trunku, zastanawiając się nad propozycją swojego przyjaciela.

- Wtedy Borisov zostanie zmuszony opowiedzieć się po jego stronie lub zacząć z nim otwartą walkę - stwierdził z uznaniem - choć nie jest wykluczone, że jednak się dogadają. Wtedy może się okazać, że obaj byliśmy za cwani.

- Oconnor rzuci się na ten proces z zamkniętymi oczyma. Bez względu na zwolenników w Parlamencie potrzebne są głosy wyborców, a nie posłów. Musi stać się popularny.

- Borisov zawsze będzie mógł go wykluczyć z tej sprawy. Alfred Boko z przyjemnością wykaże po raz kolejny, że można na nim polegać.

- Ile osób dzisiaj naprawdę wie, czym są dzieciaki? My dwaj. Może Borisov? Na pewno nie wie wszystkiego. Oconnor może co najwyżej podejrzewać, że coś się szykuje. Z pewnością słyszał już o tych wariatach z Wolnych Genów, ale wątpię, żeby kojarzył kogoś jeszcze oprócz mnie.

- Borisova nie interesują szczegóły. Chce tylko zachować hotel.

- Którego nie zachowa, jeżeli Oconnor pierwszy wystąpi z procesem przeciwko nam. Wtedy Borisov będzie musiał zrobić wszystko, żeby nie dopuścić do procesu. Ja mu zaoferuję pomoc mutantów. Żaden prezydent nie miał jeszcze takich popleczników.

- Trzeba więc sprowokować Oconnora do działania.

- Mówiłem ci, że zostało mi jeszcze około dwudziestu ludzi, których mogę wykorzystać. Jeden z nich wystąpi jako nasz wróg.

* * *

Wiceprezydent Oconnor pogrążony był w zadumie. Siedzący naprzeciw niego Hans Vir - szef departamentu ochrony rządu - palił w milczeniu narkotyzowanego papierosa oczekując aż jego szef i przyjaciel przetrawi otrzymane informacje.

- Jakie masz dowody? - zapytał wreszcie Oconnor. - Z twoich akt nie wynika, żeby Borisov maczał w tym palce. Wolne Geny działają od lat i jak dotąd nikt nie traktuje ich poważnie. To, że śledzą jakiegoś pilota, który niedawno powrócił na Ziemię o niczym jeszcze nie świadczy.

- Po pierwsze, pilotem jest nie kto inny jak Peter Hol. Najmłodszy z mutantów Hildora. Po drugie, poleciłem przynieść sobie hologramy wszystkich znanych aktywistów tej organizacji i człowieka, który śledzi Hola. To dziewczyna. Zielona teczka, zdjęcie numer trzy zero dwa jeden. Radzę na nie spojrzeć.

Oconnor bez słowa sięgnął po wskazany dokument.

- No i co z tego. Dziewczyna jak... - Przerwał nagle, przypatrując się uważnie zdjęciu - Boże! - szepnął z niedowierzaniem.

- To autentyk - zapewnił go Vir. - W organizacji nosi pseudonim Judith z Genewy.

- Alicja - Oconnor wciąż nie był przekonany - Borisov nigdy by na to nie pozwolił. Śledzi każdy jej ruch.

- Między innymi dlatego twierdzę, że Wolne Geny powstały za jego cichym przyzwoleniem i że ma zamiar wykorzystać je przeciw mutantom Hildora. Inaczej nigdy nie dopuściłby do tego, żeby jego córka została zamieszana w tę historię.

- To jednak straszny skurwysyn - stwierdził Oconnor z mieszaniną uznania i dezaprobaty. - Wykorzystywać własną córkę...

- Zadanie jest niebezpieczne. Piloci z reguły nie patyczkują się z ludźmi, którzy im nadepną na odcisk. Mutanci znani są ze szczególnej bezwzględności. Na dodatek robią to tak, że nigdy niczego nie udało się im udowodnić. W tym wypadku Alicję ktoś wyraźnie osłania. Hol jest najmniej groźny z całej trzydziestki. Zabija tylko w razie absolutnej konieczności. Poza tym jest na tyle próżny, że do głowy mu nie przyjdzie, że dziewczyna nie leci na niego, tylko wykonuje czyjeś polecenie.

- Masz informacje na temat tego Mściciela, który nimi kieruje?

- Prawie żadnych. Brak danych w Centralnym Spisie. Nazwisko sfalszowane. Numer identyfikacyjny należy do zmarłego przed piętnastu laty inżyniera górnictwa. Ponieważ nigdy nie odnaleziono ciała, w ewidencji pozostawiono jego numer i przysługują mu wciąż wszystkie uprawnienia. Staram się sprawdzić to do końca, ale Boko szaleje na sam dźwięk nazwy Wolne Geny. To też jest jakiś dowód.

- Skoro żyje, to musi być gdzieś zarejestrowany. Nie wmawiaj mi, że nie potrafisz tego sprawdzić.

- Potrafię, ale muszę to zrobić tak, żeby Boko nigdy się o tym nie dowiedział. Podejrzewam, że to któryś z jego agentów, ale nie mogę oficjalnie wystąpić o wgląd w dokumenty osobowe Wydziału Specjalnego. To domena prezydenta.

- Możesz sprawdzić, jakie informacje wymazywano z Centralnego Rejestru w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Kopie

są w tajnym sekretariacie Prezydentury. Dam ci polecenie służbowe.

- Wolałbym mniej oficjalną drogą.

- Udostępnię ci więc swój gabinet jutro w czasie bankietu u burmistrza Genewy. Moja konsola ma priorytet zero.

- A jeżeli ktoś mnie tam zaskoczy?

- Chyba potrafisz to zaaranżować...

Vir skinął w milczeniu głową i pochylił się, żeby zgasić papierosa. Twarz miał zamyśloną.

- Skoro już będę się grzebał w dokumentach

Prezydentury, to może sprawdzić jeszcze Alicję? Z pewnością również ma sfałszowane papiery...

- To idiotka z przekonaniem. Myślę, że warto mieć coś, co napędzi jej stracha - zgodził się Oconnor. - Chciałbym, żebyś najdalej za dwa miesiące dysponował pełnym materiałem Mściciela przeciwko mutantom. Jeżeli mamy im zrobić proces stulecia, to trzeba się do tego przygotować odpowiednio wcześniej.

* * *

Noc tropikalna w lecie jest parna i pozbawiona tlenu. Jedynie gorący wiatr owiewający spocone ciała przynosi odrobinę ulgi. Ale to zdąża się niezbyt często. Kongo III zagrożone było we śnie. Ponure bambusowe chaty przypominały swoim wyglądem starożytne kurhany strzegące spokoju mężnych wojowników. Było to jednak złudzenie w tej osadzie nieudaczników.

Cisza przerywana dotąd świergotem cykad została zmacona świstem silników bojowego stratu. Pojazd osiadł na środku placu centralnego i natychmiast wystrzelił pierwsze flary zamieniające noc w oślepiający dzień.

Od tej chwili flary miały być wystrzeliwane przez automat równo co cztery sekundy. Z pojazdu wyskoczyła grupa Komandosów Sił Zbrojnych Układu i podczas gdy jej mniejsza

część zajmowała pozycje obronne wokół pojazdu, reszta skierowała się do najbliższej chaty. Żołnierze w skafandrach pokładowych otoczyli ją i w szóstej sekundzie po wylądowaniu ich dowódca wkroczył do środka za trzema ludźmi, którzy go ubezpieczali.

W świetle latarek dostrzegli ledwo przebudzone dwie pary leżące na matach zastępujących im łóżka. Krzywiąc się z powodu unoszącego się w powietrzu zapachu potu i gnijącego jedzenia dowódca skierował latarkę na twarz jednego z mężczyzn. Nieogolony mulat mrużył oczy pod wpływem oślepiającego światła, ale bynajmniej nie sprawiał wrażenia przerażonego.

- Szukamy białej dziewczyny o imieniu Anna, która mieszka tu z facetem o imieniu Han, zwanym również Han Rączka. Gdzie oni mieszkają?

- Odwalcie się - mruknął mulat plując w kąt flegmą. - Rezerwat jest pod ochroną Federacji i żaden komandos nie będzie nam mówił, co mamy robić.

- Masz trzy sekundy na odpowiedź - zauważył spokojnie dowódca, wycelowując swój pistolet w stronę mężczyzny.

- Odwalcie się! - powtórzył mulat z wyraźnym znudzeniem w głosie.

Dowódca doliczył spokojnie do trzech i strzelił mężczyźnie w głowę. Mulat wydawał się patrzeć na niego z niedowierzaniem, ale było to tylko złudzenie wywołane grą światła latarek, o czym każdego mogła łatwo przekonać okrągła dziura między oczyma. Żołnierz wykonał swoją groźbę sumiennie i bez nienawiści. Mężczyzna zaczął opadać na matę w ramiona swojej niedawnej partnerki, która dopiero teraz zdawała się zrozumieć, co zaszło.

Światło latarki spoczęło na jej twarzy o czarnej, pomarszczonej skórze i podkrążonych oczach. Nikt z obecnych w chacie nie krzyczał.

- Gdzie oni mieszkają? - powtórzył żołnierz tym samym spokojnym głosem.

Na przeciwko. Największa chata - wyszeptwała kobieta, której cera przybrała teraz szary kolor.

Żołnierze błyskawicznie opuścili chatę i biegiem skoczyli we wskazanym kierunku. Operacja powtórzyła się z tą różnicą, że w drzwiach stał ogromny murzyn z karabinem w rękę.

- Spróbujże mnie dostać, skurwysyny - krzyczał z nienawiścią.

Patrol błyskawicznie rzucił się na ziemię, biorąc na muszki przeciwnika.

- Nie strzelać! - padła komenda.

- Odejdź! - krzyknął dowódca - szukamy Anny. Do ciebie nic nie mamy.

Mężczyzna nie słuchając go podniósł karabin do ramienia, składając się do strzału. Nagle przerwał swoją czynność i runął na kolana wypuszczając z rąk broń.

- Nie strzelać! - krzyknął dowódca, skacząc do przodu. W ślad za nim pobiegło czterech ludzi. Reszta ich osłaniała. W progu stanęli na chwilę, przyglądając się ciału. Murzyn był nietknięty, wyglądał na sparaliżowanego. Tylko w oczach czaiła się nieludzka nienawiść.

- Pilnuj go! - rozkazał dowódca jednemu z żołnierzy i sam wszedł z pozostałymi do środka.

Wnętrze chaty wyraźnie go zaskoczyło. Jeszcze bardziej zaskoczył go widok nagiej dziewczyny stojącej bez ruchu w ponurym salonie tego pomieszczenia. Bezwstydność jej nagości na chwilę go zmieszała, zaraz jednak się opanował i ruchem lufy polecił żołnierzom sprawdzenie sąsiedniego pomieszczenia.

- Anna Bor?

- Czego szukasz żołnierzyku?

- Masz natychmiast stawić się w Centrum Lotów Załogowych. Ogłoszono Alarm Systemowy - odparł krótko, rzuciwszy wcześniej okiem na mini zdjęcie wyciągnięte z kieszeni.

Alarm Systemowy oznaczał zagrożenie Systemu Słonecznego. Personel latający zobowiązany był stawić się na-

tychmiast na swoich stanowiskach służbowych. Bez względu na to gdzie i z kim się znajdował. Anna bez słowa zabrała tunicę leżącą w sypialni i ubierając się w nią po drodze biegła z żołnierzami.

Oddział nawet teraz posuwał się w szyku bojowym, starannie osłaniając Annę, którą mieli dostarczyć bez względu na straty własne. Piloci kosztowali zbyt drogo, żeby ryzykować ich śmierć w bezużytecznych starciach na Ziemi. Ich zadaniem było zginąć w kosmosie. Po to właśnie wydawano miliony na ich ciągłe szkolenie.

W zamieszaniu stracono na chwilę z oczu murzyna, który na początku nie chciał ich wpuścić do chaty. Wykorzystując fakt, że uwaga żołnierzy skupiła się na doprowadzeniu Anny do statku, skoczył po odtrącony wcześniej na bok karabin i miękko w locie złożył się do strzału. Miał minimalną szansę, żeby trafić Annę z odległości czterdziestu metrów w głowę - jedyny fragment jej osoby pojawiający się czasami między mundurami. Noc była jednak jego sprzymierzeńcem. Zapomniał jedynie o żołnierzach ochrony stratu. Któryś z nich zauważył niebezpieczeństwo i strzelił serię - raczej na wyczucie niż świadomie celując. Chciał przede wszystkim zwrócić uwagę swoich kolegów na niebezpieczeństwo. Murzyn nie dał się zastraszyć tą dywersją i mimo wszystko strzela, ale podświadomie drgnęła mu jednak ręka. Pocisk przeszedł między żołnierzami raniąc jednego z nich w nogę. Anna była już jednak uprzedzona. Zupełnie niepotrzebnie. Trzech komandosów porwało ją do przodu, podczas gdy reszta odwróciła się, tworząc żywy mur strzelający ciągłymi seriami z laserów bojowych. Natychmiast przyłączył się do nich laser stratu. Chata wraz z murzynem zamieniła się w płonący stos.

Ponad narastający tumult krzyków przedarł się głos mówiący przez głośnik stratu.

- Nie ruszać się! Każdy ruch karany będzie śmiercią.

Anna niesiona przez żołnierzy odwróciła głowę w kierunku płonącej chaty. Z jej kamiennej twarzy niczego nie

można było wyczytać. Jedynie w oczach zabłysło coś na kształt uznania i podziwu. Trudno to było jednak dostrzec w tym zamieszaniu.

W czasie drogi nie zadawała żadnych pytań. Oficer dowodzący akcją miał rozkaz dostarczyć ją żywą na kosmodrom i nic poza tym.

* * *

Pet siedział na stanowisku dowodzenia Sokoła - średniej wielkości statku zwiadowczego - monotonnym głosem powtarzając procedurę startową. Czekali na drugiego pilota, który miał zjawić się lada moment. Wieża nie interesowała się zresztą zbytnio jego statkiem, zajęta odprawianiem pozostałych jednostek Floty. Wszystko, co było w stanie wejść na orbitę startowało w tej chwili z Ziemi. Telewizja od godziny przerwała nadawanie normalnego programu relacjonując wydarzenia na kosmodromie. Za dwie godziny prezydent miał wygłosić przemówienie.

Na jednym z ekranów zewnętrznych, pokazujących płytę dojazdową kosmodromu dostrzegł wojskowy strat lądujący z wyraźnym brakiem zapasu prędkości.

- Idiota - skomentował cicho ten wyczyn.

Czuł się podle. Komandosi przerwali mu milutkie spotkanie w Jaskini z Judith, z którą od kilku miesięcy przyjaźnił się bardziej niż z innymi dziewczynami. Miał kaca i nie powinien siadać do żadnego statku.

- Meldunek do dowódcy - zabrzmiało w głośnikach bez żadnego ostrzeżenia, wywołując w jego głowie niesamowite wrażenie ataku bombowego.

- Kapitan Pet Hol. Meldować - odparł chrapliwie.

- Porucznik Logan melduje dostarczenie pilota Anny Bor.

- Dziękuję poruczniku - odparł już prawie normalnym głosem.

Obecność Anny, która od kilku lat była na urlopie i o której chodziły słuchy, że się wypięła na wszystkich świadczyła, że ktoś na wysokim szczeblu traktował te manewry nadzwyczaj poważnie. Tylko raz dotąd zdarzyło się, żeby dwóch mutantów umieszczono na jednym statku. Pet mimo wszystko nie wierzył w zbiegi okoliczności. W tej samej chwili wbiegła Anna w czerwonej tunice ledwo spiętej w pasie. Ubiór ten wyraźnie kontrastował z granatowymi kombinezonami reszty załogi.

- Pilot Bor - burknął zły na Annę i na resztę załogi, której siedmioosobowa część siedziała przed nim przy różnych stanowiskach. - Czekam na meldunek.

- Pilot Anna Bor melduje przybycie na Sokoła - usłyszał głos, w którym wyraźnie przebijała kpina. Jednocześnie w jego głowie zabrzmiała dalsza część wypowiedzi, przeznaczona już tylko dla niego, telepatyczna.

- Cześć, alkoholiku. Tobie też nie dali się wyżyć do końca?

- Zajmijcie swoje stanowisko i przygotujcie Sokoła do startu - polecił głośno.

- Zamknij się. Mam kaca - dodał w myślach.

- Powiadomcie wieżę o gotowości do startu za... - zawiesił głos wpatrując się pytająco w Annę, która gorączkowo przeglądała wskazania różnych wskaźników.

- Za dwie minuty - burknęła nie odwracając głowy.

Słyszeliście? - stwierdził Pet i ponownie się skrzywił. Oddałby wiele za odrobinę koniaku. Poza tym Judith wykończyła go fizycznie. Miał wrażenie, że ta dziewczyna nigdy nie ma dosyć. Czy to chodziło o miłość, czy o alkohol, czy o cokolwiek innego.

- Wieża do Sokoła. Zaczynam odliczanie. Start na zero. Kierunek Baza Załogowa Mars II. Ciąg awaryjny. Parametry przekazałem do komputera nawigacyjnego. Stan pogotowia trzeciego stopnia. Hełmów możecie nie zakładać.

W głośnikach szumiał monotennie głos odliczającego, a na pokładzie wszyscy sposobili się do kilku minut przykrego przeciążenia. Jedynie Anna do ostatniej chwili zajęta była kontrolowaniem różnych wskaźników. Od czasu do czasu sprawdzała coś przez intercom w różnych działach Sokoła. Jednostka była niewielka, zaledwie siedemdziesiąt metrów długości, ale z uwagi na swoje przeznaczenie miała liczną załogę, składającą się z dwudziestu jeden osób.

Wystartowali zbyt szybko. Anna wyraźnie nie była w formie. Kiedy tylko weszli na kurs bojowy Pet zarządził wzmocnioną obsadę mostka i poszedł do swojej kabiny. Musiał się wyspać. Gdyby cokolwiek zaatakowało ich na poważnie, to i tak Flota nie miałaby czasu na sformowanie się.

Zdażył właśnie ułożyć się wygodnie na koi i zażyć podwójną aspirynę, kiedy ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na zezwolenie wszedł do środka. We framudze zamigotała czerwona tunika Anny.

- O co chodzi? - zapytała bez wstępów, sadowiąc się wygodnie na jego koi.

- Odczep się! Mam kaca i chce mi się spać. Nic nie wiem. Wyrwali mnie z łóżka. - Pet ostentacyjnie odwrócił się twarzą do ściany, udając że nie widzi Anny.

- Przebierz się wreszcie w mundur - mruknął, uznając rozmowę za zakończoną.

- Jutro będziemy na Marsie - Anna udawała, że nie dostrzega zachowania Peta. - W całej historii Floty taki alarm ogłoszono dopiero trzy razy. Zawsze ktoś miał wcześniej jakieś przecieki na ten temat. Tym razem zostałam zaskoczona. Komando wyrwało mnie z domu, spaliło chatę i zamordowało czworo ludzi.

- Kobieto - Pet podniósł się i oparł na łokciu, patrząc na nią zmęczonymi, przekrwionymi oczyma.

- Boli mnie głowa, mam kaca i każdy inny oprócz ciebie już dawno wyszedłby stąd na kopach. Wiem, że coś jest nie tak, ale nie żądaj ode mnie, żebym błyszczał intelektem. Za

bardzo chce mi się spać. Porozmawiamy jutro. Przypadkiem wiem, że Bonov i Hildor już są na Marsie. Pomyśl nad tym przed snem.

Po tym wyczerpującym monologu zwałił się bezwładnie na koję i zanim Anna zdążyła cokolwiek odpowiedzieć już spał. Przez chwilę przyglądała mu się z niepokojem, po czym delikatnie wstała i wyszła. Pet nie był tym samym człowiekiem co przed kilku laty. Nie chodziło nawet o alkohol. Znała go zbyt dobrze, żeby nie dostrzec lekko przybrudzonego kombinazonu, niedbale przypiętych dystynkcji, brudnych włosów i wielu innych szczegółików, które zdradzały, że kapitanowi Holowi wszystko wisi.

Wolno doszła do swojej kabiny i długo przyglądała się sobie w lustrze. Zobaczyła wysoką, kruczowłosą kobietę około trzydziestki, o twarzy naznaczonej per - wersją. W jej oczach błyszczało coś, co musiało wzbudzać respekt i strach. Rozpięła tunikę, zsunęła ją i przez chwilę trzymała w rękach przyglądając się jej bezmyślnie. Wreszcie cisnęła ją niedbale na koję. Spojrzała raz jeszcze na swoje doskonale kształtne odbicie w lustrze. Tym razem jej humor nie polepszył się. Była piękna i co z tego? Stojąc pod prysznicem, w strugach letniej wody zrozumiała, że wszyscy mutanci musieli przeżywać to samo co ona i Pet. Byli o krok od zniszczenia psychicznego i moralnego. Poczuli nienawiść do Hildora. Za to, że ją stworzył tak doskonałą i nieludzką. Nie tylko, że byli białymi w świecie mulatów, ale na dodatek uosabiali sobą wyobrażenia o białym bogu - doskonałym wzorze piękności i potęgi. Mogli wiele, jako piloci. Jako jedyni na Ziemi telepaci byli najbardziej samotnymi stworzeniami wszechświata. Dlatego w pewnym momencie zaczęli się prawie nienawidzić. Nie mogli przebywać razem z wielu powodów. Przede wszystkim z uwagi na podejrzliwość ludzi. I zwykłą zawiść. Osobno mogli mieć każdego mężczyznę i kobietę na Ziemi. W grupie stanowili tylko bandę konspiracyjnych mutantów. Właśnie dlatego każde z nich w pewnym momencie zaczęło szukać ucieczki od prawdy o sobie.

Anna wyłączyła wodę i mokra położyła się na koi. Pijany Pet miał mimo wszystko rację. Należało się wyspać i rano przemyśleć wszystko na świeżo. Coś się działo. Podświadomie czuła, że ma to związek z nimi.

* * *

Hans Vir, Szef Departamentu Ochrony Urzędu Prezydenta od rana był w bardzo radosnym nastroju. Prezydent Borisov od czasu niespodziewanego ogłoszenia przed trzema miesiącami Alarmu Systemowego, również znajdował się nieprzerwanie w dobrym humorze. Nawet Oconnor bywał częściej niż zwykle uśmiechnięty. Każdy z tych trzech mężczyzn cieszył się z innego powodu.

Borisov pozbył się wszystkich mutantów z Ziemi i spokojnie przygotowywał ich powrót. Razem z nim przygotowywała się armia prawników i speców od propagandy. Wielki Mściciel rozsyłał ulotki i siał plotki o zepsuciu mutantów, o ich praktykach seksualnych, alkoholizmie i o strasznym ryzyku na jakie byłaby z ich powodu narażona Ziemia w przypadku rzeczywistego ataku Obcych.

Departament Obrony Kosmicznej wydał komunikat o przebiegu manewrów, w którym na marginesie stwierdził, że rzeczywiście niektóre załogi wystartowały z opóźnieniem z uwagi na trudności w dotarciu do części członków personelu latającego. Prasa genewska publikowała wspomnienia z Jaskini, w których powtarzało się z dziwną regularnością imię Peta, lansowanego wyraźnie na króla lekkoduchów.

Kollombo z podziwu godnym brakiem wyczucia wypowiedział się przeciwko pomawianiu nieobecnych, ostrzegając ludzi przed machinacjami prezydenta. W stosownym momencie, kiedy proces będzie w pełnym toku, Borisov wypomni mu to mimochodem, pogrążając ostatecznie w niebycie jego sny o wyborze.

Oconnor natomiast z podziwu godną intuicją popierał prezydenta, uważając jego niespodziewany manewr z Alarmem Systemowym za jedno z głębszych posunięć w historii walk wyborczych. Był pewien, że pozwolenie wszystkim mutantom na zebranie się legalnie w jednym miejscu, bez cienia możliwości oskarżenia ich o działalność - konspiracyjną było czymś gorszym niż zbrodnią - było zwykłym błędem.

Dokumentacja zebrana przez Wolne Geny przeciw mutantom nie zawierała niczego szczególnie odkrywczego. Posiadał natomiast niezbite dowody na to, że to prezydent zmontował działalność Wolnych Genów i świadomie zezwolił własnej córce na odgrywanie w nich ważnej roli. Dokumenty stwierdzały co prawda niezbitcie, że Alicja działa z przekonania i nie orientuje się w machinacjach tatusia, ale przecież nie był zobowiązany dzielić się tym faktem z wszystkimi. Prawdę mówiąc, nie zamierzał się nim dzielić z nikim. W chwilach wolnych układał sobie różne fragmenty przemówienia, które wygłosi w Parlamencie z okazji wykańczania Borisova. Jego ludzie przygotowywali już szacunkowe koszty Alarmu, którego celem była przecież jedynie chęć spokojnego rozpoczęcia kampanii wyborczej a nie potrzeba sprawdzenia czujności Floty. Suma była astronomiczna i nie wątpił, że odpowiednio skomentowana pograży nadzieje prezydenta. Jako gwóźdź do trumny dorzuci coś o amoralnym przymuszaniu córki do prostytucji. Sutenerstwo było karane od tysięcy lat. Tego punktu nie można było niestety zbyt rozwijać, ponieważ Alicja od chwili uzyskania pełnoletności, prowadziła się w sposób wywołujący rumieńce nawet u przyzwyczajonych, wydawałoby się, do wszystkiego urzędników z Genewy.

Hans Vir natomiast dobry humor uzyskał dzięki raportom swoich agentów, którzy wreszcie rozszyfrowali tajemnicę Mściciela. Zamierzał właśnie podzielić się tą wiadomością z Oconnorem. Wcześniej musiał jedynie przygotować mikrofilm wszystkich dokumentów dla faceta, który nadał mu tę sprawę. Hans Vir nie był może wzorem uczciwości i słowności, ale w

tym akurat przypadku doskonale rozumiał wagę otrzymanych informacji i co najważniejsze, spodziewał się dalszych owoców z tej tak mile zaczętej współpracy.

Oconnor przebywał w swojej rezydencji pod Genewą i tam właśnie udał się Vir. Wiceprezydent pracował w gabinecie, ale natychmiast przyjął Hansa.

- Mam nadzieję, że zostaniesz u nas na kolacji - zaproponował wspaniałomyślnie, kiedy tylko jego żona wyszła z gabinetu. - Przyszła pani prezydentowa chciałaby cię bliżej poznać - wyjaśnił tonem, który pozostawiał cień znaku zapytania nad zgodnością poglądów małżonków Oconnor.

- Z przyjemnością - Vir udał, że nie dostrzega rozterek swojego szefa. Było powszechnie wiadome, że w tym domu pani Kristine miała wiele do powiedzenia.

- Z czym przychodzisz? - Oconnor bez pytania zaczął przygotowywać dwa drinki w podręcznym barku.

- Mamy Mściciela - oznajmił Vir, odbierając podaną mu szklankę.

- Informację czy dowody?

- Wszystko. Pełną kopię jego teczki osobowej. Oconnor przeglądał podane mu dokumenty z nieukrywaną uwagą.

- Nieźle! - mruknął z zachwytem. - Nasz nieodżałowany przyjaciel Borisov będzie miał wkrótce mnóstwo kłopotów.

- Wolałbym nie ujawniać źródła tych informacji - zastrzegł się Vir.

- Nie będzie potrzeby. Opowiedz mi to wszystko po krotce, zanim pójdziemy na kolację. Kristine szykuje chyba jakąś niespodziankę. Wolałbym nie spóźnić się bez wyraźnej przyczyny.

- Mściciel. Naprawdę nazywa się Vlado Giza. Od dwudziestu trzech lat pracownik służb specjalnych. Zaczynał jako agent środowiskowy w centrali w Buenos Aires. Potem awansował do Genewy, gdzie zaczął błyszczeć jako jeden z najlepszych prowokatorów. Od dziesięciu lat przeniesiony do Wydziału Specjalnego pod bezpośrednie rozkazy Alfreda Boko.

Od sześciu lat kieruje organizacją Wolne Geny. Przed dziesięciu laty aktywnie współuczestniczył w ich reorganizacji z ramienia Wydziału Specjalnego. Postać wyraźnie drugopłanowa, ale szalenie niebezpieczna. Zbyt dużo wie. Po drugie, ciężko jest zlikwidować, bez wzbudzania podejrzeń, szefa takiej organizacji.

Mam kopię aktu nominacji na szefa Wolnych Genów podpisaną przez prezydenta Borisova.

- To jakaś lipa - Oconnor wyraźnie zdziwiony zaczął przeglądać dokumenty.

- Strona 356 - odpowiedział Vir.

- Podpis wygląda na autentyczny - mrucał do siebie Oconnor, przypatrując się dokumentowi. - Chociaż, nie mogę sobie wyobrazić, żeby taki stary lis jak Borisov pozostawiał takie wyraźne dowody.

- Za autentyczność tego dokumentu ręczę głową. Oryginał leży w osobistym archiwum prezydenta.

- Sprawdź, czy to nie jest prowokacja. Może stary wywahał nasze działania i próbuje nas podpuścić.

- Sprawdzę. Ale to wygląda na autentyk. Sam na miejscu Gizy nie zgodziłbym się na przyjęcie takiej funkcji bez pisemnego potwierdzenia z wysokiego szczebla.

- Ale, żeby sam prezydent?

- Może po prostu nie chce w to wszystko wtajemniczać zbyt dużej liczby osób? Siła tej intrygi polega na utrzymaniu tajemnicy. Wszyscy terroryści muszą działać z autentycznym przekonaniem. Nawet w czasie przesłuchań. Byle wykrywacz kłamstw narobiłby takiego skandalu, że nikt z osób odpowiedzialnych nie utrzymałby się na swoim stanowisku dłużej niż do czasu wydania porannych dzienników.

- Zawsze są sposoby na zatuszowanie pewnych spraw.

- Ale w pojedynczych przypadkach. Jeżeli stałoby się to regułą w przypadku jednej grupy to wszyscy prezydenci krajów Federacji zorientowaliby się w tym w przeciągu kilku miesięcy.

- Chyba masz rację, ale sprawdź to jeszcze raz. A co z Alicją?

- Ma trzy komplety dokumentów na trzy różne nazwiska. Wszystkie wystawione osobiście przez Boko. No i oczywiście prezydenckie laissez passez in blanco. Ze strony policji nic jej nie grozi. Z raportów agentów wynika, że daje sobie z nimi zupełnie niezłe radę. Ma kilka chwytów, których nie mogą rozszyfrować do dziś dnia. No i dopięła wreszcie swego. Z Petem Holem trwa już od pół roku pełna idylla. Jaskinia, jego apartament, częste wyjazdy do kurortów.

- Co z jej ochroną osobistą?

- Boko odstawia obstawę na czas tajnych wypadów pod pozorem przesunięcia ekip. Ponieważ poszczególne ekipy się nie znają i praktycznie się ze sobą nie kontaktują istnieją małe szanse na wpadkę. Resztą zajmuje się sam prezydent, kryjąc ją na różne, subtelne zresztą, sposoby. Ostatnim elementem przykrywkki jest znana powszechnie niechęć Alicji do obstawy, której często się zrywa. To wszystko trwa z powodzeniem już dobrych kilka lat.

- No, to trzeba czekać na ruch Borisova - stwierdził z zadowoleniem Oconnor dopijając do końca drinka.

- Przygotowania do procesu mają się ku końcowi. Najdalej za dwa miesiące ruszy pełną parą kampania telepraszowa. Mutanci powrócą na Ziemię w tym samym czasie.

- Kto ich pilnuje?

- Niestety, nie miałem szans na upchnięcie swoich ludzi we Flocie z powodu tego idiotycznego alarmu. Stali agenci niczego ciekawego nie donoszą. Dla nich to tylko koledzy.

- To nasza wina. Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć - Oconnor wstał zza biurka. - Chodźmy lepiej na kolację zanim Kristine nie przyjdzie po nas z awanturą.

* * *

Alfred Hildor dawno już nie czuł się tak młodo i radośnie. Przede wszystkim lubił tą niepowtarzalną atmosferę Alarmów Systemowych, podczas których wszyscy piloci i żołnierze Floty czuli się naprawdę złączeni ze sobą przez wielką tajemnicę. Tego nie zrozumie nigdy żaden cywil. Mimo, że wszyscy przecież zdawali sobie sprawę z umowności tych ćwiczeń, przecież cała reszta była prawdziwa. Broń, ostra amunicja, szyk bojowy. Gdyby to była prawdziwa wojna, to wielu z nich nie siedziałoby teraz w tej sali w Bazie na Marsie, słuchając nudnego sprawozdania z przebiegu rozśrodkowania jednostek bojowych. Hildor był przekonany, że Borisov musiał uważać pomysł niespodziewanego ogłoszenia tego alarmu za genialny. Pozwolił mu przecież odizolować całkowicie mutantów od wydarzeń na Ziemi. Gdyby nie idea Sonorova o poinformowaniu o wszystkim Oconnora, to prawdopodobnie po ich powrocie na Ziemię mogliby jedynie czekać na aresztowanie.

W tej atmosferze tajemnicy Hildor porozmawiał szczerze z kilkoma znanymi poplecznikami prezydenta, któremu przecież doniosą o tym spoufaleniu się jego ludzi z mutantami. Najdłuższą, choć zupełnie niepotrzebną, rozmowę i to w cztery oczy odbył z admirałem Bronem - Dowódcą Naczelnych Sił Zbrojnych. Tym samym skompromitował go w oczach Borisova może nie do końca, ale wystarczająco, żeby nadszarpnąć opinię o jego lojalności uznawanej dotąd za niepodważalną. Borisov był maniakiem, a Bron zdawał się nie do końca to sobie uświadamiać.

Hildor czuł, że nadchodzi najważniejszy w jego życiu moment. Za kilka miesięcy będzie ostatecznie wiadomo kto wygrał tę batalię, w której stawką dla jednej strony był fotel prezydencki, a dla drugiej życie.

Nie tak to sobie wszystko wyobrażał, kiedy po raz pierwszy spotkał się z prezydentem Howardem. W przeciwieństwie do Borisova, który był zwykłym karierowiczem Howard, jako jeden z nielicznych - jeżeli nie jedyny - prezy-

dent Ziemi posiadał osobistą charyzmę. W innych czasach byłby zapewne wysokim funkcjonariuszem hierarchii klerykalnej. Ponieważ jednak przez ostatnie trzysta lat na Ziemi obserwowano się wyraźny odwrót od wszelkiego rodzaju religii, Howard został politykiem. Sprawował nieprzerwanie urząd prezydenta przez prawie czterdzieści lat, wygrywając pod rząd osiem kolejnych kampanii wyborczych. Do dziś dnia stanowiło to absolutny rekord wszechczasów ciągłego sprawowania władzy. Hildor chwilami żałował, że prezydent Howard nie był długowiecznym mutantem. Uniknąłby dzięki temu tych wszystkich kłopotów, które stały się udziałem jego i jego dzieciaków za Borisova. Dwieście czterdzieści lat temu razem z Sonorovem zostali zaproszeni do pałacu prezydenckiego przy zachowaniu nadzwyczajnych środków ostrożności. Bo też i w tamtych czasach chodziło o temat, który był dynamitem politycznym. Howard pragnął eksperymentalnie stworzyć grupę zmutowanych kosmonautów, a Hildor miał być głównym wykonawcą tego projektu.

- Panie profesorze - zaczął bez żadnych wstępnych formalności - admirał Sonorov, który przez ponad rok był naszym łącznikiem naświetlił panu wystarczająco dokładnie mój plan. Pragnę mieć doświadczalną grupę pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet stworzonych specjalnie dla potrzeb służb kosmicznych. Nie chcę żadnych maszkar zdolnych do pracy w skrajnie trudnych warunkach, bo do tego mamy roboty. Chcę mieć natomiast ludzi o bardzo długiej średniej wieku, nadzwyczajnej kondycji fizycznej i odporności psychicznej. Pan jest genetykiem i może pan tego dokonać. Co więcej, jest to pana jedyna szansa na prowadzenie prac w tej dziedzinie. W każdym innym przypadku tłum może pana zlinczować. Nie twierdzą zresztą, że tak się nie stanie mimo wszystko. Pana zadanie jest tak tajne, że oficjalnie nic o nim nie wiem. Jeżeli cała rzecz się wyda, to oczywiście będzie pan musiał radzić sobie sam. Rząd ani ja osobiście nie udzielimy panu oficjalnie żadnej pomocy. Admirał Sonorov otrzymał ode mnie specjalne

rozkazy uprawniające go do podejmowania nadzwyczajnych decyzji bez potrzeby konsultowania się z moimi następcami gdybym umarł lub po prostu nie został wybrany na następną kadencję. Prezydent ma możliwość wydawania takich pełnomocnictw wybranym osobom. Sonorov otrzymał rozkaz ważny na 50 lat. Dalej moja władza nie sięga. Kiedy pan może przystąpić do prac i kiedy otrzymam pierwsze rezultaty? Proszę pamiętać, że realnie nie będę mógł pana kryć dłużej niż jakieś dwadzieścia lat - Howard uśmiechnął się trochę smutno i dodał wyjaśniająco - mam już prawie sześćdziesiąt lat.

- Panie prezydencie - odparł Hildor wykonując jednocześnie lekki skłon głowy w stronę Sonorova. - Admirał rzeczywiście przedstawił mi pańskie poglądy bardzo wiernie, za co mu gorąco dziękuję. W sprawie tego typu można przemilczać wiele, ale nie wolno się oszukiwać. Jak panu wiadomo moje prace teoretyczne i eksperymentalne są praktycznie ukończone. Mówiąc szczerze, mogę pana zapewnić, że wszystkie pańskie warunki odnośnie średniej życia i parametrów fizyczno - psychicznych mutantów - bo pragnąłbym, żeby pan nie robił sobie żadnych złudzeń, to będą klasyczni mutanci - są dla mnie oczywiste i bez wątpienia zostaną spełnione. Nie mogę natomiast obiecać panu, że będą to jedyne ich zalety. Z moich badań wynika, że tacy ludzie będą posiadali potencjalnie nieograniczone możliwości. Osobiście jestem pewien, że wszyscy będą dysponowali zdolnościami telepatycznymi, ale to jest jedyne co jestem w stanie przewidzieć. Mogą posiadać również zdolności telekinezy i Bóg jeden wie, co jeszcze. Czy dalej jest pan za dokonaniem tego eksperymentu?

- Co pan rozumie przez sformułowanie: potencjalnie nieograniczone możliwości?

- W stosunku do swojego stopnia komplikacji mózg ludzki jest obecnie wykorzystywany w minimalnym procencie. Wiemy, że zmysły i myślenie w jakiś sposób są związane z kodem DNA, z tzw. pamięcią genetyczną etc. Odkryłem sposób na badanie ewolucji rozkazów zawartych w DNA i na tej pod-

stawie opracowywania najbardziej prawdopodobnej drogi ich dalszego rozwoju. Nauczyłem się kontrolować pewne cechy, jak na przykład długość życia czy właśnie zdrowie fizyczne. Jeżeli chodzi o cechy psychiczne, to mogę zaledwie domyślać się zależności, ale nigdy nie odważę się nimi manipulować. W chwili obecnej jestem w stanie ustalić najbardziej prawdopodobne kierunki ewolucji zapisu DNA w ciągu około stu tysięcy lat. Mogę panu zagwarantować, że pod względem fizycznego wyglądu i głównych cech psychicznych, np. uczuć, to będą ludzie w dzisiejszym sensie tego słowa. Mogę się domyślać, że w ciągu stu tysięcy lat ewolucji w optymalnych warunkach, a przecież symulacja komputerowa zapewnia pewną optymalność warunków i to mimo błędów ekstrapolacji, człowiek rozwinię w sobie zdolności telepatyczne, ponieważ cechy te obserwuje się u wielu ludzi w formie szczątkowej od ponad tysiąca lat. Są na to pisane dowody. Podobnie jeżeli chodzi o tzw. telekinezę, chociaż tutaj już nie byłbym taki stanowczy. Co do reszty? - Hildor rozłożył bezradnie ręce. - Tak więc ich potencjalnie nieograniczone możliwości należy rozumieć dosłownie.

Sonorov kręcił się niespokojnie w fotelu. Howard milczał trawiąc usłyszane informacje. Jedynie Hildor spokojnie znosił zapadłą nagle ciszę. Do pokoju wsunął się wezwany przez Howarda sekretarz.

- Trzy kawy, kanapki i koniak - polecił prezydent i dalej milczał. Dopiero kiedy przyniesiono zamówienie i wszyscy zajęli się kieliszkami koniaku, gardząc kawą i kanapkami, Howard przerwał milczenie.

- Skoro to ja mam się bawić w Boga, to chciałbym wiedzieć jakie są szanse na bunt tych aniołów?

- Wiele zależy od otoczenia. Przy prawidłowym wychowaniu, opiece i braku ataków nie widzę powodów do buntu. Boję się natomiast o ich przydatność do służby we Flocie. Jeżeli staną się ofiarami niewybrednych ataków tłumów, prasy, polityków i całej reszty, jeżeli co krok będzie się podkre-

ślało ich odmienność, to boję się czegoś zupełnie odwrotnego. Oni mogą być super odporni psychicznie, ale przecież to będą ludzie. Prawie tacy sami jak pan czy ja. Cechy, o których mówiłem zaczną się ujawniać powoli i nie u wszystkich jednocześnie. Tego jestem pewien. Z czasem zapewne zaczną wykazywać sporą dozę arogancji i pewności siebie, ale to sprawa dalszej przyszłości. Dzisiaj martwiłbym się o ich prawidłowe wychowanie, a przede wszystkim o zapewnienie im pewnej niezależności, tak materialnej jak i fizycznej. Jestem trochę zwariowanym naukowcem; być może potomni uznają mnie za zbrodniarza, ale nie chcę być posądzony o brak serca. To taka moja mała mania.

Howard uśmiechnął się dyskretnie i spojrzał pytająco na Sonorova.

- Co pan o tym sądzi, admirał? - zapytał.

- Myślę, że można będzie po urodzeniu wysłać wszystkie dzieci do sierocińców Floty. W ten sposób dość naturalnie zagwarantujemy sobie ich przyszłą służbę we Flocie. Przy okazji rozwiąże to problem opieki materialnej. Wątpię jednak, żeby sierociniec mógł im zagwarantować odpowiednią opiekę psychiczną.

- Zastanawiałem się nad tym, panie prezydencie - wtrącił się Hildor. - Myślę, że Flota może rozpocząć, za powiedzmy trzy, cztery lata, eksperyment wychowawczy mający na celu zagwarantowanie u przyszłych pilotów odpowiednich predyspozycji psychicznych. Myślę o rodzinach zastępczych. Oczywiście należałoby objąć takim eksperymentem więcej dzieci niż się urodzi w ramach naszego eksperymentu. Jeżeli nawet część z nich dość wcześnie wykaże pewne odchylenia od normy, to nawet lepiej, bo przecież na dłuższą metę i tak nie da się ukryć ich odmienności. Nawet w żartach ktoś ich w końcu nazwie mutantami.

- Widzę profesorze, że pan wszystko przewidział

- Howard przyglądał się Hildorowi z pewną dozą podejrzliwości - ale to dobrze. Spodziewałem się po panu czegoś

takiego. Pomysł uważam za dobry. Admirał Sonorov przedstawi mi, w ciągu powiedzmy pół roku, założenia takiego eksperymentu wraz z propozycjami rodzin zastępczych. Chciałbym, żeby nasze dzieci - wyraz nasze podkreślił wyraźną zmianą tonu - zostały umieszczone w rodzinach o przeciętnym stopniu zamożności. Nie jestem zwolennikiem zbytniego rozpieszczania naszej przyszłej elity. Ja też mam swoje małe małe, profesorze.

* * *

Nagły hałas wyrwał Hildora z zamyślenia. Zebranie dobiegało końca. Następna część, która rozpoczęła się po krótkiej przerwie, dotyczyła oceny pilotów i nawigatorów. Przewodniczył jej Sonorov. Większość wyższych oficerów sztabu nie uznała za stosowne dosiedzieć do końca i zaraz na samym początku wyszła z sali. Wszyscy doskonale wiedzieli, że dowódca Bazy Marsjańskiej wydaje dziś przyjęcie w ścisłym gronie. Mówiło się nawet, że część statków zamiast ładunków bojowych wiozła na Marsa odpowiednie produkty, najczęściej alkoholowe.

Hildorowi było to jak najbardziej na rękę. Kiedy zebranie wpadło na zwykłe tory gadulstwa i każdy w jak najbardziej naturalny sposób zajmował się czymkolwiek, byle tylko dotrwać do końca nie umierając z nudów, Hildor pochylił się do siedzącego obok Jeniego i szeptem wyjaśnił, że pragnie połączyć się z wszystkimi mutantami. Jeni przez chwilę coś sobie rozważał w myślach, ale nie sprawiał wrażenia kogoś zupełnie zaskoczonego sytuacją. Po chwili Hildor usłyszał w swoich myślach spokojny głos Kira Jeniego:

- Wszyscy podłączyli się na mnie. Baliśmy się, że ty możesz tego nie wytrzymać.

- Przeceniacie się - nadał zirytowany Hildor. Nie lubił kiedy ktoś wypominał mu jego wiek, ale w gruncie rzeczy był zadowolony, że nie musi otwierać swoich myśli jednocześnie

dla całej trzydziestki. Był to proces dość wyczerpujący, jeśli chciało się utrzymać ciągłą łączność.

- Przepraszam - dodał zaraz - w gruncie rzeczy mógłbym się czymś zdradzić. Na początek chcę, żebyś sprawdził w moich myślach wszystko, co dotyczy naszej sytuacji na Ziemi. Nie czytaj tylko nazwisk moich popleczników. Część z was mogłaby się wygadać po pijanemu.

Jeni zignorował ostatnią uwagę, ale posłusznie zastosował się do życzenia Hildora. Był on dla całej trzydziestki czymś więcej niż ojcem. Żywili dla niego prawie bałwochwalczy podziw pomieszany niekiedy z nienawiścią za sam fakt ich stworzenia. W czasie procesu dojrzewania u każdego z nich zaszło coś dziwnego, czego nie mogli sobie do dziś dnia wytłumaczyć. Mimo olbrzymiej troski swoich przybranych rodziców, każde traktowało Hildora jak ojca już w momencie jego pierwszej wizyty kontrolnej. Sam Hildor nie potrafił tego wyjaśnić. Był dzięki temu najlepiej obstawioną osobą w całym Układzie. Wystarczyło jedno jego słowo, żeby mutanci zabili każdego, kto w danej chwili stanowił dla niego zagrożenie.

Przez dłuższą chwilę Hildor nie odebrał żadnej wiadomości. Natomiast Jeni musiał prowadzić ożywioną dyskusję myślową, bo w pewnym momencie wrzucił mimo woli ramionami, nie mogąc komuś czegoś wytłumaczyć.

- Pet jest najbardziej wściekły ze wszystkich - odebrał wreszcie. - Trzeba go będzie utemperować.

- Jakie są wasze propozycje?

- Feniks.

Hildor uśmiechnął się w myślach. Dla mutantów wszystko było takie proste...

- To nasza jedyna szansa - odpowiedział Jeni, który oczywiście dalej śledził jego myśli. - Sonorov wpadł na najlepszy pomysł. Takie jest zdanie wszystkich.

- Borisov nigdy się na to nie zgodzi. Próbowaliśmy już to zrobić razem z Sonorovem.

- Długo dyskutowaliśmy nad tym i mamy następującą propozycję...

Hildor w ułamku sekundy wchłonął przemyślenia całej trzydziestki. Ich plan był adaptacją tego, co sam wymyślił razem z Sonorovem. Należało jedynie cierpliwie czekać, aż dojdzie do otwartego starcia między Borisovem a Oconnorem. Pierwszy zobaczy wtedy, że dał się wpuścić w pułapkę i będzie desperacko szukał możliwości wycofania się bez rozgłosu. Drugi natomiast, będzie mu w tym pomagał, ponieważ Borisov w każdej chwili będzie w stanie pociągnąć go za sobą w przepaść polityczną. Dojdzie do klasycznego pata. Wtedy Feniks stanie się dla obu stron najlepszą gwarancją zamknięcia tej rozgrywki na kilkadziesiąt lat. Najlepiej do końca życia.

Szkopuł polegał na dostarczeniu obu stronom odpowiedniej ilości materiałów kompromitujących przeciwną stronę.

Hildor przez chwilę trawił przedstawione mu szczegóły działania.

- Jest w tym tylko jeden słaby punkt - pomyślał wreszcie. - Brak gwarancji, że pozostaniemy przy życiu. Politycznie być może nie będą mieli innego wyjścia jak wziąć na wstrzymanie, ale zapominacie o urażonej ambicji. Żaden z nich nie ścierpi myśli, że manipulowali nim mutanci. A wcześniej czy później obaj dojdą do takiego wniosku. Musimy wymyśleć dodatkowo coś, co pozwoli chociaż na trochę utrzymać w garści każdego z nich. Coś, co będzie tak kompromitujące, że nie ośmielą się nawet myśleć o zamachu na nasze życie.

- Jest Pet i ta jego Judith.

- Marionetka w ręku prezydenta. Poza tym Peta zbyt łatwo jest omotać. Ma jeszcze za wiele skrupułów.

- A gdyby tak działać bardziej otwarcie? Gdybyś ty sam skontaktował się z Borisovem?

- Nigdy nie dopuszczą mnie nawet do jego sekretarki.

- Jeżeli Borisov i Oconnor będą już wiedzieli, że z procesem im nie wyjdzie, to istnieją duże szanse na to, że Borisov zgodzi się na spotkanie z tobą.

- I co z tego?

- Wszystko będzie zależało od tego, gdzie się spotkacie.

- Was jest trzydzieścioro, a ja sam jeden. Nie nadążam.

Wyjaśnijcie mi szczegóły.

- Uważamy, że w czasie najbliższej sesji Parlamentu któryś z nich zechce oficjalnie zaatakować drugiego. Jeżeli uda się ich do tego czasu odwieść od pomysłu procesu, to korzystając z zamieszania widzimy szansę na spotkanie w samym gmachu Parlamentu.

- Gmach będzie monitorowany przez tajnych agentów ze służby Boko. Żaden się na to nie odważy.

- Chyba, że wszyscy tam będziemy i ubezpieczymy was.

- Powstanie mnóstwo plotek. Ludzie odbiorą to jako demonstrację.

- Jeżeli nasz plan się uda, to będzie to nam na rękę. Będą musieli coś szybko z nami zrobić, żeby uspokoić opinię publiczną.

- Szalenie ryzykowne. A co z Oconnorem?

- Zajmie się nim Anna.

To krótkie stwierdzenie było o wiele bardziej wymowne niż mogłoby się zdawać. Mutanci rzadko kiedy uciekali się do ostateczności, ale w tym wypadku to stwierdzenie nabierało bardzo groźnej wymowy. Anna Bor była bez wątpienia jedyną osobą, która potrafiła usidlić każdego mężczyznę na Ziemi. Nawet jeżeli był on, jak Oconnor, zaślepiony żądzą władzy. Hildor wolał nie myśleć o tym, jakimi metodami Anna zamierza działać.

- Zgoda. Do czasu powrotu na Ziemię nie będziemy się kontaktować. Przed odlotem każde z was i tak musi zgłosić się do mnie na badania kontrolne.

Do końca zebrania żadne z nich nie odezwało się już do niego. On natomiast jeszcze raz zaczął się zastanawiać nad sy-

tuacją. Nie mógł jednak oprzeć się uczuciu podziwu dla doskonałości swoich dzieciaków, jak je nazywał Sonorov. Choć każdy plan był dobry tylko wtedy, kiedy udało się go zrealizować. W tym wypadku było zbyt wiele rzeczy, o których nie wiedzieli.

Po zebraniu spotkali się z Sonorovem w jego kwaterze. Przez chwilę Hildor uważnie rozglądał się dookoła, szukając podejrzliwie mikrofonów.

- Nie ma obawy - uspokoił go Sonorov - sam sprawdzam. Pokój jest czysty. Nie mieli czasu na założenie podsłuchu.

- Nigdy nie wiadomo.

- Sprawdzam - powtórzył Sonorov z wyrzutem.

- Wybacz. Nerwy mnie ponoszą - Hildor pokiwał ze znużeniem głową. - To wszystko zaczyna mnie przerastać. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że to nie my kierujemy dziećmi, a one zaczynają kierować nami.

- Na zebraniu?

- Mhm.

- Ciągłe zapominam, że są telepatami. Czymś jeszcze?

- Nie wiem - Hildor wstał z fotela i nie pytając gospodarza poczęstował się stojącym w szafce koniakiem.

- Mnie też nalej.

- Odprysk z przyjęcia dla bossów?

- Raczej zapobiegliwość starego pilota. Co cię trapi? Coś z dziećmi?

- Nie wiem, czy ujawniły się w nich jakieś dodatkowe zdolności oprócz telepatii. Wiem na pewno, że są długowieczni.

- A więc co?

- Potrzebowali dziesięciu sekund na podjęcie decyzji, która nam zajęłaby pół dnia. Oni nas tak daleko przegonili, że nie jesteśmy nawet w stanie tego sobie wyobrazić. Jeżeli kiedykolwiek ktokolwiek zdecyduje się ich zaatakować, to posypie się tyle trupów, co w czasie ostatniej Wojny Klonów.

- Obawiasz się czegoś konkretnego? Czy są to raczej twoje podejrzenia?

- Szczerze mówiąc, chyba posiadli umiejętność sterowania umysłem kontrolowanego. Odnoszę takie wrażenie po tym, jak oświadczyli, że Anna zajmie się Oconnorem. Są pewni, że jej się to uda.

- Sam mówiłeś, że mają potencjalnie nieograniczone możliwości. Powinieneś się raczej cieszyć. Jesteś chyba jedynym naukowcem, któremu dane jest przez ponad dwa wieki obserwować na bieżąco rozwój swojego eksperymentu.

- Paradoksy podróży kosmicznych. Relatywistyczne skrócenie czasu. To powinno być zakazane. Za stary jestem na to - Hildor ponownie sięgnął po butelkę i nalał sobie drugą lampkę. - Oni wymyślili coś innego. Nie wiem dlaczego, nie chcą mi o tym powiedzieć. Po raz pierwszy mają przede mną jakąś tajemnicę. Czuję to. Wiem na pewno.

- Szczerze mówiąc, przez całe lata obawiałem się tego, że nadejdzie chwila, w której któryś z prezydentów wypowie im otwartą wojnę. Oni będą musieli przegrać, ale on zginie razem z nimi. O tym byłem zawsze przekonany.

Sonorov zamilkł. Wolnym, zmęczonym krokiem podszedł do szafki i nalał sobie dużo więcej niż wynosiła zwyczajowa miarka lampki koniaku.

- Borisov nie powinien tego robić - dodał, kiedy usiadł ponownie w swoim fotelu.

- Po prostu przegraliśmy. Nasz eksperyment zakończył się fiaskiem. Te wszystkie lata poszły na marne. Mutanci nie mają szans na przeżycie w naszym społeczeństwie.

To nie twoja wina.

- Nie można tu mówić o winie. Nie żałuję niczego. Żał mi po prostu dzieciaków. Żał mi ciebie i siebie. W gruncie rzeczy byliśmy naiwnymi idiotami, którzy wierzyli, że świat jest lepszy niż nam się wydawało. Polityka ma swoje prawa, a tego nie wzięliśmy w rachubę. Planując eksperyment trwający kilka wieków powinniśmy byli uwzględnić również rozwój społeczeństwa.

czeństwa, w którym żyjemy. Zbyt daleko oderwaliśmy się od rzeczywistości. Byliśmy pochłonięci lotami i długowiecznością. To kosztuje.

- Teraz trzeba spróbować pomóc im za wszelką cenę.

- Obawiam się, że oni już nie potrzebują naszej pomocy. Przynajmniej nie w takim sensie jak dotychczas. Borisov nieświadomie zintegrował ich w grupę złączoną najsilniejszą z możliwych więzi: poczuciem obcości na Ziemi. W tej chwili rozpoczęli własną grę, w której to my jesteśmy pionkami.

- Obawiasz się jeszcze czegoś? Hildor pokręcił głową.

- Nie wiem. Uświadomiłem sobie, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć tego, co oni wymyślą. W każdym bądź razie mają jakiś plan, o którym nam nie mówią. A jeżeli nie mają go jeszcze, to wkrótce dojdą do niego.

- Nie wierzę, żeby nam coś groziło z ich strony.

- Bzdura! Nie o nas chodzi - zachnął się Hildor. - Są zbyt aroganccy. Przekonani o własnej wyższości. Niezniszczalni. I wiedzą, że nie ma takiego miejsca na Ziemi, w którym mogliby się ukryć dłużej niż na kilka lat. Pójdą na całość. Oni albo ludzkość.

- Chyba odmawiasz im inteligencji, którą sam ich obdarzyłeś. Chcą dostać Feniksa i na jakiś czas odlecieć. Nie traktuj ich jak bogów. W kosmosie nic z tego statku nie zrobią. Nie są w stanie przerobić go na jakąś super broń.

- Mówiłem ci, że się starzeję. Nerwy i wyobraźnia - Hildor dopił resztkę koniaku i odstawił kieliszek na stolik. - Muszę spalić dwóch swoich ludzi, żeby Borisov dostał wszystkie informacje, które dzieciaki chcą mu przekazać. Mówiłem ci kiedyś, że mam około dwudziestu ludzi, którym mogę ufać i którzy są odpowiednio wysoko postawieni, żeby zagwarantować skuteczność działania. Przed alarmem poświęciłem jednego, żeby Oconnor dowiedział się, co naprawdę zamierza Borisov. Teraz muszę ruszyć jeszcze dwóch. Zostanie mi więc na decydującą rozgrywkę zaledwie siedemnastu.

I trzydziestu mutantów - dodał Sonorov - nie zapominaj o nich.

* * *

Wiceprezydent Oconnor marzył. Wyciągnięty niedbale w miękkim, skórzanym fotelu ustawionym na tarasie jego posiadłości pod Genewą, w myślach siedział już na prezydenckim fotelu. Na stoliku obok spoczywała cała dokumentacja, którą dostarczył mu Hans. Na samym wierzchu leżał projekt przemówienia, które zamierzał wygłosić w Parlamencie. Cyfry mówiły same za siebie. Borisov miał przed sobą jeszcze miesiąc życia jako polityk. Dla Oconnora był już trupem.

Przez chwilę igrał z myślą dogadania się ze swoim przełożonym. Myśl ta wydała mu się warta głębszego zastanowienia i odnotował sobie w pamięci, że musi to rozważyć.

Hans Vir spisywał się wyśmienicie. W ciągu niebywale krótkiego czasu rozpracował Borisova i Boko. To oczywiście mogło się wydawać podejrzane, ale przecież najważniejsze było wpaść na pomysł powiązania prezydenta i jego najbliższych współpracowników z mutantami i Wolnymi Genami.

Reszta była już prosta. Przynajmniej dla takiego zawodowca jak Vir. Na wszelki wypadek Oconnor postanowił nie obdarzać go żadnym znaczącym stanowiskiem w rządzie, dopóki nie uzyska czegoś wybitnie go obciążającego. Tylko, że w dzisiejszym zdegenerowanym społeczeństwie coraz trudniej było o coś, co naprawdę szokowało naród i dyskredytowało kogoś na zawsze.

Milcząco pokręcił głową, ubolewając nad ciężkim losem polityków w obecnych czasach, sięgnął po karafkę stojącą na stoliku i zaserwował sobie kieliszek likieru czekoladowego. Był zwolennikiem starych, sprawdzonych trunków.

Wypił odrobinę i zamknąwszy oczy, z zadowoleniem delektował się jego smakiem. Potem zaczął w myślach ustawiać meble w swoim prezydenckim gabinecie.

Nagle ktoś dotknął jego ręki.

- Jeszcze nie jesteś prezydentem - usłyszał głos Kristine.

- Pierwsza dama Ziemi powinna już myśleć o nowych strojach na inaugurację kadencji.

- Która trwa średnio dwadzieścia lat - Kristine spojrzała na niego jakoś zbyt poważnie. - Naprawdę myślisz, że ci się to uda?

- Zły nastrój? - Oconnor przyciągnął żonę do siebie i delikatnie zmusił, żeby usiadła mu na kolanach.

- Nie podoba mi się to, co robisz.

- Wyrzuty sumienia? - Oconnor spojrzał na nią z udanym przerażeniem. - Kochanie! Zaskakujesz mnie.

- Raczej kobieca intuicja.

Oconnor zbyt dobrze znał swoją żonę, żeby teraz zlekceważyć jej wizytę.

- Coś konkretnego?

- Wiesz, że zanim ciebie poznałam byłam dość zaprzyjaźniona z żoną poprzednika Borisova.

- Słyszałam o twojej przyjaźni z Karpową. Nawet się trochę dziwiłem, bo przecież ona miała wtedy dobrze ponad osiemdziesiąt lat, a ty dwadzieścia.

- To inna historia. Ona była przyjaciółką naszego domu. Kiedyś przyjaźniła się z moim ojcem. Nie to jest ważne. Jak wiesz, ja również miałam okres ślepej nienawiści do mutantów. Kilka miesięcy przed jej śmiercią zapytałam ją, dlaczego prezydent nie każe rozstrzelać tych wszystkich odszczepieńców.

- Ciekawe - Oconnor odstawił kieliszek z likierem na stolik.

- Usłyszałam, że wszyscy żyjący jeszcze mutanci są znani i znajdują się pod stałą obserwacją. Powiedziała, że są właściwie niegroźni. Wtedy ją spytałam, dlaczego robi się tą całą propagandę o zagrożeniu z ich strony. Odparła, że to zabezpieczenie przeciw niekontrolowanym mutacjom naturalnym, które i tak się zdarzają. Tak na wszelki wypadek.

- Co kilkadziesiąt lat - dodał Oconnor. - To prawda. Nasze badania potwierdziły to niezbicie.

- To dalej wydawało mi się dziwne. Odczekałam kilka miesięcy i ponownie wróciłam do tej rozmowy. Wtedy Karpova była już chora i chyba nie do końca panowała nad sobą. Kazała mi przysiąc, że to co powie zachowam wyłącznie dla siebie. Potem wyznała, że stary Karpov kilka razy próbował doprowadzić do procesu mutantów Hildora dla wzmocnienia swojej pozycji i za każdym razem tchórzył. Wreszcie doszło do tego, że Hildor oddał mu dużą przysługę w zamian za zostawienie jego dzieciaków w spokoju. Tuż przed śmiercią swojej żony prezydent zniszczył wszystkie akta dotyczące tej sprawy. Nie wiem, czy była to część umowy z Hildorem, czy też działał z własnej inicjatywy. Karpova dodała jeszcze, że mutanci są tak niebezpieczni, że wszelkie próby zabicia ich muszą się skończyć śmiercią osób, które tego spróbują.

Staruszka musiała mieć dobrze poprzewracane w głowie - Oconnor był wyraźnie rozbawiony usłyszaną historią.

- Nie. Była do końca zupełnie sprawna umysłowo. Czy zastanawiałeś się, dlaczego żaden z poprzednich prezydentów nie sięgnął po ten oczywisty i zupełnie banalny chwyt polityczny? Mutanci Hildora żyją ponad dwieście lat. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby ich o cokolwiek oskarżyć. Co najwyżej zadawano się nagonką w środkach przekazu. Dopiero Borisov zdecydował się na ten krok. Pierwszy prezydent po Karpovie, Pierwszy, który nie miał dostępu do owych tajemniczych akt.

Kochanie - Oconnor przyglądał się swojej żonie z lekkim niedowierzaniem - chyba nie wierzysz w te brednie. Żaden z poprzedników Borisova nie potrzebował sięgać po mutantów. Dopiero teraz sytuacja polityczna na Ziemi tak się skomplikowała, że każdy - nie tylko Borisov kto chce sięgnąć po fotel prezydencki, musi wyjść z czymś niezwykłym. Z czymś na skalę mutantów. To tylko trzydzieści osób. Zdemoralizowanych, niezdyscyplinowanych, wzajemnie się nienawidzących i

pogrążonych, z dwoma wyjątkami, w różnych nałogach. Zaręczam ci, że nie mamy się czego obawiać.

- Nikomu nie mówiłam o tej rozmowie z Karpową. Jesteś pierwszy. Czy pomyślałeś o tym, że Karpov mógł naumyślnie zniszczyć te akta, wiedząc że Borisov wcześniej czy później sięgnie po tę sprawę? Przecież on doskonale wiedział, kto będzie jego następcą. Był zbyt dobrym politykiem, żeby nie zdać sobie sprawy z ówczesnej sytuacji. A wiesz równie dobrze jak ja, że gdyby nie śmierć żony, to nigdy nie dopuściłby Borisova do władzy. On już wtedy wykazywał się szczególnymi zdolnościami do zjednywania sobie wrogów politycznych.

- Zemsta z za grobu? - Oconnor przez chwilę rozważał tę ewentualność. - Nie sądzę. To zbyt melodramatyczne.

- A jednak. Ona wierzyła w to co mówiła. I choć może to zabrzmieć śmiesznie, ja jej do dziś wierzę.

- Chcesz, żebym się cofnął tuż przed celem? Nigdy!

- Chcę tylko, żebyś nie wywlekał tej sprawy na światło dzienne.

Wystarczy jeśli zagroziysz Borisowowi jej ujawnieniem i zażadasz jego wycofania się z polityki.

- Nie sądzę, aby się na to zgodził. Prędeż naśle na mnie Boko, żeby mnie zabił.

- Jeżeli go zmusisz do publicznego ogłoszenia swojej decyzji, tak żeby nie miał czasu skontaktować się z żadnym ze swoich współpracowników, to żaden z nich nie odważy się na taki krok.

- Boko jest kimś tylko przy Borisovie. Będzie za niego walczył do końca.

- Zaoferuj mu jakieś stanowisko.

- Sam bym na jego miejscu nie potraktował tego poważnie.

- Vir jest w stanie zapewnić ci ochronę.

- Chcesz, żebym go wtajemniczył? To już chyba lekka przesada.

- Myślę, że powinien ci przydzielić silną ochronę. Osobi-
stą i twojej rezydencji. To zupełnie naturalne.

- Zrobię tak. Zresztą ma tu być lada moment z najnow-
szymi faktami. Podobno Borisov przechodzi do otwartego
uderzenia.

- To dziwne - Kristine wyswobodziła się z ramion męża
i podeszła do balustrady oddzielającej taras od ogrodu. - Sesja
Parlamentu zaczyna się dopiero za dziesięć dni - stwierdziła,
opierając się plecami o balustradę. - Dlaczego ryzykuje?

- Nie wiem. Hans miał się dowiedzieć szczegółów. Nagle
zabrzmiął sygnał ostrzegawczy przy drzwiach.

Oconnor spojrział na leżący na stoliku zegarek uniwer-
salny. Czerwone światło bezpieczeństwa paliło się stałym
światłem, oznaczającym wejście osoby zarejestrowanej.

- Zaraz będziesz wiedział odparła Kristine, kierując się
do wyjścia. - Pamiętaj, co mi obiecałeś - dodała zanim znikła w
salonie.

- Hans - Oconnor mówił do mikrofonu umieszczonego w
swoim zegarku. - Jestem na tarasie. Bądź uprzejmy wziąć sobie
po drodze fotel z salonu.

Przez chwilę czekał na swojego współpracownika.
Wreszcie usłyszał szuranie ciągniętego fotela i po chwili w
wejściu ukazał się Vir. Oconnor przyglądał mu się z nieukry-
wanym zdziwieniem. Szef Departamentu Ochrony Rządu
ubrany był w strój polowy z ciężkim laserem u boku.

- Zamierzasz osobiście wykończyć Borisova? - Zainte-
resował się. - Szczerze mówiąc, odradzałbym ten krok.

Osobiste polecenie prezydenta - odparł Vir. - Z ostatniej
chwili. Wszyscy członkowie rządu otrzymali broń ręczną, a
niektórzy ochronę osobistą. Parlament i siedziby ważniejszych
urzędów otrzymały dyskretną ochronę naszych ludzi.

- O co chodzi?

- To zależy. Polecono mi rozdać wszystkim małe lasery.
Stumetrówki. Na dziesięć minut ciągłego ognia. To raczej
chwyt psychologiczny, taka broń nie przebije żadnego opan-

cerzonego pojazdu i z trudem daje sobie radę z plastonem budynków mieszkalnych. Dość skutecznie natomiast zabija ludzi.

- Czy rezydencja prezydenta jest chroniona jakoś specjalnie?

- Oficjalnie prezydent i wiceprezydenci nie dostali żadnej ochrony. Borisov natomiast otrzymał dwudziestu ludzi z wydziału specjalnego. Jego rezydencja przypomina fortecę. Wszystko przeprowadzono bardzo dyskretnie.

Chodzi mu o wywołanie plotek i uczucia zagrożenia wśród ludzi. To jasne jak słońce - Oconnor podniósł się z fotela i zaczął nerwowo spacerować po tarasie. - Czy admirał Bron również w tym uczestniczył?

To jest właśnie najdziwniejsze - Hans zaśmiał się nerwowo z lekkim niedowierzaniem. - Bron dostał szału, kiedy moi ludzie próbowali wejść do siedziby Dowództwa Floty. Oznajmił, że jego komandosi potrafią mu zapewnić ochronę i że żadnych cywilów nie wpuści do siebie. Borisov udaje, że się zgodził, ale chyba nie spodziewał się takiego zachowania. Wygląda na to, że ci dwaj już sobie nie ufają.

- Borisov nawet nie raczył mnie o tym zawiadomić - Oconnor zamyślił się i przestał na chwilę chodzić po tarasie. - To wojna. Nie ufa nikomu. Chce mieć pewność, że wszyscy będą pod stałą obserwacją i nie będą mieli czasu spiskować do czasu jego wystąpienia w parlamencie.

- To ostrzeżenie dla wszystkich. Albo jest się z nim, albo przeciwko niemu. Dlatego nie dostałeś ochrony. Chce ciebie zastraszyć.

Kristine przed chwilą wspominała o potrzebie ochrony naszej rezydencji. Kobiety mają niekiedy zadziwiającą intuicję...

- Obawiam się, że to jest bardziej subtelna gra - przerwał mu Vir. - Jeżeli się nie mylę, to wkrótce nastąpi niegroźna próba zamachu na twoje życie. Wtedy Boko przydzielili tu swoich ludzi, którzy będą pilnować cię dzień i noc. Zgodnie z re-

gulaminem. Nie będziesz mógł nawet wejść do łazienki bez co najmniej dwóch facetów ze służb specjalnych.

Oconnor spojrział się na niego ze zrozumieniem. Wreszcie wszystko stało się dla niego jasne.

Oczywiście nikt tego nie opublikuje, żeby nie denerwować opinii publicznej. Przynajmniej do czasu, aż jakimś sposobem nie wyda się, że w zamachu brali udział mutanci. Trzeba go uprzedzić. Musisz dokonać na mnie zamachu natychmiast.

Vir w lot chwycił pomysł Oconnora.

- Masz broń?

- Nawet dokładnie taką samą, jaką rozdałeś urzędnikom. Stumetrówkę. Kiedyś zamierzałem podarować ją Kristine na urodziny, ale potem pomysł wydał mi się głupi i do dziś leży w sejfie obok mojego służbowego lasera komandoskiego. Nie wiem nawet, czy jeszcze będzie działać.

* * *

W dziesięć minut później Hans Vir, przypadkiem obecny u wiceprezydenta Oconnora, odparł samodzielnie zdradziecki atak na osobę wiceprezydenta zabijając na miejscu napastnika. Zrobił to przez przypadek tak dokładnie, że po sprawcy pozostały tylko ślady małego stumetrowego lasera. Straty w rezydencji były niewielkie: zniszczony został salon i część tarasu, na którym akurat przebywał wiceprezydent w chwili zamachu.

W pięć minut później specjalna ekipa Ochrony Rządu wylądowała na terenie rezydencji i przeprowadziła badania laboratoryjne. Zaufany pracownik Departamentu odnalazł w spalonej na głębokość dwudziestu centymetrów ziemi ślady białka zmieszane ze stopem durastali, z której wytwarza się bojowe lasery. Niestety nie udało się w żaden sposób zidentyfikować sprawcy. Hans Vir zarządził natychmiastowe sprawdzenie wszystkich posiadaczy rozdanej wcześniej broni tego

samego typu. Jego ludzie rozpoczęli bezzwłocznie przesłuchania. Jednocześnie powiadomiono o zamachu prezydenta Borisova oraz wydział prasowy, który otrzymał polecenie zduszenia wszelkich plotek na temat rzekomego zamachu na wiceprezydenta. Szef Departamentu Ochrony Rządu Hans Vir został przy swoich podwładnych zganiony przez Oconnora za nadmiar gorliwości i zabicie napastnika wbrew regulaminowi, który wyraźnie zalecał branie żywca sprawców takich ataków. Borisov natomiast wydawał się raczej zadowolony z takiego obrotu sprawy, mimo że oficjalnie również udzielił Virowi nagany.

Hans Vir bronił się stwierdzeniem, że był jedynym uzbrojonym agentem na terenie rezydencji i że musiał działać przy założeniu ataku kilku sprawców działających jednocześnie. W takiej sytuacji nikt nie mógł sobie pozwolić na luksus ryzykowania życia wiceprezydenta. Jego wyjaśnienie zostało przyjęte.

W dziesiątej minucie po ataku rezydencja Oconnora była chroniona przez trzydziestu ludzi z Ochrony Rządu uzbrojonych w ciężkie lasery bojowe. Strat bojowy stał na tarasie gotów do natychmiastowej ewakuacji Oconnora wraz z żoną w przypadku ataku zbyt dużych sił.

W trzydziestej minucie Oconnor zasiadł z Virem i Kristine w swoim gabinecie.

- Nie wiem, czy nie powinieneś nosić teraz swojego służbowego lasera - stwierdził Vir. - Możesz obawiać się drugiego ataku.

- To byłoby zbyt teatralne. Raczej powinniśmy się zastanowić, w jaki sposób uniemożliwić Borisowowi zabranie stąd twoich ludzi.

Przez dłuższą chwilę w gabinecie panowała cisza. Problem był poważny. Lada moment Borisow przyśle tu swoją ochronę złożoną z ludzi Boko.

- Przecież jesteś odpowiedzialny za bezpieczeństwo Ziemi - zauważyła wreszcie Kristine. - Flota podlega ci bez względu na twoje układy z prezydentem.

Bron wydaje się być na razie w niełasce Borisova - przypomniał Vir. - Okazja jest znakomita.

- Tak - Oconnorowi ten pomysł wydał się szczególnie powabny. - Hierarchia Floty jest tak ścisła, że nikomu nie przyjdzie do głowy kwestionować tego pomysłu. Nawet jeżeli Bron nie będzie nim zachwycony, to przecież nie będzie mógł oficjalnie nic zrobić, a komandosy muszą wykonywać rozkazy swojego przełożonego.

W dziesięć minut później dwunastu komandosów Floty Układu Słonecznego oficjalnie przejęło ochronę nad swoim przełożonym. Bron o dziwo sprawiał wrażenie, równie co Oconnor, ucieszonego tym pomysłem. Zaproponował nawet spotkanie z Oconnorem na wieczór.

Komandosami dowodził młody porucznik o nazwisku Kirk, który aż palił się do wykazania wyższości swoich ludzi nad cywilami Vira. Oconnor nie wątpił, że jego dom przemienił się w fortecę. Miało to przynajmniej jedną zaletę. Bez jego zgody nikt, ani nic nie mogło prześlizgnąć się do środka. Nawet Boko zostałyby ostrzelany, gdyby nie usłuchał wezwania ludzi porucznika, którzy od chwili przybycia na miejsce znajdowali się bezpośrednio pod rozkazami Oconnora.

Vir przyglądał się z lekkim uśmiechem działalności Kirka, który po szybkim zapoznaniu się z planem rezydencji polecił przysłać cztery dodatkowe straty bojowe z pełną obsadą oraz wprowadzić na orbitę patrolowiec, z zadaniem kontroli ruchu na obszarze stu kilometrów kwadratowych wokół rezydencji.

To wszystko wydawało mu się jednak niezbyt doskonałe, bo następnie zażądał, aby Vir zapewnił agentów na trasie przejazdu Oconnora do siedziby rządu i do Parlamentu. Ze sztabu Floty przysłano natomiast dwa specjalne pojazdy z pancerną karoserią. Gest ze strony Brona.

Dopiero kiedy na dachu zamontowano trzy radary i kilka anten łączności kosmicznej Kirk przyszedł do Oconnora i zameldował, że od tej chwili Flota w pełni odpowiada za jego życie.

Vir przyglądał mu się z niedowierzaniem i kiedy tylko porucznik opuścił gabinet nie wytrzymał.

- Przecież ten chłopak szykuje się do regularnej bitwy - stwierdził z nieukrywanym przerażeniem w głosie.

- Oczywiście - Oconnor zgodził się z uśmiechem. Wykonuje dosłownie rozkaz, który brzmiał mniej więcej tak: "Przechodźcie pod rozkazy wiceprezydenta Oconnora. Wasze zadanie, to zapewnić mu pełną ochronę przez cały czas, kiedy będziecie pod jego rozkazami. Jeżeli spadnie mu włos z głowy, pogryzie go kochańka, podrapie dziki kot czy spadnie ze schodów, to wy pożegnacie się z marzeniami o karierze. Macie prawo korzystać z wszystkich zasobów Floty. Kiedy mówię z wszystkich, to znaczy dokładnie z wszystkich. Wasze żądania będą wypełniane natychmiast. Odmaszerować".

- Jeżeli znam Brona, to rzeczywiście musiał mu coś takiego powiedzieć - wtrąciła się Kristine. - Zostawiam was teraz samych. Idę przypilnować, żeby nie zdemolowali mi kuchni. Tam jest tyle przedmiotów, które mogą być niebezpieczne...

Obaj poczekali aż Kristine opuści gabinet. Dopiero potem Oconnor odezwał się już poważnym tonem.

- Na razie mamy spokój przynajmniej z jedną sprawą. Miałeś się dowiedzieć, co naprawdę szykuje Borisov.

- Rzeczywiście - Vir wyglądał na lekko przytłoczonego rozwojem wydarzeń. - Zupełnie zapomniałem przez ten cały zgiełk. Borisov zamierza wykorzystać Wolne Geny do prowokacji. Giza i Judith mają z tym jakiś związek. Chodzi o Peta. Uważa się go za najsłabsze ogniwo mutantów. Szczegółów nie znam.

- Jakieś domysły?

Prawdopodobnie zechcą go rozmiękczyć narkotykami i hipnozą, a potem wsadzą mu na plecy jakieś wredne oskarżenie.

- Nie wiem, czy nie byłoby słuszne spróbować temu przeszkodzić - Oconnor głośno myślał. - Pewnie zechce z tym wyskoczyć w czasie swojego przemówienia. Tylko, że ja również mam wygłosić przemówienie na tej samej sesji.

- Borisov może zmienić program obrad.

- Kollombo postara się, żeby nic takiego nie nastąpiło. Czy możesz spróbować przekonać Boko, żeby prezydent zjawił się na dwie godziny przed oficjalnym czasem rozpoczęcia sesji? Ze względów bezpieczeństwa.

Tego się nie robi. To jest sprzeczne z regułami ochrony.

- Boko przecież wie, że Borisowowi nic nie zagraża. Może uda ci się przekonać go, że obawiasz się ataku na trasie dojazdu.

- Raczej nie.

- Trudno. Muszę wymyśleć coś innego.

- Czy zamierzasz coś zmienić w planach? - Vir wyglądał na lekko zaniepokojonego.

Oconnor uśmiechnął się uspokajająco. - Zapewniam cię, że nie masz się czego obawiać. Wygram te wybory.

* * *

Prywatne mieszkanie Peta Hola składało się z ośmiu pokoi w jednym z największych wieżowców Genewy. Urządzone było luksusowo i bez cienia dobrego smaku. Apoteozą bezguścia była bez wątpienia sypialnia, której ambicją miała być lekkość i nowoczesność. Lustra zdobiące znakomitą większość sufitu i ścian sprawiały natomiast nieodparte wrażenie, że całe pomieszczenie pachniało na miłą nowobogacką pretensjonalnością.

O dziwo! Judith z Genewy wyraźnie czuła się tu doskonale. Sprawiała wrażenie osoby, która całe życie była przy-

zwyczajona do luksusów i która traktowała to, jak coś zupełnie naturalnego, coś co było jej przynależne z urodzenia.

- Dureń - przemknęło przez myśl Annie, która wraz z Kirem Jenim i Ewą Bonov przyglądała się wydarzeniom w sypialni przez ekran video zainstalowany pod taflą jednego z lusterek. Pet miał różne manie i zboczenia. Niektóre z nich właśnie okazały się nadzwyczaj pomocne.

- Rzeczywiście - przytaknęła bezgłośnie Ewa Bonov - trzeba być idiotą, żeby na to nie zwrócić uwagi.

- Wystarczy być zarozumiałym - zauważył Jeni. - A to, obawiam się, jest grzechem każdego z nas.

- Ta idiotka nie wytrzymałaby przy mnie nawet godziny - stwierdziła Anna, tym razem bez cienia zarozumiałości. Po prostu zauważyła suchym tonem specjalisty pewien oczywisty fakt.

Pozostała dwójka w milczeniu przytaknęła jej słowom. Wszyscy wiedzieli, że Pet jest najmniej dojrzały z całej trzydziestki.

- Nie wiem, czy dam radę w jeden wieczór. To musi być zrobione dość subtelnie zauważył Jeni. Dziewczyna ma mimo wszystko silny charakter.

Nienawidzi go jak nikogo w świecie. Czuje się upokorzona. Nienawiść i miłość chadzają blisko siebie - odparła Ewa.

Wy jesteście ekspertkami w tej dziedzinie - zgodził się Jeni, patrząc na reakcję Anny, która w milczeniu kiwnęła głową, nie przerywając obserwacji.

Może dobrze byłoby jakoś podtrzymać na duchu Peta? Anna sama nie była przekonana do tego pomysłu i czuło się to wyraźnie w jej myślach.

Wystarczy, że się zgodził - zaproponował Jeni. - I tak musimy pamiętać, że teraz on jej również nienawidzi. Jest jeszcze taki niezrównoważony.

Reszta odbyła się już w całkowitej ciszy i tylko bardzo subtelny i wytrenowany telepatą mógłby domyśleć się, że chodzi tu o coś więcej niż zwykły seans voyeurów. Na szczę-

ście na Ziemi nie było takich telepatów oprócz trzydziestu osób, które akurat były najmniej zainteresowane w publicznym ujawnianiu tego faktu.

Pet leżał w milczeniu obok Judith. Zaledwie przed chwilą skończyli się kochać, ale żadne z nich nie odczuwało satysfakcji z tego powodu.

* * *

Pet, mimo solennych obietnic, stawał się coraz bardziej wściekły na siebie. Dopiero teraz wszystkie fakty, które miał przed oczyma od tyłu miesiący dotarły do niego z całą ich oczywistością. Przez chwilę miał ochotę zabić leżącą obok niego dziewczynę.

- Pet! - zabrzmiało nagle w jego myślach. - Nie spieprz przynajmniej naszej roboty. Masz być zakochańy.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Judith kładąc głowę na jego piersi. - Jesteś jakiś obcy. Inny. Nie kochasz mnie już? - Jej zaniepokojenie godne było dojrzałej aktorki, a nie dwudziestokilkuletniej dziewczyny.

Pet położył dłoń na jej głowie i delikatnie pieścił jej włosy.

- Co się miało stać? Jakbyś się czuła, gdyby w co drugim programie TV wyzywano cię od mutantów, zboczeńców i alkoholików.

- To idioci. Robią to dla pieniędzy. Zaczął się sezon ogórkowy. Brak sensacji.

- Mieli manewry. Ale nie! Wciąż mówią o mnie.

- Taki okres, głuptasie - Judith przylgnęła do niego całym ciałem i pocałowała go w usta. - Kocham cię! - dodała po chwili. - Nie możesz o tym zapomnieć. Bądź przez chwilę naprawdę ze mną.

Pet starał się bardzo, ale nie do końca mu się to udało. Judith tymczasem zamiast się wściec, co było w jej zwyczaju, wprost przeciwnie, starała się go pocieszać z jeszcze więk-

szym zapalem. Nie mogła zdać sobie sprawy z tego, że jej zachowanie odbiegało od dotychczasowej normy. W czasie tych dwóch godzin niezauważalnie zmieniła się jej psychika. Być może Judith nawet stała się tym, kim zawsze pragnęła być. Kochającą kobietą, walczącą o szczęście dla siebie i swojego kochańka.

* * *

Tymczasem za drzwiami odbywała się narada. Kochająca Judith okazała się bowiem jeszcze bardziej niebezpieczna niż Judith wyrafinowana i perfidna.

W jej ślicznej główce pod wpływem gry Peta zrodził się pomysł zaiste godny córki prezydenta. Postanowiła zmienić plan Mściciela. Odrobinę. Pierwotnie miała podać Petowi środek halucynogeny, a następnie wymusić na nim morderstwo Oconnora. Teraz postanowiła zwabić tu Vlado pod pozorem przedawkowania narkotyku i następnie zabić go.

Trójka telepatów bez trudu odnalazła w jej myślach ogrom nienawiści do swojego oficjalnego szefa za wszystkie upokorzenia jej ukochańego.

- Miałyście racje z tą miłością i nienawiścią - nadał wreszcie Jeni - tylko, że to narobi nam sporo kłopotów. Nie sądziłem, że jedno musi być zawsze związane z drugim.

- Fakt - zgodziła się Ewa. - W obu przypadkach zwracamy na siebie uwagę. Nie jestem pewna, czy to jest najwłaściwszy sposób i moment.

- Jeżeli jeszcze raz zaczniemy zmieniać jej przekonania, to może zwariować - zauważyła Anna bez cienia litości w głosie. - Oszalała córka prezydenta, zaangażowana w ruch Wolnych Genów, widziana z jednym z mutantów przez długi okres. Trzeba znacznie mniej, żeby rozpętać kampanię przeciwko nam. Stało się. Musimy zostawić małą wraz z jej miłością. Swoją drogą, można się w niej zakochać. Wszystko robi z pasją i z charakterem.

- Jedna wielka miłość na razie nam wystarczy - przypomniała jej Ewa.

- Pozwólmy jej działać - zdecydował Jeni. - Proponuję jedynie podsunąć jej myśl o przesłuchaniu Mściciela i wzmocnić jej przekonanie o konieczności zabicia go.

- A Pet? - Anna przyglądała się przez chwilę ekranowi. - Biedaczek jest zupełnie bez formy. Może tego nie wytrzymać.

- Wytrzyma - uciął Jeni. - Powiadomimy go. Tylko bez wygłupów! - dodał, patrząc się na Annę wymownie.

Ewa Bonov roześmiała się bezgłośnie, ale swoje myśli ukryła głęboko. Mutanci nie mieli zwyczaju naruszać tajemnicy czyichś myśli bez potrzeby, a już w żadnym wypadku nie naruszali nawzajem swoich myśli bez zgody zainteresowanych. Jeni i Anna zaledwie się domyślali przyczyn jej wesołości. Jeni zignorował ten fakt i powiadomił Peta o sytuacji. Po kwadransie środek halucynogeny zaczął działać, a Judith czekała na Mściciela.

* * *

Admirał Wilhelm Bron nie zwykł fatygować się osobiście do nikogo, jeżeli nie miał po temu ważnej przyczyny. Był to przy tym człowiek, który jako jeden z niewielu purystów słowo "ważny" rozumiał w najczystszej semantycznie jego znaczeniu. Nawet wizyta u swojego formalnego zwierzchnika nie mogła stanowić w jego pojęciu pretekstu do odstępstwa od tych zasad.

Tak więc fakt, że siedział on teraz w gabinecie Oconnora mógłby świadczyć najlepiej o powadze sytuacji politycznej na Ziemi, gdyby nie to, że wiceprezydent doskonale rozumiał jej powagę. Przyjął go tylko dlatego, że nie mógł zrozumieć sam dlaczego zwykły w końcu problem wyborów prezydenckich doprowadził w jakiś dziwaczny sposób do najpoważniejszego kryzysu politycznego od czasów Wojny Klonów. Nie wszystko,

a prawdę mówiąc bardzo niewiele dawało się wytłumaczyć bezwzględnością kampanii i ludzi biorących w niej udział.

- Panie wiceprezydencie - Bron był nieufny i bardzo oficjalny. Nie ufał Oconnorowi i gdyby nie to, że rozwój wydarzeń zmusił go do szukania sojuszników poza ekipą Borisova, nigdy nie zgodziłby się na spotkanie z tym człowiekiem i w tym miejscu. Borisov świadomie postawił na dwóch najważniejszych stanowiskach we Flocie ludzi, którzy się nawzajem nie cierpieli. Ten system działał bez zarzutu do dziś dnia. - Proponuję, żebyśmy przeprowadzili tę rozmowę przy wyłączonych mikrofonach.

Oconnor przez chwilę zastanawiał się nad tą propozycją. Wreszcie sięgnął do jednej z szuflad biurka i przełączył kilka przycisków.

- Dotyczy to również pana, admirale? - zapytał, przypatrując się jednemu ze wskaźników.

Bron spokojnie wyjął mikrofon z nadajnikiem z kieszeni swojego munduru. Oconnor uśmiechnął się i przełączył dodatkowo kilka innych przełączników swojej szuflady. W wyniku tego działania niezauważalnie dla rozmówcy w oparciu fotela zaczął pracować mechanizm, objawiający swoją działalność lekkim stukaniem w plecy. Był to wykrywacz kłamstw, zgłaszający swoją gotowość do pracy.

Bron musiał mieć również coś takiego, ale Oconnor nie uważał za wskazane o tym dyskutować. Od tysiąca lat każdy szanujący się polityk, handlowiec, czy ktokolwiek zajmujący się kontaktami z ludźmi, stosował takie urządzenie. Oficjalnie natomiast udawano, że się tego nie robi. Doprowadziło to do wyjątkowej szczerości rozmów, ale jednocześnie zaowocowało rozwojem urządzeń zagłuszających oraz technik modulacji głosu uniemożliwiających ich stosowanie. Model Oconnora był na tyle skomplikowany, żeby przy jednym rozmówcy i absolutnej ciszy wokół dawać rzetelne odpowiedzi z prawdopodobieństwem pomyłki rządu zaledwie dziesięciu procent.

- Jesteśmy pod kloszem - stwierdził wreszcie.

- Do czego zmierza Borisov? - zapytał admirał po chwili milczenia, jakby spodziewał się pierwszego pytania ze strony swojego rozmówcy.

- Wygrać wybory. Bez względu na cenę i środki.

Bron dłuższą chwilę trawił tę odpowiedź.

- Czy można mieć pewność, że nie znajduje się pod wpływem żadnej niezależnej grupy osób lub osoby?

Tym razem Oconnor musiał ochłonać z szoku. Admirał wyraził przypuszczenie, że jakaś grupa ludzi kontroluje Borisova za pomocą środków psychochemicznych lub zwykłej hipnozy. Sam fakt wyrażenia takiego podejrzenia świadczył o powadze sytuacji i kompletnej niewiedzy Brona. To oczywiście zmieniało płaszczyznę dalszej rozmowy. Teraz Oconnor był tym, który sprzedaje informacje, ale nie musi przecież tego robić.

- Czy ma pan na to jakieś dowody? - zapytał, nie spodziewając się rewelacji.

- Żadnych. Chcę po prostu móc odrzucić tę hipotezę. Najmniej prawdopodobną.

- Nie wiem o niczym takim. Uważam to zresztą za wykluczone.

- Ja również. Po co ta próba zastraszenia z wczoraj?

A więc Bron nie był jednak takim głupcem. Być może

Oconnor wcale nie był jedynym handlarzem informacji w tym pokoju?

- Traktuje to jako ostrzeżenie dla ewentualnej opozycji w łonie rządu.

- Niebezpieczny precedens, panie wiceprezydencie. Pan zresztą również ustanowił dzisiaj inny precedens. Równie niebezpieczny w moim przekonaniu.

- Jak mam traktować pański gest dobrej woli w postaci porucznika Kirka?

- Jako propozycję rozejmu.

- Pan jest blisko związany z Borisovem.

- Byłem do wczoraj. Flota zawsze była neutralna i niezależna. Zawsze wypełniała wszystkie polecenia legalnego rządu.

- I zawsze będzie stała na straży jedności Ziemi i trwałości Federacji - Oconnor powiedział to tonem, który mógł zostać odczytany jako pytający lub jako zwykłe dokończenie myśli, tchnącej na kilometr frazesem.

- Jest ona jedyną siłą gwarantującą tą jedność - zabrzmiała ostrożna odpowiedź.

- Tym bardziej niepokojące stają się precedensy ostatnich godzin. Zgadzam się z panem, admirale w tym względzie. Na szczęście ludzie mają zaufanie do Floty i do jej żołnierzy. Uważam jednak, że ostatnie manewry mocno nadwerężające budżet rządowy, tuż przed początkiem równie drogich wyborów, odrobinę mogły zarysować ten pozytywny obraz.

- Flota z gruntu musi być konserwatywna i musi dążyć do utrzymania status quo, ponieważ stanowi ono jej rację bytu. Przyznaję, że decyzja o przeprowadzeniu manewrów została mi zakomunikowana w sposób dający wiele do myślenia i bez uprzedzenia. Nie można tego wytłumaczyć tylko potrzebą dokładnego sprawdzenia sprawności i skuteczności Floty w warunkach jak najbardziej zbliżonych do rzeczywistego zagrożenia.

Oconnor dalej czuł rytmiczne drgania oparcia swojego fotela. Bron mówił prawdę.

- Mogę pana zapewnić, że zostałem również zaskoczony. Tak samo jak późniejszą kampanią przeciwko niektórym oficerom, będących pod pana rozkazami.

- Toleruję te ataki, ponieważ od początku służby tych ludzi stanowią one tradycyjną broń różnych polityków. Jestem natomiast zaniepokojony pewnymi przypadkowymi zbieżnościami w czasie między ich początkiem, a zaistnieniem precedensów, o których mówiliśmy przed chwilą. Przez pewien czas Flota będzie dalej tolerować tę sytuację.

- Za dziesięć dni rozpocznie się sesja wyborcza w Parlamencie.

- Nie umiem określić żadnych dat.

Oconnor poczuł mocne szturchnięcie w plecy. Fotel uznał, że Bron kłamie.

- Rozejm, o którym pan mówił admirale, wydaje mi się konieczny. Ale to jest środek doraźny. Nie jest dla pana tajemnicą, że zamierzam kandydować przeciwko Borisowowi. Jakie będzie pana stanowisko w tej sprawie?

- Jeżeli będę miał odpowiednie gwarancje, to poprę pana, panie wiceprezydencie.

Kolejne szturchnięcie w plecy przekonało Oconnora, że Bron miał już jakiś plan, że trzeba mu będzie dać bardzo silne gwarancje. Oconnor nie robił sobie złudzeń - najprawdopodobniej nie będzie w stanie zapewnić mu takich gwarancji.

- Na przykład jakie?

- Mówi pan o chęci kandydowania w wyborach. Chciałbym na przykład wiedzieć, na czym opiera pan swoje przekonanie, że stanie się pan realnym kandydatem. Sebastian Kolombo również kandyduje.

- Między nami trwa tylko rozejm, admirale. Rozumie pan, że nie mogę ujawniać szczegółów planu mojej kampanii wyborczej. Proponuję, żeby pan nie czynił żadnych nieodwracalnych kroków przed rozpoczęciem sesji wyborczej.

Na to mogę przystać - zgodził się Bron. Oconnor poczuł szturchnięcie w plecy, potem znowu rytmiczne uderzenia i znów lekkie szturchnięcie. Fotel oznajmiał w ten sposób, że nie jest w stanie zinterpretować tej odpowiedzi.

- Uważam więc, że przez najbliższe dziesięć dni nasze działania nie będą ze sobą kolidować?

- Porucznik Kirk pozostanie do pana dyspozycji przez tyle czasu, ile uzna pan za stosowne - Bron podniósł się ze swojego fotela. - Uważam nasze spotkanie za owocne, panie wiceprezydencie. Być może stanie się ono początkiem szerszej współpracy.

Fotel drgał miarowo rytmem prawdy. Oconnor odniósł nieprzyjemne wrażenie, że powiedział za dużo. Nie mógł tylko wyczuć momentu, w którym popełnił błąd.

Bardzo się cieszę admirale - odparł wstając również. - Proszę mi jeszcze powiedzieć o co, pana zdaniem, chodzi Borisowowi?

- Myślę, że facet po prostu oszalał i że nie kontroluje sytuacji. Myślę, że nie nadaje się na prezydenta.

Oconnor natychmiast pożałował swojego gestu. Powinien siedzieć na fotelu. Teraz nigdy się nie dowie czy Bron naprawdę tak myślał, czy tylko blefował. Istniało duże prawdopodobieństwo, że właśnie tak myślał. Margines błędu wynosił tu jednak o wiele więcej niż dziesięć procent.

* * *

Vlado Giza jechał windą na czterdzieste piętro domu, w którym mieszkał Pet. Był bardzo zadowolony z życia. Ta prezydencka erotomanka oczywiście spieprzyła robotę, ale nie na tyle, żeby nie można było uratować całego planu. Oconnor musiał coś przeczuwać, bo obstawił się komandosami, ale Boko wymyślił jeszcze bardziej diabelski plan. Judith nie wiedziała jeszcze nic o tej zmianie i oczywiście do końca nie będzie wiedziała. A Pet musi żyć jeszcze przez jakąś godzinę, żeby ludzie z ochrony Borisova, na którego będzie próbował dokonać zamachu mogli go zastrzelić. A potem Wolne Geny dostaną wolną rękę. Nadeszła godzina, na którą Vlado czekał wiele lat. Wreszcie stał się pierwszoplanową postacią w polityce. Fakt, że zakulisową, nie zmienił jego zadowolenia i poczucia ważności. Był pewien, że po wyborach dostanie wysokie stanowisko i będzie mógł wreszcie wyrwać się z kręgu tych pomyślonych fanatyków, którzy stanowili trzon jego organizacji.

Zapukał trzy razy, jak się umówili. Przez chwilę czekał na otwarcie drzwi. Potem zapukał jeszcze raz.

- Co ta dziwka sobie wyobraża? - pomyślał rozdrażniony.

Wreszcie drzwi otworzyły się i stanęła w nich Judith. Była naga. W prawej ręce trzymała przerzucony przez rękę szlafrok, ale nie robiła wrażenia kogoś, kto chciałby się ubrać. Vlado wszedł i rozejrzał się wokoło.

- Gdzie Hol? - zapytał, nie zwracając uwagi na dziewczynę.

- W sypialni. Zaprowadzę cię.

Mściciel nie zwrócił na nią uwagi i ruszył przodem. Kiedy wszedł do sypialni coś go tknęło. Pet leżał bezwładnie na łóżku. Również nagi, ale coś tu się mimo wszystko nie zgadzało. Odwrócił się w stronę Judith i dopiero teraz zwrócił uwagę na szlafrok. Powinna go była założyć, albo rzucić na podłogę. Jej zachowanie nie pasowało do sytuacji.

Mściciel był zbyt dobrze wyszkolonym agentem, żeby nie ufać instynktowi. Rzucił się na podłogę, wyjmując jednocześnie pistolet laserowy z olstra pod kurtką. Wtedy poczuł, że coś go paraliżuje, ale był zbyt podniecony, żeby od razu uświadomić sobie skutki tego spostrzeżenia. Starał się pamiętać, że nie wolno mu jej zabić. Celował w nogi. Nie zdążył strzelić. Nieznana siła sparaliżowała go wreszcie do końca. Mimo wszystko udało mu się wycelować broń. Nie miał tylko siły nacisnąć spustu.

Judith natomiast miała czas i pełną swobodę manewru. Strzeliła przez szlafrok i trafiła go w pierś. Być może celowała w rękę, ale obserwująca scenę trójka mutantów zgodnie wątpiła w prawdziwość tej hipotezy. Vlado umierał. Promień lasera o średnicy pięciu milimetrów przebił mu mostek i kręgosłup. Nie było sensu powstrzymać Judith od dalszych strzałów. Było to zbyt ryzykowne. Próbowali wykorzystać ostatnie sekundy życia Mściciela do spenetrowania jego mózgu, ale Vlado już prawie nie myślał. Przez krótką chwilę odbierali jakieś obrazy z dzieciństwa, na które nakładała się twarz Borisova. Wreszcie Mściciel ostatecznie pożegnał się ze

światem żywych, jakby naigrywając się z ich nadludzkich możliwości.

- Przynajmniej wyszło to nam na zdrowie. Nie musimy obawiać się ataku megalomanii - nadała Ewa Bonov. - Co z nim zrobimy?

- Trzeba się zastanowić, jak to przedstawić - stwierdziła Anna, wyjmując kryształ z nagraniem z magnetowidu i wsuwając następną w celu sporządzenia kopii nagrania.

- Nikt nie uwierzy, że Mściciel zamierzał zabić córkę prezydenta. Tak samo, jak nikomu nie uda się wmówić, że nie wiedział do kogo strzela. - Jeni był zdecydowany, nie odstępować od pierwotnego planu.

* * *

Wartownik pełniący służbę przed rezydencją prezydenta przechadzał się niedbałym krokiem przed bramą wejściową. Wiedział, że za kilkanaście minut dowódca warty dokona zmiany na jego posterunku i wreszcie będzie mógł odegrać swoje dziesięć kredytów, które stracił poprzedniego wieczora w karty. Był pewien, że Jons oszukiwał, ale ponieważ od kilku dni obowiązywał stan bezpośredniego zagrożenia, nie mógł więc po prostu skuć mu mordy i odebrać ukradzionych pieniędzy. Za taki numer poszedłby siedzieć. Wartownik przyglądał się pustemu placowi przed rezydencją zastanawiając się, jakim cudem niektórzy faceci, dochodzili do swoich stanowisk. Nie cierpiał oficerów ze służby bezpieczeństwa, ale cóż było robić, kiedy tu akurat płacili największe pieniądze. Nigdy nie był w stanie zrozumieć tych wszystkich polityków troszczących się o własną skórę jak o nic na świecie. A gdyby tak jeden z drugim musieli postać przez cztery godziny przed bramą w stroju bojowym to odechciałoby im się z pewnością wymyślać te wszystkie utajnienia i fanaberie.

Od strony zachodniej dostrzegł szybko zbliżający się śmigacz. Spojrzał na zegarek. Było zbyt wcześnie na łącznika.

Pewnie któryś z tych lalusiowatych urzędasów pędzi podlizać się prezydentowi pomyślał i z nudów odpiął kaburę lasera. Postanowił, że tym razem ten lalusz będzie musiał bardzo dokładnie ustalić przed nim swoją tożsamość.

Śmigacz zatrzymał się przed bramą i wyłączył silnik. Zupełnie jakby rniął zamiar stać tutaj.

- Idioto. Pójdziesz za to siedzieć - przemknęło mu przez myśl i wolno zaczął zbliżać się do śmigacza, żeby wyjaśnić jego posiadaczowi piramidalną pomyłkę, którą właśnie popełnił. Coś jednak zastanowiło go w sztywnej postawie kierowcy. Był nieruchomy jak kamień.

Wartownik zawahał się i po krótkim namyśle nacisnął umieszczony na nadgarstku przycisk aparatu alarmowego. Następnie biegiem wrócił do stojącej przy bramie budki strażniczej. Dyżurny oficer ochrony obszaru z pewnością i tak widział wszystko na swoim monitorze, ale tym bardziej musiał teraz pilnować swojego postępowania. Gorączkowo starał się sobie przypomnieć procedurę postępowania w niewyjaśnionych sytuacjach. Chyba na początku należało założyć hełm. Potem przełączył wszystkie umieszczone na jego stanowisku przełączniki w pozycję alarmu i czekał na patrol.

Jego przybycie zaanonsowane zostało przez video, które zapełniło się twarzą nieznanego mu dotąd oficera.

- Co się stało, Koi?

Przed bramą stoi śmigacz. Nikt z niego nie wysiada, mimo że kierowca siedzi w środku.

- Skontrolowaliście go?

- Nie.

- ???

- Robi wrażenie nieruchomego jak kamień - pospieszył z wyjaśnieniem Koi. - Jakby był w transie hipnotycznym. Śmigacz też zresztą jechał jakby był przez cały czas na automatach.

- Bardzo dobrze, Koi. Zasłużyliście na wyróżnienie. Włączcie pełną ochronę waszej pozycji. To może być bomba.

Zaraz potem pojawił się patrol dowodzony przez młodego kapitana. Koi również go nie znał. Oficer gestem kazał rozwinąć się swoim żołnierzom w szyk bojowy, ale wyraźnie nie palił się do bliższych oględzin śmigacza.

- Kto w nim siedzi? - zapytał Kola.

- Nie mam pojęcia, kapitanie. Dostałem rozkaz nie opuszczania swojego stanowiska.

Rozumiał doskonale grymas niezadowolenia, który pojawił się na twarzy oficera.

Potem przyglądał się, jak dwóch żołnierzy pod osłoną własnego stratu zbliża się do podejrzanego śmigacza. Ostrożnie otworzyli kabinę i odruchowo odskoczyli do tyłu, kiedy siedzący wewnątrz mężczyzna wypadł na ziemię. Prawdę mówiąc, nie wypadł tylko zaczął wypadać, bo nie stracił niczego ze swojej sztywności i najwidoczniej zgięte kolana zatrzymały się pod tablicą rozdzielczą. Zawisł więc na boku. Żołnierze popatrzyli na siebie niezdecydowanie ściskając kolby laserów, ale oficer kazał im wyciągnąć ciało na zewnątrz, a sam zaczął sprawdzać wnętrze śmigacza. Musiał być to ktoś z brygady antybombowej. Koi ponownie dojrzał go, kiedy meldował coś przez swój nadajnik naręczny. Potem jeden z żołnierzy zasiadł za kierownicą śmigacza, a reszta wrzuciła ciało do wnętrza stratu i wszyscy odjechali przed bramą.

Koi spojrzał na zegarek i ze zdziwieniem stwierdził, że już od kwadransa powinien był siedzieć w kantine.

Kiedy wreszcie znalazł się tam, wszyscy pogrążeni byli w dyskusji. Facet ze śmigacza, jak głosiła plotka był nikim innym jak samym Mścicielem. Przestępcą, którego cała policja szukała bezskutecznie od wielu lat. Co więcej, szeptano po kątach, że w kieszeni znaleziono Videokryształ z zapisem jego śmierci. Miała go zabić jakaś smarkuła. Koi z początku odniósł się sceptycznie do tych rewelacji, ale kiedy wszyscy zostali wezwani na odprawę, na której zakazano im rozmawiać z

kimkolwiek na temat dzisiejszego zajścia zaczął podejrzewać, że musi w tym coś być.

Nie był jednak tak głupi, żeby rozpowiadać na głos o swoich domysłach.

Niewiele miał zresztą czasu. Następnego dnia cała kompania ochrony, która poprzedniego dnia pełniła służbę została odtransportowana na kosmodrom celem udania się na dwumiesięczne ćwiczenia na Księżycu. Koi, idąc z ponurą miną do promu kosmicznego pocieszał się myślą, że przynajmniej teraz będzie mógł bez przeszkód odegrać swoje pieniądze od Jonsa. Afera musiała być grubsza niż się wszystkim z początku wydawało i jako jeden z nielicznych Koi cieszył się skrycie, że obeszło się tylko na Księżycu, a nie na przykład na księżycach Jowisza czy Saturna.

* * *

Pilot Anna Bor wysiadła ze służbowego śmigacza Floty tuż przed bramą rezydencji wiceprezydenta Oconnora. Nie dbała zatrzaskała drzwiczki i wolno podeszła w stronę budki wartowniczej. Nie była to z jej strony jedynie kokieteria czy nonszalancja. Doskonale wiedziała, że ludzie porucznika Kirka mają rozkaz strzelać bez uprzedzenia do każdego, kto wyda im się podejrzany. Czyż jednak biała kobieta, porucznik pilot Floty, po dwóch rejsach pozaukładowych i na dodatek ubrana w skafander nader dosłownie posłuszny regulaminowi, który mówił, że powinien przylegać on ściśle do ciała - czy ktoś taki mógł wzbudzać podejrzenia w wartowniku, nawet jeżeli strzegł on rezydencji jednego z najwyższych urzędników rządu światowego?

Szczerze mówiąc Anna nie potrafiła sobie do końca odpowiedzieć na to pytanie i dlatego postanowiła nie zawierzać do końca intuicji, która nakazywała raczej nonszalancję niż ostrożność.

Wartownik na jej widok bił się z myślami. W końcu zdecydował się jednak na postawę służbisty i nie wychodząc spoza pancерnej szyby poprosił o dokumenty.

Anna uśmiechnęła się do niego współczująco, wyrażając tym samym pełną solidarność z jego nieszczęściem, które nakazywało mu siedzieć po drugiej stronie ciężkiego bojowego lasera i celować nim w kobietę, która być może odmieniłaby jego życie na zawsze. Posłusznie podała przepustkę, którą tamten nie patrząc wcisnął w szczelinę czytnika komputerowego. Z tej strony nic nie mogło jej grozić. Sonorov załatwił tę sprawę zupełnie oficjalnie. W komputerze jej przepustka była jak najbardziej legalnie zarejestrowana, choć cel wizyty, określony jako poufny i służbowy w rzeczywistości był przeciwieństwem przynajmniej jednego z tych określeń.

W porządku - mruknął wartownik, otwierając przed nią bramę, do której zmierzał już podoficer służbowy. Rzuciła mu jeszcze jedno powłóczyście spojrzenie, któremu tym razem towarzyszyło wyraźne mrugnięcie. Wartownik musiał przywołać całą swoją dyscyplinę, aby nie wyskoczyć za nią ze swojego stanowiska.

Starszy sierżant sztabowy, który jej się przedstawił jako Władow, podzielał pogląd swojego kolegi sprzed bramy. Jako człowiek starszy i bardziej doświadczony skrywał to w sobie lepiej i tylko żyły nabrzmiewające na twarzy świadczyły, że uważa ją jednak za kobietę. Odprowadził ją do holu i służbiście zameldował oficerowi strzegącemu drzwi do gabinetu wiceprezydenta, że przybyła pilot porucznik Bor z tajną misją do Oconnora. Przed drzwiami gabinetu Kirk postawił już podporucznika, który musiał być rzeczywiście wybrany z tysiąca, bo nawet nie spojrzał na nią, tylko od razu wystukał jej dane na konsoli komputera. Zameldował o jej nadejściu Oconnorowi. Miała wejść za kwadrans.

Czekała przed drzwiami, przechadzając się tam i z powrotem, czując jak coraz bardziej rośnie w niej wściekłość. Nie uważała się za próżną, ale ten pedzio sprzed gabinetu zaczynał

jej grać na nerwach. Postanowiła, że przy okazji dokładnie sprawdzi co to za jeden i pomyśli nad zemstą.

Właśnie zaczynała się zastanawiać, co zrobi jeżeli Oconnor również okaże się takim zatwardziałym pedziem, jak ten ulizany oficerek przed jego gabinetem, kiedy ten ostatni kazał jej wejść do środka. Wchodząc dostrzegła jeszcze, że oficer odnotowuje czas jej wejścia do gabinetu.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią automatycznie, służbiście zrobiła trzy kroki naprzód i zameldowała się suchym tonem.

- Panie prezydencie, pilot porucznik Anna Bor z misją specjalną.

Oconnor skinął potakująco głową, nie podnosząc głowy znad papierów i nie przerywając lektury mruknął:

- Meldujcie.

Anna posłusznie położyła na biurku kostkę video - zapisu i czekała dwa kroki od biurka na jego reakcję.

Oconnor spojrzał na kostkę, zmarszczył ze zdumieniem brwi i zdecydował się wreszcie podnieść głowę znad biurka.

Przez dłuższą chwilę oglądał ją w zamyśleniu i musiał chyba dostrzec coś w jej spojrzeniu, bo zdecydował się sięgnąć ręką do konsoli komputera stojącego po jego prawej stronie. Wystukał na nim rozkaz i uważnie czytał pojawiające się informacje. Potem zmazał zapis i ze sztucznie obojętną miną zapytał: Coś jeszcze?

- Otrzymałam rozkaz czekania na odpowiedź.

- Mutantka Hildora w moim własnym gabinecie. Ciekawe, co Kirk by na to powiedział?

- Kirk uznałby, że oficer Floty dostał rozkaz osobistego kontaktu z panem i więcej nie zajmował by się tą sprawą. Flota jest poza wszelkimi podejrzeniami.

- Chyba właśnie tak - Oconnor pokiwał głową z ubolewaniem, ale bez głębszego przekonania i nie spiesząc się wcisnął kryształ do odtwarzacza. - Pani wie, co tu jest nagrane? - zapytał, obracając się z fotelem w stronę ekranu video.

Kiedy przeglądał zapis Anna zajęła się oglądaniem jego gabinetu. Niewielki pokój urządzony był przede wszystkim funkcjonalnie. Mogła dziwić jedynie duża ilość video książek, ale może Oconnor był snobem? Poza biurkiem zajmującym jedną trzecią pomieszczenia i stanowiącym zapewne jednocześnie pulpit łączności, barek i fortecę nie było tu niczego godnego uwagi. Bezosobowy pokój dygnitarski, jakich tysiące.

Oconnor natomiast mimo swoich pięćdziesięciu lat był w idealnej formie. Wysoki, wysportowany - mimo, że przecież nie był wojskowym - o interesującej twarzy i silnie błyszczących na tle czarnej skóry oczach. Mógłby być interesującym mężczyzną gdyby nie to, że Anna musiała traktować go jak zwykły mechanizm, który być może uda jej się przestawić na inne tory działania. Mimo wszystko był to inteligentny mechanizm i pod czułą ręką operatora można było zaprogramować go na wiele bardzo precyzyjnych czynności.

Wiceprezydent przez cały czas projekcji nie odezwał się ani słowem. Ostatnią scenę obejrzał dwa razy i dopiero wtedy wyłączył odtwarzacz.

- Komputer twierdzi, że meldunek ten nadesłał Sztab Główny na polecenie admirała Brona. Wilhelm nie mógł mi przysłać tego zapisu, bo oznaczałoby to, że ja i parę jeszcze osób jesteśmy nieporozumialni. Nie będę wam tego poruczniku tłumaczył. Natomiast wy wytłumaczcie mi natychmiast, dlaczego to nagranie znalazło się na tajnym videokryształu.

- To musi być jakieś nieporozumienie panie prezydencie - Annie udało się zachować kamienny wyraz twarzy. - Ten zapis pojawił się tutaj jedynie przypadkiem. Został zatrzymany przez jednego z agentów w tutejszej stacji video. Prawdziwy meldunek znajduje się na następnej ścieżce.

Oconnor na wzmiankę o telewizji mimowolnie skrzywił się, choć może Annie się tylko tak wydawało. Posłusznie wyłączył ponownie odtwarzacz i przełączył na następną ścieżkę, na której nagrane zostało satelitarne ujęcie zajścia przed rezydencji Borisova z poprzedniego wieczora.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w pusty już wreszcie ekran zastanawiając się nad dalszym postępowaniem.

Innych pomyłek już na tym nagraniu nie ma, mam nadzieję? zapytał, obracając się w jej stronę. To wszystko.

Proszę siadać wskazał na fotel gościnny. Potem połączył się z podporucznikiem sprzed drzwi i polecił nie łączyć i nie wpuszczać do siebie nikogo. Słucham rzucił bez żadnych wstępów pewnym siebie tonem.

Kompanię wartowniczą strzegącą tej rezydencji wysłano dziś rano na Księżyc na szkolenie.

- Kto jeszcze zna ten zapis? Który?

Ten, w sprawie którego pani tu przyszła. Admirał Bron, obsługa podglądu satelitarnego i ja.

- Czego pani właściwie chce? I co ma oznaczać ten śmieszny fotomontaż. Jest zbyt pretensjonalny. Naga dziewczyna, kochańek, trup. Dziewczyna nawet nie potrafi dobrze utrzymać w ręku broni, a jej kochańek jest za stary jak na pannicę tej klasy. Poza tym zbyt szybko zaczął wyciągać broń, żeby potem miał dać się zastrzelić jak cielak.

- Możemy oczywiście poczekać na analizę, ale obraz jest jak najbardziej autentyczny. Jeżeli pan mi nie wierzy, to myślę, że powinnam już iść. Jeżeli zaś skłonny jest pan założyć, że mówię prawdę i ewentualnie zbadać to później, to proszę najpierw o wyłączenie mikrofonów.

Oconnor przyjrzał się jej po raz kolejny, nie zdając sobie sprawy, że odruch ten zaczynał powoli wchodzić mu w krew. Widać było w jego oczach, że jej wierzy i że skłonny jest rozmawiać, a nawet pójść na jakąś nie - sprecyzowaną jeszcze umowę. Anna tym razem po prostu zaczęła czytać w jego myślach. Wreszcie sięgnął ręką do biurka i coś w im nacisnął.

- Jesteśmy sami - stwierdził.

- Po pierwsze, jest pan wciąż na zdalnym nasłuchu ludzi Kirka, a po drugie, posiada pan mikrofon w nadgarstkowym nadajniku.

Oconnor sięgnął do nadgarstka wyłączając naręczny aparat bezpieczeństwa, a następnie ponownie dokonał jakichś operacji na biurku.

Tym razem Kirk nie będzie nam przeszkadzał - oznajmił, nie dając po sobie poznać, czy zadowolony jest z faktu, że rozmawiająca z nim kobieta tak doskonale zna jego tajemnice.

Proszę zauważyć, że sprzedałam panu za darmo ceną informację. Niech pan to traktuje jako gest dobrej woli. W tej chwili jest pan właściwie jedyną Osobą, która wie o tym nagraniu oprócz Borisova.

I was.

I nas.

I Brona, któremu Kirk zamelduje.

- Wątpię. Jestem oficjalnym wysłannikiem admirała. Nie będzie miał powodów, żeby nie uznać, że admirał z siebie tylko wiadomych względów nie chciał informować młodego porucznika o pewnych sprawach wagi państwowej.

- Skoro wie pani tak dużo, to może jeszcze mi pani powie, dlaczego Kirk rozpoczął podsłuch.

- Standartowa procedura ochronna. Zwykła rutyna.

Oconnor zaśmiał się szczerze.

- Stary pocziwy Bron. Zawsze gotów do usług. A może i pani jest fragmentem jakiejś kolejnej standartowej procedury. Część miłsza nudnej rutyny?

- Mutanci Hildora są częścią zupełnie innej procedury, panie prezydencie.

- Dlaczego mutanci Hildora próbują mnie zastraszyć? I to w tak nieporadny sposób?

- Raczej uprzedzić o niebezpieczeństwie. Ta pannica nazywa się Alicja Borisov, z zawodu córka prezydenta. A ten stary amant, to nikt inny jak Mściciel - szef organizacji, która nazywa się Wolne Geny. Chciałabym, żeby pan zaczął wreszcie rozmawiać poważnie.

- Wiecie bardzo dużo - Oconnor naprawdę zaczął ją traktować poważnie i nawet kiedy przyglądał jej się podejrz-

liwie, to czuć w tym było tylko siłę niedawno nabytego przyzwyczajenia. Brakowało zupełnie przekonania. - Za dużo. Pani pojawienie się w tym akurat momencie i z tą akurat sprawą zmienia wiele rzeczy.

Oconnor zamilkł. Po jego minie widać było zupełnie wyraźnie, że nie jest zadowolony ze stopnia wtajemniczenia swojej rozmówczyni. Anna postanowiła raz jeszcze wejść w jego myśli. Nie mogła tego czynić zbyt często, ale teraz chwila była przełomowa. Jeżeli miał wezwać ochronę, to właśnie nadszedł moment decyzji. Oconnor, ku jej zdziwieniu, zastanawiał się, czy nie jest to kolejna akcja Borisova mająca na celu skompromitowanie go. Nie miał natomiast najmniejszego zamiaru wzywać kogokolwiek. Anna zadowoliliła się tym stwierdzeniem.

- Pani tu przyszła w swoim imieniu?

- Nie jest istotne czy w swoim, czy w imieniu wszystkich mutantów. Ważne jest, że łączy nas jeden wspólny cel: nie chcemy, żeby Borisov wygrał wybory.

Skąd to przypuszczenie!

- Panie prezydencie, mutanci Hildora umieją czytać w myślach, o tym pan chyba nie zapomina.

Oconnor spiął się do skoku, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że przez cały czas Anna mogła czytać w jego myślach.

- Was trzeba jak najszybciej zniszczyć. Zabić... - zabrakło mu wreszcie słów. Był wzburzony, zaczynał tracić panowanie nad sobą.

Przez chwilę przyglądał się jej z nienawiścią, co mogło świadczyć o tym, że postanowił urozmaicić swoje przyzwyczajenie. Anna wątpiła w to jednak, w jego myślach czuć było nie tyle nienawiść, co strach.

- Wiedział pan o tym od chwili, kiedy tutaj weszłam.

- Teraz też pani czyta... - w tej chwili wyglądał jak niesforne dziecko, które coś zbroiło.

- Naprawdę uważa pan, że czytanie w cudzych myślach jest naszym ulubionym zajęciem? Zapewniam, że robimy to bardzo sporadycznie i tylko wtedy, kiedy jesteśmy do tego zmuszeni. Teraz zaistniała taka sytuacja, bo pan stracił kontrolę nad sobą i przez chwilę zastanawiał się czy nie wezwać ochrony. Potem zmienił pan zdanie.

- Przepraszam - Oconnor potrafił się błyskawicznie uspokajać. - W jaki sposób możecie latać w kosmos? Co na to wasi koledzy?

- Wiedzą, że nigdy nie robimy niczego bez ich zgody.

- Nie wierzę, ale muszę przyznać, że we Flocie macie bardzo dobrą opinię.

- Czy możemy wrócić już do tematu?

- Rzeczywiście nie chcę, żeby Borisov wygrał, ale nie oznacza to, że potrzebuję w tym celu uciekać się do pomocy mutantów.

Videokryształ, który pan otrzymał, samoczynnie skasuje zapis po upływie kwadransa. Nie można go nawet przegrać na inny. To jedna ze standartowych sztuczek tajnych służb.

- Proszę więc go sobie zabrać - Oconnor wyjął zapis i rzucił po biurku w jej stronę.

Tym razem Anna popadła w zamyślenie. Oglądając zadowoloną minę swojego rozmówcy, który już pewien był wygranej, czytała w jego myślach, że postanowił najpierw ją zmiękczyć, a potem namówić do współpracy nad rozpracowaniem do końca Borisova. Uważał, że skazani sami powinni zaciskać sobie pętlę na szyi.

- Podsumujmy więc sytuację - Anna postanowiła odsłonić karty, nawet jeżeli jej rozmówcę miało to kosztować zawał serca.

- Rok temu prezydent Borisov postanowił rozprawić się raz na zawsze z mutantami Hildora - Oconnor słysząc te słowa nie umiał do końca ukryć zdziwienia. Wątpiła jednak czy docenia jej elokwencję i znajomość tematu. Nie można było zresztą spodziewać się, że taki egocentryk jak on doceni po-

ziom swojego rozmówcy. - Postanowił w tym celu wykorzystać podległą sobie organizację pod nazwą Wolne Geny. Wmieszał w to nawet nieświadomą niczego córkę, co miało okazać się dla niego najbardziej fatalnym ruchem. Nie wiemy, dlaczego posunął się aż do tego. Prawdopodobnie ten człowiek myśli tylko i wyłącznie o własnej karierze. Faktem jest, że rozpoczął przygotowania do największego procesu politycznego w historii ostatnich trzystu lat, na fali którego miał stać się jedynym i niepodważalnym kandydatem w ponownych wyborach.

Popełnił jednak kilka błędów. Nie powinien podsuwać swojej córki Petowi. Myślał zapewne, że uśpi to naszą czujność, jeżeli w ogóle odkryjemy, że Judith i Alicja to ta sama osoba. Być może chciał później wykorzystać ją jako naszą ofiarę. Trudno powiedzieć.

Nie powinien również bać się nas aż do tego stopnia, żeby zorganizować ten Alarm Systemowy.

Zrobił to jednak. Jakies pół roku temu dowiedział się pan o jego planach i postanowił ubiec go, wykorzystując przygotowaną przez niego machinę propagandową i prawną. Zamierzał pan pozwolić mu ukreścić postronek na własną sztycę, zostawiając akurat tyle liny, żeby pętla nie była za ciasna.

Oconnor miał teraz kamienną twarz, która mówiła o wiele więcej niż wszystkie jego miny i spojrzenia do tej pory. Najwyraźniej bał się jej. Ale nie na tyle, żeby nie myśleć nad najlepszym sposobem wykorzystania tego dla własnych celów. Problem polegał na tym, że nic nie przychodziło mu do głowy.

- Rozpracował pan Wolne Geny - kontynuowała Anna - i przejął znaczną część dokumentacji skompletowanej przez Borisova. Pana ludzie zebrali wszystkie możliwe do zdobycia dowody jego winy. Teraz pan czeka na najbliższą sesję Parlamentu, w czasie której zgłosi pan swoją kandydaturę, po uprzednim zmuszeniu Borisova do wycofania się. Jeżeli ten odmówi, to pan go zniszczy publicznie, co zresztą i tak pan zrobi według wszelkiego prawdopodobieństwa.

- Przed chwilą powiedziała pani, że mam w rękę wszystkie atuty.

- Pana siła polega na tajemnicy. Borisov nie podejrzewa w najgorszych koszmarach co pan o nim wie i może udowodnić. Jeżeli ktoś mu o tym powie w sposób przekonywający, to zniszczy pana albo po prostu zabije, zrzucając winę na nas. I pan wie, że się przed tym nie zawaha.

- A więc mam kupić wasze milczenie. Całkiem niezłe. - Oconnor udawał, że jest rozbawiony, ale gdyby ktoś nagle wszedł do pokoju, to musiałyby posiadać nieograniczoną wyobraźnię, żeby to od razu zauważyć. Nieuprzedzony obserwator odniósłby raczej wrażenie, że wiceprezydent jest zdenerwowany, a może nawet leciutko przerażony.

- My niczego nie sprzedajemy. Chcemy panu przedstawić pewną propozycję, którą będzie pan mógł odrzucić.

- Myślę, że traci pani czas. Mam zamiar za chwilę aresztować panią.

W godzinę później Borisov będzie wiedział o pana zamiarach. Podpisze pan tylko wyrok na siebie.

W gabinecie zapadła cisza. Oconnor przypomniał sobie rozmowę z Kristine na temat mutantów i o Karpovie. Nie wierzył w tę opowieść, ale nie byłby człowiekiem, gdyby teraz nie zaczął o tym myśleć. Podświadomie czuł, że ta piękna kobieta, rozmawiająca z nim bez wyraźnego wysiłku czy strachu, jest bardzo niebezpieczna. Nie wiedzieć skąd, nabrał pewności, że nie byłby w stanie jej zabić.

- Wysłucham do końca pani propozycji, ale radziłbym nie przeciągać struny.

- Oferujemy panu współpracę. Nagranie i dokumentacje będące w naszym posiadaniu. A także poparcie Floty.

- Dokumenty mam. Poparcia Floty nie potrzebuję. Nie widzę realnej możliwości współpracy z wami. Jesteście zbyt widoczni.

- No i milczenie do czasu rozprawienia się z Borisovem - Anna udała, że nie usłyszała ostatniego zdania. - Z dokumen-

tów nie posiada pan videokryształu i admirał Bron również go nie posiada. Flota jest bardzo zaniepokojona wykorzystywaniem jej w rozgrywkach politycznych. Pan jest tak mocno zaangażowany w walkę wyborczą, że nie zauważa pewnych symptomów pojawiających się wśród wyższych szczebli hierarchii Floty. Oficerowie latający głęboko miłują Ziemię, choć brzmi to trywialnie w tym gabinecie. Nie pan jeden nie docenia znaczenia Floty. Przez czterysta lat swojego istnienia ta formacja przeszła zadziwiającą ewolucję. Zaledwie tysiąc pięćset osób personelu latającego zapewniło jej ciągłość pierwotnych idei. Z pewnością nie wie pan nawet, że prawie dziewięćdziesiąt procent naszych pracowników i żołnierzy jest piątym albo szóstym pokoleniem z tych samych rodzin pracujących dla nas. Jest to temat na osobną rozmowę.

- Skłonny jestem pani nawet uwierzyć. Zwłaszcza po ostatniej rozmowie z Bronem, ale to niczego nie zmienia. Nie macie niczego do zaofiarowania.

- Milczenie. To jest warte pana życie. Przynajmniej przez tydzień. Jeżeli pan chce usłyszeć coś, czego nie chciałam mówić to bardzo proszę. Pan wykończy Borisova z naszą pomocą. Następnie wyciszy pan wszystkie plotki o procesie. Też z naszą pomocą. My również zapewnimy panu poparcie Alicji, która jest mocno zbulwersowana zachowaniem tatusia, i unieszkodliwimy Alfreda Boko, który jest jedyną po nas siłą zdolną panu zagrozić. Tak dla formalności - bo to w końcu drobiazg - informujemy, że posiadamy taśmy z pana rozmową z Hansem Virem, w której mówił pan o planach wykorzystania Wolnych Genów i Borisova do zabicia jednego z nas. Do czasu zakończenia kampanii wyborczej i wyborów oczekujemy od pana pewnych gwarancji. W tym celu jutro otrzyma pan projekt listy załogi i rozkaz lotu dla najnowszej jednostki Floty o nazwie Feniks. Chodzi o rejs ćwiczebny na odległość dziesięciu parseków z trzydziestoosobową załogą. My będziemy tą załogą. Oficerem odpowiedzialnym za przygotowania do rejsu będzie admirał Sonorov, który na okres tych przygotowań zosta-

nie podporządkowany bezpośrednio Bronowi. W ten sposób dajemy panu gwarancję pozbycia się nas na trzysta lat z Ziemi. Przez ten czas zdąży pan wykorzystać wszystkie profity swojej przyszłej funkcji prezydenta Federacji. Jeżeli pan się zgodzi, to w godzinę po podpisaniu projektów, o których mówiłam, otrzyma pan wszystkie dokumenty będące w naszym posiadaniu oraz sposób kontaktowania się ze mną na wypadek gdyby pan potrzebował naszej pomocy. Może pan żądać daleko idących usług, do śmierci swoich wrogów łącznie.

- A jeżeli się nie zgodzę? - Oconnor wciąż nie sprawiał wrażenia zafascynowanego usłyszana propozycją.

- Natychmiast rozpoczniemy działania mające na celu poinformowanie Borisova o pana planach. Jeżeli w dwadzieścia cztery godziny później pan będzie jeszcze żył, to opozycja dostaje komplet dokumentów na temat pana i Borisova. Włączymy w to video i prasę. Nasze poparcie otrzyma Kollombo.

- Naiwne - Oconnor wyciągnął się wygodniej na fotelu i sięgnął po papierosa. Zapalał go dość długo. Wreszcie zaciągnął się dymem i zapytał. - A jeżeli mimo tego wszystkiego jednak zostanę prezydentem?

- Nie ma pan szans. Jeżeli Borisov pana nie zabije, to my to zrobimy.

Anna wstała i wyprężyła się na baczność.

- Pilot porucznik Anna Bor odmeldowuje się - wyrecytowała i skierowała się w stronę drzwi. Już w progu zatrzymała się na moment.

- Projekt wpłynie do pańskiego komputera jutro do godziny dwudziestej czwartej.

* * *

Alfred Boko po raz pierwszy bał się. Miał niejasne podejrzenia, że jego szef zwariował. Borisov polecił mu poddać Alicję pełnemu badaniu hipnotycznemu w celu wyciągnięcia z niej wszystkich informacji towarzyszących śmierci Mściciela.

Badanie to dawało w większości przypadków doskonałe rezultaty, jeżeli przesłuchiwany mógł zginąć bez śladu. W tym przypadku Boko nie śmiał posuwać się do ostateczności. Nie czuł w sobie żadnych równie niskich uczuć, jak skrupuły czy coś w tym rodzaju. Wiedział jednak, że Alicja nie daruje mu tego. Tak samo jak ci, którzy ją wykorzystali, nie puszczą takiej gratki płazem. Wreszcie nie był pewien, czy sam Borisov nie przygotowuje go jako konia trojańskiego dla swoich przeciwników. Śladów w mózgu i osobowości przesłuchiwanego nie dawało się usunąć całkowicie. Byle lekarz będzie w stanie zeznać pod przysięgą, że Alicja była torturowana. I nikomu nie przyjdzie do głowy, że mogło tego dokonać jakieś mityczne podziemie. Aparatura potrzebna do tego typu przesłuchań zajmowała trzy piętra w gmachu policji.

Zapalił nerwowo cygaro i po raz kolejny włączył zapis znaleziony przy Gizie. Obrazy przesuwwały się w zwolnionym tempie. Alicja ponownie stała naga z pistoletem laserowym ukrytym pod szlafrokiem. Giza zmierzał w stronę kamery i Boko widział cień zrozumienia pojawiający się na jego twarzy. Niemal wyczytał decyzję chwycenia za broń. Od tego momentu coś zaczęło się dziać. W pokoju musiał być ktoś jeszcze oprócz Alicji i Peta. Musiało tam zająć coś, co kazało Mścicielowi czuć się zagrożonym. I nie była to tylko Alicja. Nagranie było tak zmontowane, że praktycznie można było na jego podstawie aresztować mieszkańców połowy świata. Pokój był standardowy. Kamera też. Cały skomplikowany aparat policyjny nie wykrył ani jednego szczegółu, który mógłby umożliwić identyfikację pomieszczenia. Boko miał pewność, że to nie Alicja wywołała podejrzenia Gیزی. Pet w tym czasie był już pod działaniem narkotyku i nie mógł nawet kiwnąć palcem.

Obraz przesuwiał się w zwolnionym tempie ukazując Mściciela, rzucającego się na podłogę i próbującego strzelić z półobrotu. Jego ruchy były w pełni normalne. Nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego nie strzelił. Specjaliści analizowali to nagranie klatka po klatce. Sporządzono program symulacji

komputerowej i za każdym razem orzekano, że przeciwnik Gizy nie miał szans. A fakty pozostawały faktami. Alicja wyszła z tego bez szwanku. Nawet nie umiała prawidłowo trzymać broni. To nie mógł być przypadek. Doskonale wyszkolony agent, od wielu lat pracujący w konspiracji nie wpada nagle w zasadzkę. Wszyscy w wydziale wiedzieli, że Mściciel miał manię na punkcie własnego bezpieczeństwa. To nagranie przypominało niebezpiecznie zapis egzekucji. Alfred Boko miał nieprzyjemne wrażenie, że jest to jedyne nagranie jakie dane mu będzie w najbliższym czasie oglądać.

Był również pewien, że z Alicji niczego się nie wycisnie. A Borisov był szaleńcem. Dziewczyna natychmiast zacznie robić skandal. Oskarży policję o najgorsze rzeczy, jakie tylko jej przyjdą do głowy. Boko doskonale wiedział, że ta mała główka miała nieograniczoną wyobraźnię, jeżeli chodzi o wymyślanie oskarżeń. W badaniu brało udział sześć osób. Boko zaczął więc przemyśliwać nad najlepszym sposobem zamknięcia im ust. Dwóch najważniejszych techników miało tak wielką renomę, że niepodobieństwem było zabicie ich obu jednocześnie. Z kolei zlikwidowanie pozostałej czwórki musiałoby wzbudzić podejrzenia tych dwóch. Błędne koło. Borisov będzie więc musiał podpisać nakaz tymczasowego aresztowania i wysłania ich gdzieś daleko. Najlepiej do bazy księżycowej. W towarzystwie kompanii wartowniczej domyśla się oczywiście wielu szczegółów, ale za to wszyscy będą w jednym miejscu.

Na biurku zapaliła się nagle czerwona lampka. Znak, że proszą go do sali przesłuchań.

Skończyliśmy drugą serię badań - oznajmił szef techników podając plik papierów i wykresów z zeznaniami Alicji wyniki identyczne jak za pierwszym razem. Można jeszcze zastosować nadzwyczajny trzeci stopień, ale...

Nie będzie trzeciego stopnia uciał Boko, lekko błędąc na samą myśl. Od razu poczuł się wściekły na siebie, że okazał słabość wobec podwładnego.

Doprowadźcie ją do stanu używalności i odwiedźcie do rezydencji prezydenta. I zapomnijcie, że kiedykolwiek ją widzieliście.

Po powrocie do gabinetu Alfred Boko zaczął się bać jeszcze bardziej. Z zeznań wynikało niezbitcie, że Alicja zrobiła wszystko tak, jak na filmie. Owszem, można było zinterpretować pewne krzywe jako zamiar zabicia Gizy, ale niewątpliwie samo działanie stanowiło reakcję na jego atak. Ktoś, kto zmontował tę inscenizację był geniuszem i Boko zbyt dobrze orientował się w tego typu sprawach, żeby nie podziwiać swojego przeciwnika. Po raz pierwszy od wielu lat zaczął się zastanawiać, czy postawił na dobrego konia. Dla niego było już jednak za późno. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wzięłby poważnie jego deklaracji o zmianie obozu.

Uruchomił system zabezpieczający swój gabinet i zaczął przeglądać stare dokumenty. Zwłaszcza te podpisane przez Borisova, a zlecające mu pewne działania, których wyciągnięcie na światło dzienne mogło kosztować kogoś głowę. Dołączył do tego archiwum zapis rozmowy z prezydentem, z poleceniem przesłuchania Alicji i poczuł się spokojniejszy. Zgrał na niekopiowany kryształ całą dokumentację i wsadził ją do kieszeni. Czasy były niepewne. Potem pojechał na naradę do prezydenta.

* * *

Anna Bor od pewnego czasu bezskutecznie usiłowała skontaktować się z Hildorem. Profesor po raz pierwszy od czasu kiedy go znała wsiąkł jak kamfora i nikt nie potrafił niczego powiedzieć o miejscu jego pobytu. Koniecznie musiała z kimś porozmawiać. Do wyboru pozostawał jej Jeni albo Pet. Obaj byli na tyle skompromitowani przez ostatnie wydarzenia, że spotkanie z nimi nie mogło już u nikogo wzbudzić większych niż dotychczas podejrzeń.

Jej willa leżała na skraju miasta. Jako trzecia po Pecie i Hildorze zamieszkała w okolicach Genewy. Reszta była rozrzucona po całym świecie. Pierwszy przyszedł Pet. Prezentował się równie niechłujnie jak zwykle. Tym razem Anna nie robiła żadnych uwag na ten temat. Wiedziała, że wydarzenia ostatnich dni mocno nadszarpnęły jego wytrzymałość.

- Alicja zaginęła bez śladu - zaczęła bez wstępów. W miarę możliwości mutanci starali się nie używać telepatii. Był to stary odruch kogoś, kto przez całe lata musiał się dostosowywać do otoczenia, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

- Tatuś trzyma ją pod kluczem - stwierdził Pet. Nie wyglądał na zbyt przejętego wiadomością. - Należy się jej.

- Boję się, że Borisov coś zrobi. Że jakoś wykorzysta to nagranie żeby nam zaszkodzić.

- To był wasz pomysł.

- Jeżeli nie odezwie się do ciebie do jutra rano, trzeba będzie zacząć jej szukać. Tylko tego nam trzeba, żeby prezydent zmusił ją do zeznań na naszą szkodę. W tej sprawie chciałam się z tobą widzieć. Musimy wymyślić jakiś sposób dotarcia do Wydziału Specjalnego. Oni z pewnością będą coś wiedzieli na jej temat.

- Jak wizyta u Oconnora?

Nie wiem. Kiedy wychodziłam miał taki mętlik w myślach, że niczego nie potrafiłam z nich wyczytać. Pet zwał się na fotel, w którym zwykle Anna obmyślała plany zdobycia nowych kochańków i wykorzystania ich.

Masz coś do picia?

- W kuchni.

- To wolę papierosa - odparł i wyciągnął z kieszeni pojemnik z papierosami. - Nie chce mi się ruszać z miejsca.

- Mnie też nie.

- Nie uważasz, że to śmieszne? Obmyślamy skomplikowane plany obrony trzęsąc się ze strachu. Tymczasem wszyscy uważają nas za nadistoty, a ty nie potrafisz nawet wyczytać niczego z myśli faceta, który stoi przed tobą o dwa metry.

Tyle co się tyczy tej słynnej telepatii. Nawet nie wiemy, czy naprawdę jesteśmy tak długowieczni jak oni twierdzą. Dwa loty pozaukładowe i już masz dwieście lat życia do przodu. Jesteśmy tylko bardziej toporni niż zwykli ludzie. Każdy normalny człowiek dawno palnąłby sobie w łeb na naszym miejscu.

- Teraz wyglądasz raczej na brudasa.

- A ty nie wyglądasz na kurwę, a nią jesteś. I co z tego? Gdyby kościół miał tylko setną część swoich wpływów sprzed kilku wieków to wykląłby nas już dawno. Poza tym, kto dzisiaj wierzy jeszcze w cokolwiek?

- Ludzie wierzą w naszą realność.

- Ludzie wierzą w nasze nadprzyrodzone możliwości. Problem polega na tym, że niewiele tych nadludzkich sztuczek znamy.

Pieprzemy bez sensu - Pet podniósł się opornie z fotela i skierował do kuchni. - Jednak strzelę sobie jednego.

- Chcesz? - krzyknął do Anny. Nalej.

Dalszą rozmowę przerwało nadejście Jeniego. Przyjrzał się im bez słowa i pokiwał głową z ubolewaniem.

- Mnie też nalej - odezwał się w końcu.

Kiedy Pet wrócił do pokoju ze szklankami, Anna kończyła tłumaczyć Jeniemu przyczyny niepokoju o Alicję.

Jeni odebrał szklankę i wypił od razu połowę jej zawartości.

- Kolega komandor też pije - skomentował Pet z zadowoleniem.

- Hildor jest nieuchwytny - Jeni udawał, że nie zwraca uwagi na słowa Peta. Chociaż może i rzeczywiście nie zwracał na nie uwagi.

- Ktoś musi przecież koordynować całą akcją - wtrąciła się Anna bez przekonania.

- Teraz musimy czekać, moi drodzy - Pet ponownie opadł na fotel. - Następny ruch należy do nich.

- Czy zrobimy coś w sprawie Alicji? - Anna nie ustępowała.

Chcesz ją porwać? - Jeni skrzywił się lekko.

- Miała chronić Peta przed atakami tatusia. Tymczasem wygląda na to, że Borisov przejął się tym wszystkim zbyt mocno. Musiał ją zamknąć.

- Przed odpowiedzią Oconnora nie możemy nic zrobić - przypomniał im Pet wykazując niespotykaną u siebie trzeźwość umysłu.

Czy ktoś wie, gdzie właściwie podział się Hildor? zapytała Anna.

- Prawdopodobnie razem z Sonorovem urabiają teraz Brona, żeby dał nam Feniksa.

- Robimy wszystko zbyt szybko. Trzeba było wygrać więcej czasu. Jeni dopił swoją szklankę do końca jednym haustem pokazując wymownie, co o tym wszystkim sądzi.

W pokoju zapadła nerwowa cisza. Przerwał ją dopiero syk lasera topiącego drzwi wejściowe. Ktoś postanowił wejść do mieszkania Anny nie zakłócając jej snu. Najwidoczniej nie spodziewał się, że będzie gadała do późnej nocy.

Cała trójka odzyskała nagle refleksy pilotów, którzy przeszli pełne przeszkolenie komandosów. Na szczęście wszyscy mieli służbową broń przy sobie, odkąd po zakończeniu Alarmu Systemowego za radą Sonorova zaczęli chodzić wyłącznie w mundurach.

Było mało prawdopodobne, żeby napastnik lub napastnicy spodziewali się tu zastać więcej niż jedną osobę. Znając jednak reputację Anny należało oczekiwać więcej niż jednego gościa. Jeni z Petem bezszelestnie skryli się w kuchni mając na oku cały salon, w którym pozostała tylko Anna.

Schowaj się przy ścianie - poradził jej telepatycznie Pet.
- Mogą strzelać z marszu.

Kiedy Anna zajmowała swoją pozycję, Jeni i Pet sondowali telepatycznie przybyszów. Było ich czterech. Jeden posuwał się daleko w tyle i szeptem nieprzerwanie meldował do

centrali wyniki działań całego zespołu. Fakt ten świadczył, że ktoś przygotował tę akcję, działał kompleksowo i tak to zmontował, że poszczególne patrole działały sekwencyjnie, wykorzystując doświadczenia swoich poprzedników. To zaś oznaczało, że patrole zapasowe czekały w pogotowiu na niepowodzenie swoich kolegów, żeby natychmiast ich zastąpić i wykonać zadanie, które się tamtym nie powiodło.

Jeni przekazał telepatycznie swoje wnioski Annie i Petowi. Postanowili zabić najpierw trójkę idącą przodem, a następnie starać się sterroryzować faceta z nadajnikiem. O ile pierwsza część ich planu miała duże szanse powodzenia, to druga była mocno wątpliwa. Do takich zadań z reguły wybierano ludzi po głębokim seansie hipnotycznym, którzy doprowadzeni byli do stanu totalnego oddania zadaniu. Byli gotowi zginąć.

- Weź pierwszego - nadał Pet do Anny, która bezgłośnie kiwnęła głową wyrażając zgodę. Ten odruch przekazany telepatycznie zawsze wywoływał wesołość u Peta, który i tym razem nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Tymczasem trójka zabójców stanęła w progu salonu. Poruszali się pewnie, nie zatrzymując się ani razu. Znaczyło to, że doskonale znali rozkład pomieszczenia.

Pet i Anna strzelili jednocześnie na sygnał Jeniego. Natychmiast potem wyskoczyli wkraczając bezceremonialnie w myśli ostatniego napastnika. Liczyli tutaj głównie na strach przed telepatami. Tym razem ich plan się powiódł, bo mężczyzna stojący z nadajnikiem zamilkł nagle i skamieniał z przerażenia.

Pet natychmiast skoczył do niego i przytknął mu lufę swojego lasera do czaszki.

- Zamelduj, że zadanie wykonane - nadał nie starając się być łagodnym.

Działanie hipnozy na tym człowieku musiało być powierzchniowe, bo pod wpływem trzech obcych myśli wdzierających się w jego mózg, zaczął bać się już tylko o własne życie.

Posłusznie zameldował, że pilot porucznik Anna Bor nie żyje i że czekają na wykonanie drugiej części planu. Albo hipnoza była wykonywana pośpiesznie i płytko, albo facet nie miał w sobie niczego z bohatera. W jego sytuacji nie miało to i tak najmniejszego znaczenia. Musiał zginąć. Przedtem miał jednak ważną misję do spełnienia. Poinformować trójkę swych oprawców o szczegółach planu.

Był on stosunkowo prosty. Trzydzieści trzy grupy czteroosobowe miały działać prawie jednocześnie. Z wyjątkiem grup genewskich, których rolą było natychmiastowe sprawdzenie zastosowanej taktyki. W przypadku śmierci mutantów mieszkających w tym mieście reszta grup operacyjnych, już zlokalizowanych w pobliżu mieszkań reszty mutantów, miała jednocześnie wkroczyć do akcji. Zaraz potem ciała znanych aktywistów Wolnych Genów miały zostać dostarczone do tych mieszkań. Aktywistów wyłapywała policja cały dzień aż do wieczora, kierując się raczej kryterium osiągalności niż wyrafinowaniem. Meldunek o wykonaniu zadań przez wszystkie lub nie mniej niż dwadzieścia pięć grup operacyjnych miał być wyrokiem śmierci dla nich. Po śmierci przysługiwał im laser użyty do zabicia mutantów i status bohatera, umarłego za sprawę ludzkości. Boko, który oczywiście kierował całą akcją uważał ponoć, że aktywistom Borisov oddaje zbyt wielką przysługę.

Był tylko jeden problem. Grupy operacyjne nie miały ze sobą łączności.

* * *

Gabinet admirała Wilhelma Brona trzeba było u - znać za luksusowy według każdego punktu widzenia, bez względu na przyjęte kryterium. Karl Sonorov i Alfred Hildor od trzech godzin bez przerwy naradzali się z Bronen nad dalszym postępowaniem. Bron od kilkudziesięciu godzin rozumiał, że dalsze trzymanie się Borisova może mu jedynie zaszkodzić.

Starął się więc usilnie znaleźć jakieś rozwiązanie, które dałoby mu szansę zachowania stanowiska i wzmocnienia swojej pozycji.

Sonorov zaproponował mu więc wysłanie Feniksa wraz z mutantami w daleki lot. Stary lis, jakim przecież był Bron, natychmiast zrozumiał korzyści płynące z takiego rozwiązania sprawy.

Pozostawało go tylko przekonać, że gra jest warta świeczki. W tym celu Hildor wyciągnął kopie starego rozkazu Howarda, w którym Sonorov otrzymał uprawnienia do tajnej działalności przez pięćdziesiąt lat po śmierci prezydenta.

- Z punktu widzenia prawa można by się spierać oczywiście, czy chodzi tu o lata biologiczne czy relatywistyczne - zauważył Hildor - ale przecież w każdym przypadku jest to jakaś podstawa prawna.

- Prawo sprzed dwustu lat nie na wiele mi się zda - burknął Bron przyglądając się kopii po raz setny.

- Jakie macie gwarancje, że Oconnor rzeczywiście podpisze ten rozkaz, jeżeli go oczywiście wydam.

- Dość poważne - wtrącił Sonorov, który do tej pory właściwie ograniczał się do kiwania przytakująco głową. - W każdym bądź razie zrozumie, że pan jest po jego stronie. Samo to jest warte ryzyka.

- Formalnie Borisov może w każdej chwili zażądać raportu w sprawie lotów pozaukładowych. Szalenie ryzykowne.

Jeżeli Oconnor to podpisze, to pan może utajnić ten lot i wyłączyć go z wszystkich raportów. Prezydent może oczywiście polecić przekazanie sobie planu tajnych działań Floty, ale musiałby mieć bardzo poważne powody, żeby akurat teraz zajmować się taką sprawą.

Jeżeli ta wiadomość nie przecieknie zbyt szybko, to do końca swojej kadencji nie zorientuje się w tym podstępnie. A my będziemy działać legalnie z każdego punktu widzenia.

Co ja z tego będę miał, czego bym nie miał bez wdawania się w ten układ? - zapytał wreszcie Bron.

Hildor i Sonorov spojrzeli na siebie. Od początku rozmowy czekali na ten moment. Obaj wiedzieli, że trzeba zaproponować coś wielkiego, coś co zauroczy admirała.

Dostanie pan kompletną dokumentację z przygotowań do kampanii wyborczej Borisova i Oconnora.

Kto jeszcze będzie miał do niej dostęp? - Bron patrzył na nich podejrzliwie, ale już widać było błyski pożądliwości w jego mętnych oczach.

- My i Oconnor.

- Po co to Oconnorowi?

Żeby podpisał rozkaz, który mu pan przedłoży.

I przy okazji wykończył Borisova - Bron rozsiadł się wygodnie w fotelu i pokiwał z uznaniem głową. - Sprytne. Bardzo sprytne. Czy wy uważacie Borisova za idiotę?

Proszę przekazać do komputera Oconnora polecenie przydzielenia nam Feniksa, a przekona się pan, że on także uważa ten plan za realny - Hildor wzruszył ramionami, jakby się dziwił tępotcie admirała. W rzeczywistości, cały był spocorny widząc jak niewiele brakuje do rozprysnięcia się ich planu w pył.

Rozumiem, że ktoś z was rozmawiał już z wiceprezydentem?

- Anna Bor - odparł Sonorov.

- Tupetu wam nie brakuje - mruknął z podziwem admirał. - Wysłać facetowi mutantkę tuż przed rozpoczęciem nagonki Borisova... Jeżeli chcieliście pogrążyć Oconnora, to chyba udało wam się to znakomicie.

W tym momencie Hildor poczuł, że poci się jeszcze bardziej. Przeczyło to wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, bo nikt nie mógł się pocić już bardziej, niż on w tej chwili, ale i tak był przekonany, że ostatnie słowa Brona wyzwoliły w jego ciele nieznanne dotąd gruczoły potowe. Oczywiście admirał miał rację. Oconnor został skompromitowany i to bardziej niż ktokolwiek mógł to sobie wyobrazić z osób, które nie знаły nagrania na przekazanej mu taśmie i zamachu na Peta. Należało

oczekiwać bardzo gwałtownej reakcji ze strony Borisova. W tej sytuacji pomoc Floty była niezbędna. Tylko, że nie mógł w tej chwili powiedzieć o tym komukolwiek. Bron wciąż jeszcze nie był do końca przekonany.

- Między innymi dlatego jestem przekonany, że podpisze rozkaz lotu i skład załogi. Choćby po to, żeby dostać do ręki broń przeciwko Borisowowi - odparł tonem, zasługującym na natychmiastowy angaż aktorski.

- Domyślam się, że macie z sobą projekt tego rozkazu?

Bron w jednej chwili się zdecydował, a Hildor modlił się, żeby biedak po śmierci dostał się do raju dla admirałów, jeżeli tylko taki istniał w niebie. On na jego miejscu kazałby aresztować facetów, którzy podsuwają mu taki dynamit do ręki. Może zresztą Bron miał lepsze informacje o raju dla admirałów niż on. W każdym przypadku należało kuć żelazo póki gorące. W wariackiej gonitwie intryg Oconnor z pewnością nie dowie się zbyt szybko o posunięciach Borisova.

Sonorov także zrozumiał, że nie pora już na udawanie i bez słowa położył na biurku wypełniony formularz i listę załogi.

- To prawie otwarty bunt - mruknął Bron czytając dokument, ale mimo wszystko wsunął go w szczelinę czytnika i wystukał na konsoli koordynaty Oconnora.

- Rozkaz poszedł. Mam nadzieję, że macie te dokumenty przy sobie?

Tym razem Hildor sięgnął do kieszeni i podał mu kryształ z zapisem wszystkich dostępnych im dokumentów. Bron bez słowa wsunął go w odtwarzacz i następna godzina upłynęła w milczeniu. Hildor z Sonorovem zajęci byli swoimi kłopotami, a Bron dopiero teraz zaczął pojmować w co się wdał.

- Podajcie spis pasażerów ostatnich dwudziestu promów księżycowych - polecił przez interkom sekretarce, a potem uważnie przeglądał wyświetlone na swojej konsoli nazwiska.

- Jest sześciu facetów od Ala Boko, o których nie ma mowy w waszych zapisach - stwierdził wreszcie. - Wszyscy są pracownikami działu przesłuchań specjalnych policji. Na waszym miejscu nie wychodziłbym przez jakiś czas z tego gmachu.

- Myśli pan... - zaczął niepewnie Sonorov, który wreszcie zorientował się w tym, co przed chwilą przyszło do głowy Hildorowi.

- Tych sześciu poleciało do tej samej bazy, co kompania wartownicza, o której już wiecie. Można to sobie oczywiście różnie tłumaczyć, ale nie sądzę, żeby Boko kazał przesłuchać Borisova.

Hildor klął w duchu na swoją głupotę i zarozumiałstwo mutantów. Przewidzieli wszystko, tylko nie tak oczywisty fakt. Za wszelką cenę musiał wydostać się zaraz z tego pokoju i nawiązać kontakt z którymkolwiek ze swoich smarkaczy. Zaraz jednak zorientował się, że w ten sposób mogą stracić poparcie Brona, który przecież ma już w ręku wszystkie materiały podczas, gdy oni nie mają rozkazu lotu. Byle błąd mógł wciąż rozwiązać ich marzenia o ucieczce.

Zastanawiał się, co takiego może wymyśleć Borisov i z każdym nowym przypuszczeniem robiło mu się coraz bardziej gorąco. Zerknął okiem na Sonorova i mimo jego kamiennej twarzy domyślił się, że i on zorientował się w ich pomyłce.

- Boże! - pomyślał - żeby tylko Bron niczego nie spostrzegł.

Był przekonany, że Alfred Borisov już wydał polecenie swojemu przyjacielowi Boko. Polecenie mogło mieć tylko jedną treść. Śmierć. Natychmiastowa i odpowiednio spreparowana. Szczegółów i tak się nie domyśli. Jeżeli Boko zaczął od Genewy, to są pewne szanse. Nie wierzył, żeby udało mu się jednocześnie zabić Peta, Annę i Kira. Któreś z nich musi przeżyć i ostrzec resztę. Był na to jeden sposób i wymagał on łączności z Dowództwem Floty. Akurat tego sposobu nie powinno

się za żadną cenę używać w tym gmachu, w tej sytuacji i w tym momencie.

Ma pan rację - usłyszał głos Sonorova i dopiero teraz zorientował się, że Bron zadał im pytanie. Retoryczne, ale przecież należało coś odpowiedzieć.

- Jest tylko jedno wytłumaczenie - kontynuował Sonorov. - Borisov kazał przesłuchać Alicję. A to oznacza, że zaczyna tracić panowanie nad sobą. Wygląda na to, że kręci sobie sznur na własną szyję.

Albo na to, że jest przekonany o własnej bezkarności. - Bron zaczął spoglądać niebezpiecznie, dwuznacznie na swój terminal. - A to może oznaczać, że ma już jakiś plan, którego jest pewien i że najprawdopodobniej całkowicie zmienił koncepcję działania.

- Pan go zna lepiej - wtrącił Hildor. - Ale nie wyobrażam sobie planu, który dawałby mu jakieś rozsądne szansę rozwiązania tego kryzysu bez zabicia nas wszystkich, a proszę mi powiedzieć jak pan sobie wyobraża jednoczesne zabicie trzydziestu telepatów?

- Ja nie wyobrażam sobie tego, ale on tak. Znam go zbyt dobrze. Skoro posunął się do przesłuchania Alicji, to znaczy, że chce z wami skończyć natychmiast.

- Należy więc czekać - podsunął Sonorov.

- Niezupełnie - Bron pochylił się nad intercomem. - Proszę połączyć mnie z którąkolwiek z następujących osób: pilot porucznik Anna Bor, admirał Kir Jeni, kapitan Peter Hol. Czekam.

Hildor zrozumiał, że teraz może ich uratować cud, albo coś, czego by się nigdy nie spodziewał.

* * *

Baza Operacyjna Policji mieściła się na sto drugim piętrze jej siedziby w Genewie. Ta wielka sala licząca ponad pięćset metrów kwadratowych powierzchni wypełniona była apa-

raturą do granic możliwości, ale dzięki temu pozwalała uzyskać natychmiastowe połączenie z każdym funkcjonariuszem policji znajdującym się w dowolnym punkcie Systemu Słonecznego.

Tego dnia jej personel został zredukowany do minimum niezbędnego do obsługi łączności na Ziemi oraz z Księżycem. Na fotelu dowódczym zasiadał osobiście Alfred Boko w otoczeniu swojego sztabu kryzysowego. Ludzi złożonych z najwierniejszych agentów, współpracujących z nim dla Borisova od samego początku.

Każdy, kogo to interesowało mógł stwierdzić, że Wielki Szef jest dzisiaj wyjątkowo zdenerwowany. W praktyce interesowało to wszystkich obecnych na tej sali. Oni sami byli jeszcze bardziej zdenerwowani. Bo też dzisiejsza operacja była wyjątkowo niebezpieczna. Wszyscy znali reputację mutantów i doskonale wiedzieli, że wystarczy by wymknął im się jeden, a wtedy wszyscy mogą się pożegnać z życiem. Tę reputację mutantów zdobywali długie lata i nikt nie uważał jej za wyolbrzymioną. Ta sala była wypełniona tylko zawodowcami.

Alfred Boko po raz setny zastanawiał się, w jaki sposób wywinąć się z tej matni. Nie robił sobie złudzeń, co do powodzenia dzisiejszej operacji. Pomysł Borisova byłby doskonały gdyby chodziło o kogokolwiek innego. W tym przypadku szansę jego powodzenia eksperci określili na siedemdziesiąt procent. On sam nie dawał nawet dziesięciu. A i to, tylko w chwilach kiedy za wszelką cenę chciał siebie pocieszyć.

Nie miał wyjścia. Musiał grać z Borisovem do końca.

- Zebra trzy melduje o wykonaniu zadania - zameldował oficer łączności.

- Czy zebra jeden i dwa odezwały się?

- Bez przerwy meldują. Jeni i Hol są poza domem.

- Kaźcie zebra trzy czekać u Bor. Może zjawi się tam któryś z tych dwóch.

- Czy rozpoczynamy drugą fazę?

Druga faza polegała na podrzuceniu trupów morderców. Faza trzecia miała polegać na bohaterskiej interwencji policji.

- Czekać - rozkazał i zaczął się gorączkowo zastanawiać nad sytuacją. Były jeszcze zbyt małe szanse na to, żeby Hol czy Jeni zorientowali się w sytuacji. Zebra trzy wykonała zadanie. To znaczyło, że ich szaleńcza strategia zdała egzamin. Natomiast każda minuta opóźnienia mogła jedynie odebrać im inicjatywę.

- Czy zlokalizowano miejsce pobytu Hildora? - zapytał mając nadzieję, że to będzie jakiś ślad.

- Nie.

- Wydaję rozkaz: Patrole zebra cztery do zebra trzydziestu dwóch rozpoczynają natychmiastowe działania. W każdym przypadku mają czekać na miejscu na odwołanie, meldując bez przerwy o sytuacji. Jeżeli zbraknie im tematów niech liczą do tysiąca.

* * *

Trójka mutantów przechwyciła rozkaz Boko i to do reszty zepsuło im humor. Nie mogli zabić agenta bez zdradzenia się. Ujawnienie teraz faktu, że Anna żyje mogło jedynie przyspieszyć działanie Boko wobec reszty.

- Kto mieszka obok? - zapytał Annę Jeni.

- Jakiś facet. Nie znam go.

- Ruszamy - rozkazał więźniowi - to nasza jedyna szansa. Musimy skorzystać z jego video nadał telepatycznie do reszty.

Pet pokiwał w milczeniu głową i wycelował swój laser w drzwi wejściowe.

Idioto wtargnęła w jego myśli Anna - spokojnie. Bez śladów.

Pet opuścił broń i nacisnął dzwonek. Nikt im nie odpowiedział. Spróbował jeszcze kilkakrotnie, z tym samym skutkiem.

Wyszedł - mruknął i ponownie wycelował swój laser w drzwi wejściowe. Tym razem nikt nie protestował.

Po chwili znaleźli się w mieszkaniu ponuro podobnym do apartamentów Anny. Tylko okna wychodzące na inną stronę ulicy pozwalały odróżnić to mieszkanie od mieszkania Anny. Nawet meble były podobne w swej funkcjonalnej bezduszości. Jeni natychmiast skoczył do videofonu starając się złapać Hildora. Profesor dalej zajęty był swoimi sprawami i pozostawał dla wszystkich nieuchwytny. Miało to tę dobrą stronę, że najprawdopodobniej agenci Boko również nie byli w stanie go zlokalizować. Przez chwilę cała trójka przyglądała się sobie w niezdecydowanym milczeniu. Jedynie ich więzień powtarzał monotennie, że patrol zebra trzy wciąż czuwa, co było w pewnym sensie prawdą, aczkolwiek jedynie w odniesieniu do nielicznej części wspomnianego patrolu.

Łączyć się z resztą nie ma sensu, bo pewno mają ich na podsłuchu.

- Nie sądzę zaoponowała Anna i Jeni bezgłośnie jej przytaknął gdyby tak było to przecież wiedzieliby, że jesteście u mnie.

- Nawet jeżeli tak było, to teraz jest już za późno. Wiedzą przecież, że nie udało im się załatwić ani mnie ani Jeniego.

To fakt - Anna wyglądała na zupełnie zrezygnowaną. Żadne z nich nie spodziewało się takiej reakcji na śmierć Mściciela, bo przecież nikt nie wątpił, że musiało to być bezpośrednią przyczyną akcji. Może nawet ktoś doniósł prezydentowi ojej wizycie u Oconnora. A to już z pewnością musiało wywołać burzę. Jej siła i rozmiar świadczyły z jednej strony o bezradności przeciwnika, ale z drugiej strony jego dzika determinacja mogła dać rezultaty. Zapobiec katastrofie można było jedynie w ciągu najbliższych kilku minut. Zbiry Boko już zostały spuszczone ze smyczy.

- Procedura Alarmowa Floty - głośno stwierdził Jeni.

Pet z Anną spojrzeli na niego zdziwieni. W jaki sposób wywołać tę procedurę bez rozkazu admirała Brona?

- Kto jest oficerem dyżurnym Kosmoportu? - zapytał nie zważając na ich miny.

- Chyba Vantrop - Pet nie był pewien, mimo że teoretycznie powinien jako dowódca liniowy wiedzieć, kto i którego dnia ma dyżur na Kosmoporcie.

Jeni nie czekając na nic od razu połączył się z numerem dyżurnym Kosmoportu. Wiedział, że od tego momentu cała rozmowa będzie nagrywana.

- Mówi admirał Kir Jeni, numer służbowy 110983 - SP, priorytet zero. Z dowódcą Portu.

- Pułkownik Vantrop, oficer dyżurny Kosmoportu - odezwał się prawie natychmiast znany na szczęście im wszystkim głos. Odetchnęli z ulgą, mimo że był to dopiero początek ich starań.

- Ja, Peter Hol i Anna Bor - mówił spokojnie Jeni - zostaliśmy przed pięcioma minutami zaatakowani przez policję z Wydziału Specjalnego. Mamy jeńca, który potwierdzi nasze zeznania. Prosimy o natychmiastową ochronę dla następujących oficerów Floty. Następnie padło dwadzieścia siedem znanych im tak dobrze nazwisk.

- Jakie macie podstawy to takich podejrzeń?

- Zeznania jeńca.

- Takie grupy są zabezpieczone hipnotycznie - Vantrop był mocno przerośnięty powagą sytuacji. Dla niego miał to być tylko jeszcze jeden rutynowy wieczór.

- Jesteśmy telepatami.

- Dlaczego nie skontaktujecie się z nimi przez video?

- Obawiamy się podsłuchu i blokady. Flota może złamać każdą blokadę.

Vantrop spojrział na niego baczniej przez ekran video i wszyscy troje wiedzieli, że doskonale rozumie ich sytuację. Problem polegał na tym, czy da się ponieść nienawiści czy też przeważy w nim solidarność z oficerami Floty.

Macie łącze z wszystkimi wymienionymi nazwiskami - oznajmił wreszcie po, wydawałoby się, wieczności. - Nadaję sygnał zagrożenia.

Poczułi jednocześnie nieregularne drgania w swoich naręcznych komunikatorach. Vantrop miał przynajmniej jedną zaletę. Kiedy się na coś decydował to nigdy nie szedł na półśrodki. Jeni również zaczął natychmiast mówić:

- Spodziewany atak fizyczny czterech do pięciu osób. Czas nieokreślony. Prawdopodobnie natychmiast po usłyszeniu tego komunikatu lub w jego trakcie. Uciekać. Nie wdawać się w walkę. Atak ma na celu zgładzenie wszystkich. Powtarzam: wszystkich. Czekać na kontakt z jednostkami Floty. Ten komunikat będzie powtarzany automatycznie przez następne pięć minut.

- Gdzie jesteście? - włączył się natychmiast Vantrop.

- Mieszkanie obok Anny.

- Za wszelką cenę utrzymajcie jeńca przy życiu. Macie czekać tam na patrol, który już wystartował. Przewidywany czas dotarcia: siedem minut. Pozostawcie kanał otwarty.

* * *

Boko przez chwilę miał ochotę wydać rozkaz zabicia Vantropa. Pomijając legalną stronę takiego rozkazu i fakt, że nie widział nikogo, kto by go wykonał spośród znanych sobie funkcjonariuszy, to i tak policja nie była w stanie przełamać umocnień Kosmoportu.

Był jednak zbyt wielkim rutyniarzem, żeby wpadać w desperację. Rozkazy zostały wydane i jego grupy już najprawdopodobniej docierały na miejsce. Ostrzeżenie przyszło za późno. To oczywiście nie było takie pewne, ale nie mógł przyjąć innego założenia.

- Do wszystkich patroli zebra - jego głos mimo starań lekko mu jednak drżał - strzelać natychmiast po nawiązaniu kontaktu wzrokowego z obiektem. Powtarzam, natychmiast

po nawiązaniu kontaktu wzrokowego. Zezwalam na dodatkowe ofiary według zaistniałej sytuacji. Patrole zebra jeden do jeden cztery natychmiastowy start do obiektu Bor. Izolacja pomieszczenia i ewakuacja zabitych. Bez względu na obecność Floty.

Kiedy skończył mimo woli otarł sobie pot z czoła. Anna Bor żyła, a to mogło oznaczać jedynie trzy trupy w jej mieszkaniu. Patrol zebra trzy należało spisać w poczet zmarłych na posterunku. Nie miał złudzeń, że ktokolwiek w Bazie Operacyjnej wątpił w to.

* * *

W gabinecie admirała Brona panowało ponure milczenie. Wszystkie trzy numery nie odpowiadały. Bron kazał nawet na wszelki wypadek sprawdzić czy nie są uszkodzone. Nie były.

Panowie wiedzą oczywiście, że jeżeli nasze podejrzania się sprawdzą, to będę musiał robić to, co polecił mi Borisov?

To szaleniec odparł Hildor rozsiadając się wygodniej w fotelu. Nie wierzył w śmierć całej trójki. A skoro dotąd żadne nie zadzwoniło do Brona z prośbą o wydanie rozkazu ochrony to znaczy, że znaleźli już inny sposób.

Nawet jeżeli wydał taki rozkaz, to przecież może zabić co najwyżej kilkoro. Nigdy wszystkich. A wtedy nie wiem, co oni zrobią.

Sądząc po minie Brona posiadał on pewne wyobrażenie o prawdopodobnym działaniu niedobitków mutantów i wyobrażenie to wyraźnie mu nie odpowiadało.

Trzeba czekać zdecydował. Hildor spojrział na Sonorova, który prawie niedostrzegalnie pokręcił głową. Mutanci musieli udowodnić, że nie można ich zabić. Dopiero potem Bron może się zdecydować na udzielenie im pełnego poparcia.

Po kilku sekundach na konsoli Brona pojawił się sygnał alarmu na Kosmoporcie. Mutanci znaleźli jednak swój sposób

wyjścia z impasu, a przy okazji pograżyli zupełnie Brona w oczach Borisova.

* * *

Ewa Bonov opierała głowę na ramieniu Franka Kroma, inżyniera z pobliskiej Bazy Floty, który od ponad czterech miesięcy uchodził w oczach tego małego miasteczka w Brazylii za jej kochanka. Dom Ewy znajdował się w samym centrum tego, co zostało z dumnego ongiś dorzecza Amazonki, a jego osiem pokoi było dziełem znanego przed stu pięćdziesięciu laty architekta, który wybudował go specjalnie dla niej. Miał nadzieję, że powstrzymają tym sposobem od dalszych lotów pozaukładowych. Świadkowie twierdzili, że po jej odlocie z Ziemi nigdy nie chciał uwierzyć, że ją ostatecznie utracił. Dom czekał na nią" osiemdziesiąt lat i nie stracił niczego ze swego uroku. Kiedy przed ośmiu laty ponownie wróciła na Ziemię z drugiego lotu historia tej miłości poszła zupełnie w zapomnienie. Dom natomiast był uważany wciąż za piękny. Jego zaletę stanowił fakt zupełnego odizolowania od reszty budowli tego małego miasteczka, autentyczną dżunglą tropikalną. Najbliższy sąsiad znajdował się o kilometr drogi rzeką. Baza" Floty leżała przeszło piętnaście kilometrów stąd i została wybudowana zaledwie przed czterdziestu laty. Ewie nie przeszkadzała ona zupełnie. Dawała natomiast jakieś trudne do logicznego wytłumaczenia poczucie pewności.

Ewa wpatrywała się w gwiazdy widoczne przez przezroczysty plastik sufitu sypialni. Sufit ten stanowił jedyne udoskonalenie jakie poczyniła w konstrukcji domu. Gwiazdy tej nocy migotały szczególnie hipnotycznie, jakby mówiły: chodź do nas; wtop się w nas; wtedy wszystko zobaczysz z właściwej perspektywy. Frank głaskał ją po szyi lekko naciśkając kręgi kręgosłupa. Bardzo to lubiła. Był miłym chłopcem i Ewa czuła żal, że będzie musiała się z nim rozstać. Może mogłaby go pokochać, urodzić mu dzieci i założyć rodzinę. Niepi-

sana zasada mutantów mówiła jednak wyraźnie: żadnych związków z normalnymi ludźmi; wcześniej czy później zdradzą cię z zazdrości.

- Wykąpiemy się? - zapytał Frank, nie przerywając pieszczoty.

- Mmm - pokręciła przecząco głową. - Przytul mnie mocno.

Potem znowu leżeli. Tym razem wtuleni w siebie, nad słuchując bicia własnych serc i wdychając swój zapach. Ewa czuła podniecenie swojego partnera. Tej nocy nie odczuwała żadnej satysfakcji z tego faktu. Głowę miała zaprzątniętą toczącą się o tysiące kilometrów stąd rozgrywką. Wierzyła, że ich plan musi się udać, ale w głębi duszy bała się, że cena tego sukcesu będzie wielka. Miała najbardziej wśród mutantów rozwiniętą intuicję. Przeczuwała coś, co wisiało od dawna w powietrzu, a co było równie trudne do zdefiniowania jak jej intuicja. Rzadko się myliła. Jej partner trzymał ją w swoich ramionach i czuła się przy nim bezpieczna i całkowicie niezależna od świata. Wiedziała jednak, że są to tylko pozory. W rzeczywistości było zupełnie na odwrót.

- Zostaniesz do jutra? - zapytała, nie podnosząc głowy z jego piersi.

- Jeśli chcesz.

Nie będziemy wychodzili nawet na taras. Chcę cię mieć cały czas przy sobie.

- Chyba, żebyśmy chcieli się wykąpać. Chyba, żebyśmy chcieli się wykąpać - powtórzyła, zrezygnowanym tonem. - A ty na pewno będziesz chciał się wykąpać.

W tym momencie usłyszała sygnał alarmowy w videoekranie i zaraz potem głos Kira:

- ... Atak fizyczny czterech do pięciu osób...

Prawie natychmiast zerwała się na równe nogi i skoczyła w kierunku pistoletu.

... Prawdopodobnie zaraz po usłyszeniu tego komunikatu...

Drugą ręką zgarnęła komunikator i nałożyła go na prawą rękę. ... Lub w jego trakcie. Uciekać. Nie wdawać się w walkę...

Sprawdź ogród - szepnęła do Franka, który dopiero teraz schronił się pod ścianę. Nie miał przy sobie broni.

Atak musiał nadejść od strony rzeki. Wątpiła, żeby nastpnikom chciało się przedzierać przez dżunglę. Tym bardziej, że sądząc po komunikacie Kira zostali oni zmuszeni do przyspieszenia swojego planu.

... Powtarzam: wszystkich...

Ewa dopiero teraz poczuła drgania komunikatora naręcznego. Ktoś ogłosił alarm dla Floty. To nie było takie ważne. Odległość przystani od jej domu wynosiła około sześćdziesięciu metrów. Gdyby odważyła się przejść do gabinetu, to mogła stamtąd włączyć podgląd telewizyjny przystani. Z drugiej strony droga w dżunglę i tak stanowiła ich jedyną szansę ucieczki. W 'tym celu musi się ubrać. Postanowiła więc stracić cenne sekundy na założenie kombinezonu.

- Ubieraj się. Skaczemy w dżunglę.

Frank był zbyt inteligentny, żeby zadawać pytania. Założenie kombinezonów i dotarcie do drzwi prowadzących na taras zajęło im prawie trzydzieści sekund. Musieli przeskoczyć przez taras, przez sto metrów ogrodu i płot wysokości dwóch metrów.

- Biegiem - szepnęła i skoczyła w ciemność. Przebiegli do połowy ogrodu kiedy wyczuła telepatycznie obecność dwóch ludzi. Zaraz potem runęła na ziemię i potoczyła się w prawo w stronę najbliższych krzaków. Słyszała, że Frank robi to samo. Nie była pewna, czy do toczył się blisko niej, a bała się zdradzić swoją obecność. Nadszedł czas na złamanie zasad.

- Gdzie jesteś? - zapytała telepatycznie. - Pomyśl. Nic nie mów. Mają czujniki.

Przez chwilę nic nie słyszała. Wreszcie odnalazła myśli Franka, leżącego jakieś dziesięć metrów za nią.

- Podczerwień! - odebrała.

- Za ciepło. Nawet drzewa są jeszcze ciepłe. Zamazują obraz.

- Mają deflektory. Musimy biec dalej. Dlaczego się zatrzymałaś?

- Dwóch z nich jest gdzieś tuż koło nas. Mogą nie mieć aparatury. Kir zdążył nadać ostrzeżenie i musieli działać natychmiast.

- Gdzie są? Odbierasz ich?

Przeklęła w duchu własną głupotę i panikę. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniała ich zlokalizować. Uświadomiła sobie, że Frank, który drżał ze strachu w ciemnościach gdzieś za nią, najprawdopodobniej uratował jej życie. Szybko zaczęła naprawiać swój błąd. Tym razem nie próbowała być delikatna. Zaczęła z pełną mocą, jaką tylko potrafiła wykrzesać, badać telepatycznie otaczające ją zarośla. Wiedziała, że może ich zlokalizować jedynie w promieniu stu metrów. Dalej jej możliwości nie sięgały. Najpierw natrafiła na trzech mężczyzn, z których jeden coś mówił. Nie starała się na razie zrozumieć co mówi, bo zorientowała się, że jeden z nich idzie od strony przystani, a pozostali dwaj ukrywają się z drugiej strony domu. Gdzie podziąła się ta dwójka, która zmusiła ją do szukania ucieczki w krzakach? Poprzednio czuła ich obecność bardzo blisko. Zupełnie zignorowała dopiero co zlokalizowane myśli i skupiła się na najbliższej okolicy. Przez chwilę poczuła, że wpada w panikę na myśl, że policja odkryła jakiś nieznanych telepatów ze zdolnością ekranowania swoich myśli. Wreszcie ich odnalazła. Jeden ukryty był zaledwie dwadzieścia metrów na lewo od niej. Klęczał zasłonięty drzewem, wpatrując się w szklane okna tarasu. Czekał na cokolwiek, co można by zinterpretować jako próbę ucieczki, żeby strzelić. Uzbrojony był w laser bojowy Floty. Policja nie miała prawa używać takiej broni. Drugi zdążył podbiec prawie pod sam taras i ukrył się za jego murem. Leżał tam niewidoczny z wnętrza domu, czekając aż wyskoczą. Przekazała telepatycznie te informacje Frankowi, uświadamiając sobie w jak bardzo ostat-

niej chwili nadeszło ostrzeżenie Kira. Dwie minuty później nic nie mogłoby ich uchronić od śmierci. Tych pięciu facetów miało taką siłę ognia, że byli w stanie pierwszą salwą spalić cały budynek bez narażania się na walkę. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że najprawdopodobniej tak właśnie zrobią.

Odszukała myśli pozostałych napastników i wreszcie zdecydowała się podsłuchać tego, który mówił.

- Zebra dwa dziewięć do Bazy - usłyszała. - Na pozycjach. Obiekt nie ujawnił się. Prosimy o nadesłanie stratu. Konieczne wsparcie powietrzne.

Baza do zebra dwa dziewięć. Strat w drodze. Doleci do was za sześć minut. Za trzy minuty rozpoczęcie ostrzeliwanie obiektu. Spalić dom.

- Zebra dwa dziewięć do Bazy. Przyjąłem. Za trzy minuty spalić dom. Strat w drodze.

Zaraz potem zapadła cisza. Ewa przekazała Frankowi ostatnią wiadomość.

- Kiedy zaczną strzelać skaczemy - pomyślał w odpowiedzi. Musiała przyznać, że jak mało kto potrafi dostosować się do okoliczności. Niewiele osób umiałoby przyswoić sobie równie szybko zwyczaj myślenia zamiast mówienia.

Spróbuję zabić tego, który czai się najbliżej. Skacz pierwszy. Gdybyśmy się zgubili w dżungli, niech każdy stara się dotrzeć do Bazy.

Napastnicy musieli mieć w uszach pestki komunikacyjne, bo niespodziewanie usłyszała gdzieś obok siebie ledwo dosłyszalny szept.

- Zrozumiałem.

Zaraz potem policjant począł czołgać się w stronę domu. To uratowało mu życie. Najwidoczniej dalej byli przekonani, że nie zdążyła jeszcze zorientować się w sytuacji.

Ostatnia minuta była najgorsza. Wreszcie usłyszała syk bojowy laserów, który znała zbyt dobrze. Nie oglądając się za siebie skoczyła biegiem do przodu. Słyszała za sobą ciężkie posapywanie Franka. Dostrzegła wreszcie zarys płotu i do-

piero wtedy zorientowała się, że jest jasno jak w dzień. Dom palił się jak szopa buchając iskrami na wysokość kilkunastu metrów. Strat nie będzie miał najmniejszych trudności ze zlokalizowaniem patrolu. Dobrze wyszkolonym na treningach skokiem wspięła się na górę i jednym szarpnięciem ciała przerzuciła się na drugą stronę. Upadając usłyszała krzyk Franka. Nie musiała używać telepatii, żeby zorientować się co zaszło. Frank został trafiony. To mogła być jakaś szansa. Odbiegła jeszcze trochę, aż była zupełnie pewna, że dżungla całkowicie zasłoniła ją przed wzrokiem napastników.

Do przylotu stratu brakowało teraz około dwóch minut. Jeżeli Frank dostał porządnie to nikt nie będzie w stanie ustalić czy spopielone szczątki należały do kobiety czy do mężczyzny. Do tego potrzeba badań laboratoryjnych. Istniało ryzyko, że mimo wszystko pozostały z niego jakieś fragmenty ciała nadające się do identyfikacji gołym okiem. Była na granicy zasięgu swojej telepatii.

Postanowiła zaryzykować kilkanaście sekund oczekiwania na zorientowanie się w sytuacji.

- ... Czekamy na strat. Obiekt nie do zidentyfikowania - odebrała. - Trafiliśmy ją tuż przy płocie ogrodu. Istnieje ryzyko, że nie była sama. Nikt nie zauważył, kiedy wyszła. Musiała na nas czekać w ogrodzie.

- Baza do zebry dwa dziewięć. Prowadzić dalej poszukiwania. Nawiązać łączność ze stratem. Obiekt nie może, powtarzam: nie może wam uciec. Macie carte blanche.

Nie słuchała dalej. Ruszyła biegiem w stronę Bazy, mając nadzieję, że skoro ktoś już zdecydował się na ogłoszenie procedury alarmowej we Flocie, to musi nastąpić jakieś działanie mające na celu ich ochronę. W tym samym momencie usłyszała świst stratu. Stanęła zrezygnowana i zadyszana. Dalsza ucieczka na oślep nie miała sensu. Strat wyposażony był przecież w urządzenie noktowizyjne i sensory zapachowe. Nawet jeżeli należał do policji. Nagle zaczęła się przysłuchiwać uważniej. Świst był zbyt silny jak na aparat policyjny. Taki od-

głos wydawał jedynie strat bojowy Floty lecący na dopalaczach. Komuś się cholernie spieszyło.

Pojazd zawisł nad palącą się jeszcze willą i uruchomił swoje potężne reflektory. Następnie zaczął posuwać się po spirali wokół posiadłości. Szukał jej.

- Zebra dwa dziewięć do stratu. Obiekt ucieka najprawdopodobniej w stronę Bazy. Zniszczyć natychmiast po wykryciu - odebrała i mimowolnie wzruszyła ramionami. Nawet telepatia nic jej nie pomoże. Była skończona.

Coś zaczęło ją poszturchiwać w nadgarstek. Komunikator wibrował sygnałem wywoławczym. Na kanale zastrzeżonym dla oficerów latających. Co to mogło znaczyć? Nagły rozbrysłk w powietrzu nad jej domem wyjaśnił zagadkę. Właśnie była świadkiem zniszczenia stratu policyjnego. Gorączkowo włączyła swój namiar i osunęła się na jakiś zwalony konar. Teraz dopiero poczuła jak bardzo się bała i jak bardzo była zmęczona tymi kilkoma minutami walki o życie.

* * *

Kristine Oconnor udawała, że nic ją nie obchodzi to całe zamieszanie, którego była świadkiem od ponad dwunastu godzin. Jednak dopiero od niecałej godziny przysłuchiwała się naradzie jej męża z Hansem Virem. Od czasu do czasu przerywał ich rozmowę Kirk, wsuwając bez pytania głowę do gabinetu i bacznie przyglądając się obecnym w nim osobom. Najwyraźniej nie ufał już swojej aparaturze.

Wszystko rozpoczął niechący Vir, który przekazał Kirkowi informację, że w Bazie Operacyjnej Policji coś się dzieje. Nie znał szczegółów, bo oczywiście jego notowania u Alfreda Boko znajdowały się w okolicach najniższego poziomu stanów niskich i nie został tam wpuszczony. Zdenerwowany Kirk wezwał posiłki i u - stawił swoich ludzi w strategicznych punktach dzielnicy rezydencyjnej, której jedyną winą był fakt, że mieszkał w niej Oconnor.

Komandosi zachowywali się grzecznie i wkraczali zdecydowanie do akcji jedynie wtedy, gdy ktoś kierował się w stronę rezydencji rządowej. Rozkaz mieli dość jednoznaczny: wszystkich wypuszczać, nikogo nie wpuszczać.

Hans Vir wpadł jak bomba do gabinetu Oconnora dopiero w momencie, kiedy stało się jasne, że atak wymierzony jest w mutantów. Na progu zdążył zażądać od Kirka dodatkowych kanałów łączności dla podsłuchu i w parę minut później gabinet wiceprezydenta przemienił się w centralę nasłuchu.

Trafili na koniec ataku na Annę Bor. Kiedy usłyszeli meldunek, że Anna zginęła, Oconnor ze zdumieniem uświadomił sobie, że jest mu jej szkoda. Ich długa rozmowa sprzed kilkudziesięciu zaledwie godzin sprawiła na nim o wiele większe wrażenie niż chciałby się komukolwiek przyznać. W głębi duszy był nią oczarowany. Złapał się nawet na tym, że kiedy Kristine przyszła przed godziną porozmawiać z nim, mimo woli zaczął porównywać ją z Anną. Nie jest wykluczone, że mutantom właśnie o to chodziło. Był zbyt cynicznym człowiekiem, żeby nie zdawać sobie sprawy, że trudno by było podesać mu lepszą kobietę. Na nikogo innego nie byłby tak podatny, jak na tę perwersyjną mutantkę.

Z tym większym zdumieniem przyjął fakt nadejścia projektu rozkazu przydzielenia mutantom Feniksa. Nie mógł uwierzyć, żeby admirał Bron był aż tak bardzo w tyle wydarzeń.

Kiedy usłyszeli w głośnikach rozkaz ataku na pozostałych mutantów Vir po raz pierwszy okazał publicznie jakieś ludzkie uczucie.

Boże! - wyszeptał do siebie. - On zwariował! Nie da rady ich wszystkich zabić.

Oconnor nie był tego taki pewien. W nienormalnej sytuacji mogły poskutkować jedynie nienormalne metody działania. Jego niepewność znikła równie szybko jak się pojawiła w momencie, kiedy usłyszał wiadomość od Kira Jeniego.

A nie mówiłam! - triumfalnie oznajmiła Kristine. - Stary Karpov miał rację. I tobie też powtarzam: zostaw ich w spokoju. I szybko dogadaj się z Bronem. Teraz on trzyma w rękę wszystkie atuty. Lepiej żebyś był pierwszym, który go poprze. Mówiąc to wyszła z gabinetu, nie dostrzegając Kirka, który akurat w tym momencie ponownie wsadził głowę do środka, sprawdzając czy wszystko jest w porządku. Obaj pozostali mężczyźni nie odezwali się ani słowem zasłuchani w płynące nieprzerwanie komunikaty. Vir bez przerwy coś regulował w aparaturze.

Nie damy rady przechwycić rozmów z Kosmoportem - stwierdził wreszcie.

Mają nowe skramblery - wyjaśnił Oconnor. - Sami mogą złamać każdą blokadę założoną przez policję czy telewizję, ale ich zabezpieczenia przed podsłuchem są codziennie zmieniane. Ja też mam tylko bezpośredni kanał do Brona, a z resztą sił zbrojnych mogę się porozumieć dopiero przez jego dział łączności.

Zebra dwa dziewięć wykonała zadanie - usłyszeli nagle.

- Kto to był? - zapytał Oconnor.

Nie wiem - Vir bezradnie wzruszył ramionami. Przechwytyję sygnał z satelity. Nadawać mogli zewsząd.

- Zebra jeden dziewięć prosi o wsparcie stratem. Jesteśmy atakowani przez Flotę. Obiekt prawdopodobnie zniszczony. Na pewno ranny.

- Baza do zebry jeden dziewięć. Utrzymajcie się przez cztery minuty. Pomoc w drodze. Unikać walki z Flotą. Priorytet ma zniszczenie obiektu.

Zebra dwa dziewięć do Bazy. ... Obiekt nie do zidentyfikowania...

- Zebra jeden zero do Bazy. Mamy duże straty. Obiekt ostrzeliwuje się z mieszkania. Nie możemy strzelać z uwagi na bliskość rezydencji gubernatora. Prosimy o wsparcie.

- Baza do zebry jeden zero. Carte blanche. Powtarzam: carte blanche. Posiłki dotrą za cztery minuty. Zniszczyć obiekt

bez względu na straty i szkody materialne. Gubernatora bierzemy na siebie. Powtarzam: zniszczyć obiekt.

- O co chodzi Borisowowi? - głośno myślał Ocon - nor. - Przecież to szaleństwo. Jaki ma plan?

- Nie wiem - Vir zaczął mieć wątpliwość, czy Oconnor jest dobrym kandydatem na prezydenta. Na wszelki wypadek udawał, że dostraja aparaturę.

Do gabinetu wpadł bez pukania Kirk. Wyglądał na szalenie przejętego.

- Panie prezydencie, proszę o zgodę na ewakuację do Kosmoportu - prawie wykrzyczał. - W mieście doszło do starcia naszych komandosów z policją. Obie strony używają stratów bojowych.

- Walczą o Annę Bor i jej jeńca. Borisov nie chce zostawić świadków. Może posunąć się nawet do zniszczenia budynku, o który walczą - wyjaśnił Vir, dziwiąc się, że potrafi to powiedzieć tak bezosobowym tonem.

- Panie prezydencie - naciskał Kirk. - Tutaj może się zdarzyć wszystko.

Oconnor spojrział się na niego przelotnie i machnął ręką, nakazując ciszę.

- Panie prezydencie. Odpowiadam za pańskie życie - Kirk był bliski podjęcia jakiejś nieprzemyślanej decyzji.

- Poruczniku - zdenerwował się wreszcie Oconnor. - Macie pod sobą batalion komandosów. W przypadku ataku chyba potraficie utrzymać tę rezydencję przez trzy minuty? Tyle mniej więcej potrzebuję czasu, żeby razem z żoną przejść do czekającego na nas stratu.

Kirk przez chwilę chciał coś powiedzieć, ale potem dotarły wreszcie do niego słowa Oconnora. Prawie zaczerwienił się i wyszedł na pięcie, zapominając nawet zaskutować.

- Nerwowy, ale przejmuje się rolą - zauważył Vir. - Może trochę zbyt ambitny.

- Bron musiał go nieźle nastraszyć przysyłając tutaj - Oconnor uznał sprawę za zamkniętą i przysunął się bliżej gło-

śnika polowej aparatury zainstalowanej w jego gabinecie. Na całej Ziemi akcja Alfreda Boko przyjmowała różne oblicza, ale ogólny jej wynik był raczej dla niego niepomysłny. Według wstępnych szacunków, Oconnor powiedziała, że zabito prawdopodobnie dwóch mutantów, a trzech zraniono. Nie można było powiedzieć, jak poważnie. Boko stracił do czasu nadejścia pomocy ze strony Floty co najmniej osiem grup operacyjnych całkowicie, a dalszych pięć poniosło duże straty. W sumie około osiemdziesięciu ludzi. I to nie byle jakich. Oconnor nie miał złudzeń co do wartości bojowej agentów policji, jak na przykład Kirk, który uważał ich za idiotów. Boko dobrał do tego zadania elitę. Jego ludzie byli o wiele lepsi niż nawet komandosi Floty, a mimo to przegrali. Wiedzieli doskonale w co się wdają, a przecież poszli do ataku. Nie można było ich podejrzewać o wahanie czy niezdecydowanie. Był to ten typ ludzi, który zabijał przed śniadaniem tylko po to, żeby przećwiczyć rękę na czczo. Atakujący mieli za sobą wszystko: przewagę zaskoczenia, siłę liczebną, noc, posiłki czekające na cień prośby o pomoc. Co najważniejsze, ci fachowcy nie cierpieli, jak Kirk, na przerost ambicji. Kiedy tylko wydawało im się, że jest ich za mało natychmiast wołali posiłki. I tacy ludzie przegrali z kretesem z trzydziestką nieprzygotowanych i nawet w najczarniejszych snach nie spodziewających się takiego ataku mutantów. Pomoc Floty ograniczyła straty. To było oczywiste, ale i tak Boko nie miał szans na zabicie więcej niż może dziesięciu mutantów.

Oconnor dopiero teraz zaczął podejrzewać, że opowiadanie Kristine o Karpovej i jej tajemnicy nie musi wcale być bajką dziecienniałej staruszki. Gdyby mutanci zdecydowali się na wykonanie podobnej misji, mając za sobą te same atuty co Boko, to bez wątpienia nikt z zainteresowanych nie zauważyłby nawet swojej śmierci. Myślenie o stratach wśród mutantów było po prostu śmieszne.

Pomyślał, że gdyby miał pod swoimi rozkazami ze dwie setki takich żołnierzy, to nikt na Ziemi nigdy nie mógłby odebrać mu władzy, aż do śmierci.

Rzeczywistość była jednak zupełnie inna. Te trzydzieści osób stanowiło obecnie rzeczywiste potencjalne zagrożenie dla wszystkich. Na razie jeszcze nie przyszło im do głowy, żeby przejąć rządy. To było jednak tylko kwestią czasu. Oconnor sam zbyt dobrze znał to narkotyczne upojenie, jakie dawała władza. U niektórych prowadziło to czasami wręcz do fizycznego upijania się tym uczuciem jak alkoholem. A każdy człowiek wcześniej czy później zaczynał zastanawiać się, co by zrobił, gdyby miał po temu możliwości. Czasami te myśli owocowały pragnieniem zdobycia władzy. Po pewnym czasie stawało się to już stylem życia, a nie zawodem. Mutanci byli przecież jednak w pewnym stopniu nadal zwykłymi ludźmi. Skoro dotąd pokazywali światu swoje zalety, które okazały się być różnorodne i zawsze przerastające przeciętność, to jakie musiały być ich wady?

Po tym nieudanym eksperymencie Borisova kolejne próby fizycznego ich zlikwidowania były czystym nonsensem. Oconnor uważał, że w miarę możliwości należy uczyć się na błędach innych, a nie własnych. Dlatego pierwszą czynnością, którą wykonał, kiedy tylko upewnił się, że w eterze panuje już cisza, było parafowanie swoim tajnym kodem nadesłanego mu przez Brona projektu rozkazu.

* * *

- Nie bardzo wiem, czy zawdzięczacie to waszej intrydze, czy też niezwykłej żywotności mutantów - stwierdził Bron, kiedy na jego konsoli komputerowej pojawił się podpis Oconnora pod przesłanym niedawno rozkazem. - Liczy się jednak skuteczność.

- Mówiłem przecież, że nie sposób ich zabić wszystkich naraz - stwierdził Hildor z niezmaconym spokojem. Chyba

tylko Sonorov zdawał sobie sprawę z tego, ile ten spokój kosztował starszego pana.

- Lada moment będę miał na głowie Borisova - stwierdził Bron niezbyt przejętym tonem. Najwyraźniej gratulował sobie w duchu podjętej wcześniej decyzji.

- Ogłosić alarm w Bazach Księżycowych - polecił przez interkom.

- Przygotować oddziały specjalne do zdobycia Księżycowej Bazy Policji. Na razie rozkazuję otoczyć teren i uniemożliwić im kontakt z Ziemią.

- To może zostać poczytane za bunt, admirale - wtrącił Sonorov.

- Przed paroma minutami przekroczyliśmy granicę dotychczasowych praw. Od tej pory każdy walczy o życie tak, jak potrafi. Prezydenci poszczególnych regionów dowiedzą się o wszystkim najpóźniej w ciągu kilku dni. Tego się nie da długo ukrywać. Będą przecieki informacji. Za cztery dni rozpoczyna się sesja parlamentu. Wtedy zaczną lecieć głowy. W obecnej sytuacji najprawdopodobniej żadna ze stron nie wymieni was na głos. Będziecie więc mieli względny spokój. Ale za kulisami już się rozpoczęła wojna o spadek po Borisovie.

- Jakie są pańskie plany w związku z tym? - przerwał mu Hildor, który powoli odzyskiwał obniżoną w ciągu poprzednich kilkudziesięciu minut sprawność umysłową.

- Sonorov rozpocznie realizację waszego planu i zacznie przejmować i wyposażać Feniksa. Aha! Musimy wymyśleć jakiś kryptonim dla tej akcji.

Bron przerwał i ku zdumieniu Hildora zaczął poważnie zastanawiać się nad tym problemem. Nawet Sonorov zdawał się podzielać opinię, że najważniejszy jest kryptonim.

- Ci wojskowi nigdy się nie zmieniają - pomyślał Hildor z rezygnacją, bo sam pragnął teraz tylko jednego. Dostać się do Kosmoportu i poznać realne straty. Nie miał złudzeń, że mimo ostrzeżenia Kira wśród mutantów są zabici i ranni. Tymczasem ci dwaj zastanawiali się nad kryptonimem.

- Może Arka Noego? - zaproponował.

- Za przejrzyste - Bron pokręcił głową coraz bardziej zatroskany.

- Może więc po prostu Arka? - Sonorov uśmiechnął się zadowolony z pomysłu.

- Wolność - oznajmił wreszcie Bron i spojrzął na nich wyczekująco, jakby oczekiwał aplauzu.

- Doskonale - zachwycił się Hildor, któremu po dzisiejszym dniu arkana sztuki aktorskiej stawały się coraz bardziej swojskie. Osobiście uważał, że jeżeli Arka Noego była zbyt przejrzystym kryptonimem, to wymyślony przez Brona pachniał na kilometr spiskiem. Na miejscu Borisova, gdyby mu wpadł w ręce taki kryptonim w spisie tajnych akcji Floty, to z miejsca kazałby aresztować oficera dowodzącego akcją według zapisu w kartotece, a później otworzyłby śledztwo w tej sprawie. Dopiero na samym końcu spytałby się kogoś, co się kryje, według Floty, pod takim hasłem. Był jednak przekonany, że Borisov nie będzie miał czasu na zajmowanie się takimi sprawami w najbliższych miesiącach. A zamierzał skrócić do maksimum czas pomiędzy odbiorem statku a jego odlotem w rejs.

- Dobrze - poparł go Sonorov, wyraźnie dręczony tymi samymi, co on wątpliwościami. Na szczęście Sonorov popierał go w ciemno, kiedy zaistniała taka potrzeba.

Bron przez chwilę przyglądał się im podejrzliwie, wietrząc jakiś podstęp, ale samozadowolenie wreszcie przeważało.

- Od tej pory naszym hasłem wywoławczym jest więc Wolność. Pan, admirale Sonorov, otrzyma specjalny kod umożliwiający zamawianie wyposażenia z centralnego magazynu Floty. Kryptonim Wolność otrzymuje od tej chwili priorytet - trzymaście.

- Dziękuję za zaufanie - odparł Sonorov. Trzynastka była najwyższym praktycznie priorytetem we Flocie. Najwyższym w ogóle był priorytet czerwony i oznaczał stan wojny,

przy założeniu zniszczenia Sztabu Głównego. Wydzieleni oficerowie, rozproszeni po całym systemie, mieli uprawnienia do używania tego kodu, ale dopiero po zerwaniu w komputerze centralnym wszystkich bezpieczników alarmowych lub w przypadku zniszczenia samego komputera.

- To nie jest kwestia zaufania, a konieczność. Musicie jak najszybciej zniknąć z Ziemi - oznajmił Bron rzeczowym tonem.

- Co najmniej połowa mutantów musi jeszcze dzisiejszej nocy odlecieć do różnych baz pozaziemskich. Profesor Hildor zajmie się tym, mam nadzieję.

- Oczywiście - Hildor, poczuł się trochę zły, że sam na to nie wpadł do tej pory.

- Jeżeli tylko zdąży ich pan dostarczyć do Kosmoportu.

- Nie ma potrzeby robić demonstracji. Dostaną się promami z baz, w których obecnie się znajdują. Dopiero kiedy już zostaną oficjalnie otoczeni ochroną w naszych instalacjach pozaziemskich będzie można transportować ich do naszych stocznii na orbicie Saturna. Polecą tam pod fałszywymi nazwiskami. Admirał Sonorov dopilnuje, żeby wszystkie rozkazy były wydane na te fałszywe nazwiska z zaznaczeniem, że chodzi o załogę tymczasową. W ten sposób opóźnimy trochę naszych przeciwników.

- Kontakt z panem będziemy utrzymywać również przez Sonorova, dobrze? - Hildor nie wątpił, że Bron nigdy nie pozwoli na to, żeby zaczęto łączyć zbyt blisko ich nazwiska ze sobą.

- Zgoda.

- Kiedy będziemy mogli rozpocząć zamawianie wyposażenia? Chciałbym dać im trochę sprzętu specjalnego - zapytał wstając z fotela. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo bołą go wszystkie mięśnie od nieprzerwanego napięcia nerwowego ostatnich godzin.

- Myślę, że w ciągu miesiąca - odparł Bron, nie racząc tym razem wstać ze swojego fotela. Najwyraźniej już czuł

upojne działanie narkotyku, o którym dotąd poważnie nie myślał: pełnej władzy, jako prezydenta.

* * *

Alicja Borisov już drugi dzień siedziała zamknięta w swoich apartamentach. Z min pilnujących ją agentów ochrony domyślała się, że zaszło coś bardzo ważnego. Była wściekła. Nie pamiętała, żeby ktokolwiek w życiu tak ją poniżył, jak jej rodzony ojciec przedwczoraj. Ona, córka prezydenta, na przesłuchaniu w policji! Od tego momentu zaczęła traktować ojca jak wroga. Borisov nie przejmował się zresztą jej humorami, czego najlepszym dowodem był ten areszt domowy.

Po śmierci Włada nie miała nawet czasu pomyśleć, zajęta doprowadzaniem Peta do przytomności. I to ona wpadła na pomysł podrzucenia trupa tatusiowi. Na to też była zła. A najbardziej była wściekła na siebie za to, że nie wie co się dzieje z Petem. Od wczoraj, to znaczy od momentu kiedy została odwieziona do pałacu po przesłuchaniu, prawie nieprzerwanie myślała o Pecie. Wiedziała, że go kocha i nie mogła ścierpieć myśli, że mogło mu się coś przytrafić.

Najbardziej chyba nienawidziła Mściciela. Za to, że przez tyle czasu oszukiwała Peta; za to, że wzbudził od początku odrazę do niego; za to wreszcie, że ciągle się z niej naśmiewał.

Podeszła do barku i nałała sobie obfitą porcją neowina - najnowszego gatunku wódki - lansowanego pod bardzo mylącą nazwą. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy, żeby ograniczyć jej dostawy prowiantu. Była to już któraś z rzędu porcja w ciągu ostatnich trzech godzin. To jest od momentu, kiedy jako tako wytrzeźwiała. Poprzednie kilkanaście godzin były nie do zniesienia i musiała się upić. Teraz ograniczała sobie dawki, bo przyszło jej do głowy, że może ojcu właśnie o to chodzi. Żeby się spała. Miałyby w ten sposób pretekst do pozostawienia jej samej. Znała go na tyle, by wiedzieć, że niedługo

przyjdzie. Przez długi czas nie będzie jej chciał darować Wolnych Genów.

Poprzedniego dnia chodziła nago po swoich pokojach, mając nadzieję, że wzbudzi pożądanie agentów ochrony. Szybko jednak przekonała się, że dla nich mogłaby się kochać z całym tabunem mężczyzn nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania. Wkroczyliby do akcji wtedy, gdyby uznali, że któryś z kochanków chce ją zabić lub pomóc w ucieczce. Nawymyślała im więc od eunuchów i pedziów, wzbudzając umiarkowane zainteresowanie na początku, kiedy sądzili, że coś jej dolega. Potem mogła z równym powodzeniem obrażać ścianę. Założyła więc szlafrok i tkwiła w nim już drugi dzień. Była pewna, że po jej występie szef ochrony dzwonił do ojca z pytaniem, czy mają ją ubrać, żeby się nie zaziębiła, czy też ignorować dalej. Próbowwała oglądać telewizję, ale w wiadomościach niczego nie podawali. A coś się musiało dziać. Tego była pewna. Nawet ludzie z obstawy nie potrafili do końca ukryć swoich myśli.

Nagle w drzwiach pojawił się szef ochrony jej ojca. Nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Dokładnie za to obejrzał salon, a potem obszedł resztę pokoi. Dopiero kiedy wyszedł i dał zgodę na wejście, do salonu wkroczył sam Borisov.

- Masz rację - syknęła Alicja z nienawiścią na jego widok. - Gdybym mogła, to bym cię zabiła.

Borisov milczał, przyglądając się jej z troską i pewnym niesmakiem.

- Muszę wyglądać potwornie - przemknęło jej po głowie, ale zaraz wzruszyła z pogardą ramionami. Co go to obchodzi? Sam ją do tego doprowadził. Ojciec wyglądał strasznie staro. Miał przecież dopiero sześćdziesiąt trzy lata i pamiętała go jako świetnie zadbanego mężczyznę z lekko siwiejącymi włosami, z których był bardzo dumny, bo nadawały mu dostojny wygląd. Teraz jego twarz wyglądała równie zmęczona i szara jak jej własna.

- Nieźle ci dokopali - stwierdziła z satysfakcją.

Borisov nie odpowiedział i tym razem. Podeszedł do barku i powąchał stojącą na nim szklankę, którą poprzednio odstawiła tam nie wiedząc kiedy. Pokręcił z dezaprobatą głową i ruszył w stronę olbrzymich skórzanych foteli stojących przy kominku. Ciężko zwałił się na jeden z nich.

- Długo zamierzasz mnie tu trzymać? - zapytała wreszcie, dochodząc do wniosku, że złością wiele nie wskóra.

- Co ci strzeliło do głowy wpieprzać się w tę kretyńską aferę z Mścicielem? - zapytał wreszcie Borisov. Nie krzyczał, jak się spodziewała. Powiedział to zmęczonym głosem starego człowieka.

- Nie wiem - wyrwało się Alicji, bo pomyślała właśnie o Pecie. Zaraz się zachnęła i chciała coś dodać, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Żeby pokryć zmieszanie podeszła stanowczym krokiem do barku i zabrała stojącą tam szklankę z neowinem. Dopiero tak uzbrojona, zdecydowała się usiąść w fotelu naprzeciwko ojca. Nienawidziła go dalej tak samo, ale jednocześnie czuła jakiś nieokreślony żal. Nie wiedziała nawet, czy do niego czy do siebie. Ojciec postarzał się bardzo. Miała wrażenie, że nie widziała go z dziesięć lat. Czuła się zresztą tak, jakby jej samej przybyło co najmniej dwa razy tyle. W ciągu kilku godzin z beztroskiej, rozkapryszonej dzierlatki przemieniła się w coś, co może jeszcze nie było kobietą, ale już stanowiło na taką dobry zadatek.

- Dlaczego nie przyszedłś mi o tym powiedzieć? - zapytał Borisov, ale najwyraźniej nie spodziewał się odpowiedzi, bo zaraz dodał. - A już na pewno mogłaś mi powiedzieć, że masz dość tego Mściciela. Ja bym to załatwił równie skutecznie. Tylko mniej głośno.

Alicja sączyła wolno alkohol ze swojej szklanki wpatrując się ponuro w zimny kominek.

Nigdy w nim nie paliłam - pomyślała i dopiero teraz dotarło do niej, że ojciec coś powiedział.

- Kocham Peta i stanę na głowie gdyby mu coś groziło - oznajmiła chłodno i z takim zdecydowaniem, że Borisov nagle

spojrzał na nią swymi bystrymi oczyma, które sprawiały nie-naturalne wrażenie w jego zmęczonej twarzy.

- Wiem - oznajmił i błysk w jego oczach zgasł równie nagle jak się pojawił. Gdyby rozmawiał z Alicją sprzed dwóch dni, to nic by się nie stało. Dzisiejsza Alicja, mimo że skacowana, była zupełnie inną dziewczyną. Poza tym rozmowa dotyczyła jej ukochanego. Dostrzegła ten błysk w oczach ojca.

Kłamie - uświadomiła sobie nagle - Boże. On nawet teraz kłamie. Tylko po co?

- Skąd możesz wiedzieć - wzruszyła ramionami udając, że nic się nie zmieniło. - Wątpię, żebyś kogokolwiek kochał.

- Przez kilkanaście godzin specjaliści analizowali taśmę z nagraniami sceny zabójstwa, tak moja droga, zabójstwa i nie mogli sobie wytłumaczyć, w jaki sposób udało ci się go zabić. Nie miałaś szans. I za to mam do ciebie największy żal. Nie wolno ci było tak się narażać. Mimo wszystko kocham cię na swój sposób. Jesteśmy z tej samej krwi. Może zresztą właśnie dlatego przeżyłaś. Skoro wszystko działo się naturalnie, i to ty zabiłaś Gizę musiało cię coś dopingować? Pomyślałem sobie, że mała się zakochała.

- Myślisz, że pozjadałeś wszystkie rozumy, bo wykańczasz swoich przeciwników szybciej niż oni ciebie?

- Przez tyle czasu walczyłaś przeciwko mutantom, a teraz jednym strzałem popsulaś wszystko, co przygotowywałem przez wiele lat. Miłość moja droga, to proces. Rozwija się długo, trwa krótko i nadspodziewanie szybko ustaje. Ale jest to proces cykliczny. I w tym tkwi sedno sprawy. Ty przyjęłaś, że twoja miłość jest wieczna. I wiem, że na razie nikt cię nie przekona, że jest inaczej. Przyszedłem cię zapytać, co zamierzasz dalej?

- Skoro mnie aresztowałaś, to chyba stanę przed sądem.

- Kiepski żart.

- Po co więc pytasz? Przecież wiesz, co zrobię.

- Nie uda ci się.

- Założysz się?

- Nie udało się to nawet mnie. A próbowałem, wierz mi. Wszyscy mutanci zamknęli się w bazach Floty i są pod ścisłą ochroną. Nawet mysz do nich nie podejdzie.

- Jeżeli spróbujesz mu coś zrobić, to przysięgam, że zabiję cię własnymi rękoma. Pamiętaj, że najtrudniej jest pierwszy raz, a ja mam to już za sobą.

- Chciałem go ściągnąć do ciebie. Wiem, że to brzmi trochę nieprawdopodobnie, ale jednak naprawdę chcę twego dobra. Oczywiście musiałbym go też aresztować. Bylibyście jednak razem.

- Jesteś wspaniały - Alicji nawet nie chciało się nadawać swojemu głosowi ironicznego tonu. - Specjalnie ich spłoszyłeś. Ale i tak się do niego dostanę. Nawet komandosi nie odważą się zatrzymać córki prezydenta.

- Musisz jednak najpierw stąd wyjść. A obawiam się, że jeszcze przez pewien czas będziesz musiała tu siedzieć. Co najmniej dwa dni.

- Skąd ten termin?

- Pojutrze podaję się do dymisji - oznajmił Borisov spokojnym tonem.

- Łatwiej kazać torturować swoją córkę niż wygrać wybory. Jesteś skończony. Gdybyś tego nie zrobił sam, to ja bym cię do tego zmusiła. Możesz być pewien, że wszystkim rozpowiem, na co się ważyłeś.

- Musiałem mieć pewność, że nie byłaś manipulowana przez nikogo. Bardzo mnie twoje zachowanie zaskoczyło. Nie było zupełnie w twoim typie.

- Ty też nie zachowujesz się naturalnie. Nie wierzę, żebyś się sam podał do dymisji.

- Twoja sprawa mocno tu zaważyła. Przyznaję. I faktycznie źle się wyraziłem. Wycofam się po prostu z następnych wyborów.

- I przez cały rok pozostaniesz prezydentem. Będziesz miał dość czasu, żeby zatuszować swoje świństwa.

- Słusznie. A także dość czasu, żeby oczyścić własną córkę z zarzutu zabójstwa.

- Wszystko mi jedno - Alicji tym razem szczerze było to obojętne i prawie prychnęła lekceważąco, przypominając przez chwilę starą Judith.

- Nawet skłonny jestem ci uwierzyć. Pomyśl więc o Pe cie. On też jest w to zamieszany. Kiedy ciebie poddadzą amnezji, a taka jest kara za zabójstwo, to co się stanie z waszą miłością?

Alicja spuściła głowę. Wiedziała, że jej ojciec może posunąć się do tego. Oczywiście nie zdecyduje się poddać jej amnezji, ale wymyśli coś. Wyśle go w daleki rejs chociażby.

- Dobrze. Nikomu nie powiem - zdecydowała wreszcie. - Powiedz mi, dlaczego ich tak nie cierpisz? To wszystko bzdury. Wiem o tym najlepiej. Oni są lepsi niż my wszyscy razem wzięci. I pilnują tylko własnego nosa. W nic się nie wtrącają. Więc skąd ta nienawiść?

- Masz rację - Borisov wyciągnął się w fotelu i przy mknął oczy. Musiał być naprawdę bardzo zmęczony. - To prawdziwa elita. Ich współczynnik altruizmu na przykład jest niewyobrażalnie powyżej średniej. Inteligencja, etyka, moralność - także. Czego byś nie wymieniła. Rzeczywiście trzymają się tylko siebie i w nic się nie wtrącają. Ale są potencjalnie najgroźniejszą bronią, jaka istnieje w Układzie Słonecznym. Ta trzydziestka w rękach zręcznego manipulatora działającego przez podstawione osoby kierujące się rzeczywistym przekonaniem, jest w stanie dokonać praktycznie wszystkiego. I wcześniej czy później ktoś to uczyni. Ale to jest najmniej prawdopodobne. Oni są tak wspaniali i tak inteligentni, że doskonale wiedzą o tym. Wreszcie przyjdzie im do głowy sięgnąć po władzę. To tylko kwestia czasu. Są zbyt dobrzy, żeby o tym nie pomyśleć. Może nawet już myśleli, tylko uznali, że jest jeszcze na to za wcześnie. Kto wie? Ludzkość nie da się rządzić mutantom. Więc wprowadzą terror, jakiego nie znała historia. Nie będą mieli innego wyjścia. Dlatego muszą zniknąć. I mój i

twój pech polega na tym, że akurat teraz wszyscy znaleźli się razem na Ziemi.

- Boisz się tylko o władzę. To podłe.

Nie rozumiesz mnie. Jestem pewien, że nigdy by im nie przyszło do głowy dokonać przewrotu teraz. Ale teraz mamy ich w jednym miejscu.

Więc trzeba ich zabić?

- Stary Howard chciał dobrze. Wtedy modne były plany kolonizacji kosmosu. Do tego nadają się idealnie. Ale te plany upadły. Długo jeszcze gospodarka nie będzie gotowa do takiego wysiłku. Wiesz na przykład, że należałoby zwiększyć naszą produkcję przemysłową stukrotnie, żeby skolonizować tylko Proximę Centauri? Howard był marzycielem, ale i doskonałym politykiem. Rozpoczynając swój projekt zabezpieczył się bardzo dobrze. I zrealizował oczywiście tę mrzonkę. Po nim było czterdziestu ośmiu prezydentów, ale żaden nie odważył się zaatakować mutantów. To również robota Howarda. Nadał im we Flocie taką pozycję i jednocześnie tak sprytnie pokierował propagandą, że w pewnym okresie Flota wręcz chwaliła się nimi. Dbano tylko o to, żeby na Ziemi nie przebywało ich jednocześnie więcej niż dziesięcioro. Nie zabija się przecież powracających bohaterów. Dopiero Karpov, na zakończenie swojej kadencji, zdecydował się postraszyć ich. Kosztowało go to mnóstwo kłopotów i jakieś układy z Hildorem. W rezultacie musiał wymazać część akt rządowych dotyczących tego zagadnienia. Ale pozostawił swoim następcom, w archiwum prezydenckim, coś w rodzaju przesłania. Brzmi ono dokładnie tak: " W roku 3522 będą wszyscy razem na Ziemi. Na tyle się odważyłem. Twoim zadaniem jest pójść dalej i zakończyć tę sprawę". Nawet nie nazwał ich mutantami, nie podał żadnych nazwisk. Słowa te tkwią do dziś na miejscu dawnych akt dotyczących Hildora i jego dzieci.

Alicja była zbyt rozbita psychicznie, żeby rozumieć ogrom wniosków płynących z tych słów. Dotarło do niej tylko jedno. Mutantom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Miała

głębokie przekonanie, że jej ojciec nie kłamie. Zrozumiała, że teraz ona musi zacząć kłamać. Żeby wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji. Przede wszystkim musi uzyskać większą swobodę poruszania się po pałacu prezydenckim.

- Mówisz to, jakbyś wygłaszał przemówienie - powiedziała, żeby zyskać na czasie. Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Borisov odebrał to po swojemu. Doszedł do wniosku, że Alicja zaczyna mięknąć.

- Często wyświetlam sobie te słowa na konsoli komputerowej - mruknął, poprawiając się w fotelu. - Mogłabyś kiedyś naprawdę napalić w tym kominku - dodał. - Staję się na starość romantyczny.

- Giza twierdził, że mutanci są praktycznie nie do zabicia. Nawet Pet ma w sobie coś, co sprawia, że ludzie instynktownie ustępują mu z drogi. Również wtedy, kiedy jest pijany w trupa.

- O to się nie martw. Nie zamierzam ruszać twojego Peta. Mogę nawet wspomnieć Bronowi, żeby na razie nigdzie go nie wysyłał.

Skąd w tobie tyle miłości do ludzi? To też przejaw starości?

- Cóрко! - Borisov raczył się podnieść wyżej i usiadł normalnie w fotelu. Alicja wiedziała, że zaraz powie coś drętwego. Zawsze poprzedzał takie wystąpienia słowem: cóрко. - Każdy prezydent stara się coś po sobie zostawić. Coś trwałego i wielkiego. Ja postanowiłem naprawić błąd starego Howarda.

- Mógłbyś przynajmniej pozwolić mi chodzić po pałacu. W tych kłatkach zapiję się na śmierć.

- Nie uciekniesz! Pałacu strzegą teraz dwa bataliony policji i oddział specjalny ochrony rządu. Dlatego przystaję na twoją prośbę. Żebyś nie mówiła, że jestem bez serca. Na wszelki wypadek będzie ci towarzyszyło dwóch agentów przez cały czas kiedy będziesz poza swoimi apartamentami.

- Pozwolisz, że nie będę ci dziękowała.

- Nie spodziewałem się tego.

- W gruncie rzeczy jest mi ciebie żal - Alicja powiedziała to z takim przekonaniem, że sama umilkła na chwilę zastanawiając się, czy przypadkiem naprawdę nie jest jej go żal. Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie.

- Niepotrzebnie - Borisov wstał z fotela i podszedł do niej. Przyglądał jej się przez chwilę uważnie. Potem pogładził nieporadnie po włosach. Nigdy nie potrafił się zdobyć na czułość ani nawet udać, że się zdobywa. Nawet na oficjalnych zdjęciach z dziećmi wyglądał tak bardzo nie w swojej roli, aż wreszcie jego agent prasowy zabronił ich publikowania. - Każdy polityk musi kiedyś odejść. Trzeba tylko wiedzieć kiedy - dodał tytułem pożegnania.

Już w drzwiach zatrzymał się, jakby przypominając sobie o czymś, czego zapomniał.

- Mówiłaś coś o klatkach - stwierdził wreszcie. - Obejrzyj sobie może zachodnie skrzydło. Praktycznie nikt tam nie mieszka od lat. Kiedyś zamierzałem urządzić tam pokoje gościnne. Nie miałem czasu zająć się tym do tej pory. Jeżeli chcesz, możesz przebudować całe to skrzydło i urządzić tak, jak tylko sobie wymarzysz.

Alicja z chęcią zabiłaby go za tę próbę przekupstwa. Chociaż musiała przyznać, że jeszcze kilka dni temu byłaby zachwycona tym pomysłem. Przypomniała sobie na czas o swoim planie uśpienia jego czujności.

Dziękuję. Twoi goryle będą mieli sporo roboty.

- Wolałbym, żebyś nie paradowała przed nimi nago. Ktoś może sobie pomyśleć, że moja córka oszalała. A to gorsze niż śmierć Gizy.

Kiedy wyszedł, Alicja stała nieruchomo przez dłuższą chwilę, powstrzymując łzy wściekłości i bezsilności cisnące się jej do oczu. Czuła, że ojciec nie ma zamiaru przepuścić nadarzającej się okazji i kiedy tylko uzna się wystarczająco silnym zabije Peta i całą resztę. Na tyle już zdążyła go poznać przez dwadzieścia osiem lat wspólnego z nim życia.

Jedyną szansą dla Peta i dla niej było uprzedzenie jego planów. Dlatego musiała czekać z ucieczką, aż dowie się wystarczająco dużo, żeby zorientować się w szczegółach tego planu. Bo nie miała wątpliwości, że jej ojciec wymyślił już jakiś plan.

* * *

W tym samym mniej więcej czasie w Kosmoporcie trwała ożywiona działalność. Część mutantów, którzy mieli zniknąć z Ziemi przetransportowano jednak tutaj. Okazało się, że siedmioro z nich musi lecieć na Marsa jednym statkiem właśnie stąd startującym. Chodziło o wygranie czasu podczas dolotu do Saturna. Pozostałych dziewięć osób miało udać się w rejs patrolowy po Układzie, a reszta już została przetransportowana na stacje orbitalne i do baz księżycowych. Hildor z Sonorovem woleli nie kusić złego. Na Ziemi, oprócz nich, pozostali tylko Pet i Anna. Ten pierwszy z uwagi na Alicję, a Anna na wypadek gdyby trzeba było czarować Oconnora. Hildor odmłodził o dwadzieścia lat, kiedy dowiedział się, że nikt nie został zabity. Ośmioro z nich było rannych, w tym troje poważnie. Ale nie na tyle, żeby nie można było umieścić ich w szpitalach na Księżycu. Hildor zastanawiał się głośno, czy nie nawrócić się czasem na jakiekolwiek wyznanie i nie podziękować Bogu mutantów za ten cud. Nie wątpił, że mimo wszystko mieli jednak piekielne szczęście. Kiedy razem z Sonorovem przybyli do Kosmoportu, część mutantów zdążono już odtransportować na stacje orbitalne. Z pozostałymi wymieniali gorączkowo telepatyczne wrażenia z ostatnich kilku godzin. Oprócz strachu i wściekłości trudno było znaleźć w ich myślach ślad radości z pomyślnego zakończenia tej tragedii. Kir Jeni i Ewa Bonov przebywali w ambulatorium na badaniach lekarskich przed startem na Marsa. Pet i Anna pomagali Sonorowowi sprawdzać ostatnie szczegóły ewakuacji. Sonorov, korzystając ze swoich świeżo nabytych uprawnień, a trochę w

celu sprawdzenia admirała Boko i jego szczerości, wysłał pracowicie szyfrówkę do wszystkich baz, mających gościć mutantów z poleceniem traktowania ich w sposób szczególny. Osobno wysłał rozkazy zapewnienia im ochrony. Zażądał nawet od kontrwywiadu Floty danych o znanych agentach policji, pracujących w tych bazach. O dziwo, otrzymał żądane informacje. Zalecił więc ich odizolowanie od mutantów i poddanie stałej obserwacji.

Ewa Bonov i Kir Jeni leżeli sami na oddziale przygotowawczym tutejszego ambulatorium po ostatnim już zabiegu. Ponieważ mieli pilotować statek wiozący ich na Marsa, lekarze zalecili im na wszelki wypadek awaryjny program regeneracyjny. Odlot został opóźniony o dwie godziny. Byli raczej zadowoleni z tego faktu. Obojgu potrzebne było takie ciche miejsce, w którym mogliby spokojnie odetchnąć. Ewa nie mogła się pozbierać po śmierci Franka, a Jeni miał za sobą ciężką walkę z policją o uratowanie ich świadka.

Zaatakowano ich w cztery minuty po nadaniu komunikatu ostrzegawczego. Gdyby nie Anna, która na czas wpadła na pomysł zejścia o dwa piętra niżej, Boko z pewnością mógłby się pochwalić trzema trupami. Policja zareagowała bowiem przysłaniem stratu, który po prostu zmiotł pół piętra. Na szczęście plaston budynku, w którym mieszkała Anna był dobry i pozostałe pięć górnych pięter nie zważyło im się na głowy. Potem nadeszły posiłki policyjne, które udało im się zmylić jedynie przez dwie minuty. Pozostałą minutę musieli przetrzymać sami. Kto nigdy nie walczył nowoczesnymi laserami bojowymi, ten nigdy nie będzie w stanie wyobrazić sobie, co to znaczy minuta walki w proporcji trzech na dziesięciu. Gdyby nie to, że telepatycznie wyczuwali pozycje swoich przeciwników, zginęliby już po pierwszych strzałach. Policjanci walczyli jak szaleńcy, mając w myślach tylko chęć zabicia mutantów bądź ich jeńca. Reszta się nie liczyła. W ten sposób o mało nie zginął Pet, kiedy zorientował się, że dwóch, napastników zamierza strzelić do nich przez sufit mieszkania piętro niżej.

Zawahał się, bo w mieszkaniu byli jacyś ludzie. Uratowała go Anna strzelając pierwsza. Oczywiście zginęli i lokatorzy i policjanci. Dopiero kiedy nadleciał strat Floty i wysadził desant komandosów sytuacja na tyle się poprawiła, że Kir mógł się rozejrzeć dookoła. Wtedy zobaczył, że walczyli w ruinach tego, co kiedyś uchodziło za luksusowy apartament w ekskluzywnym domu. Ściany, podłoga i sufit były podziurawione jak sito i właściwie dziwić się należało, że nikt nie strzelił do nich z laseru snajperskiego z sąsiedniego bloku. Widać niewidzialny Bóg mutantów naprawdę czuwał nad nimi. Dowódca stratu przyznał, że gdyby nie te dziury lądowałby na trzydziestym drugim piętrze, tam gdzie znajdowało się mieszkanie Anny.

Kir poczuł, że Ewa przeniosła się na jego leżankę i położyła się obok niego. W ostatniej chwili powstrzymał się przed wejściem w jej myśli. Gdyby chciała, sama przecież coś by mu przekazała. Objął ją więc ramieniem, stwierdzając ze zdziwieniem, że budzi się w nim pożądanie. Oboje leżeli nadzy, jako że we Flocie nie było zwyczaju nosić czegokolwiek w czasie badań lekarskich. Pamiętał, że jeszcze sto lat temu, tuż przed odlotem w jego drugi rejs, Flota miała bardziej pruderyjne zwyczaje badając osobno personel męski i żeński. Czasy się zmieniają, ale z reguły stare wraca po pewnym czasie.

Poczuł rękę Ewy wędrującą w dół jego brzucha. Zamknął oczy, pozwalając jej na to, pomimo że jego umysł nie nadążał za ciałem. Właściwie nie chciał tego. Dłoń Ewy zawędrowała wreszcie we właściwe miejsce i stwierdziła coś wręcz przeciwnego. Wtedy przekreślił się na bok i zaczął delikatnie całować jej szyję, uszy i policzki. Wreszcie napotkał na usta. Przez cały czas miał zamknięte oczy.

- Wybacz usłyszał w swoich myślach jej telepatyczny głos - muszę mieć teraz kogoś. Inaczej zwariuję.

Wiem - odparł wsysając się w jej sutki. Ewa oddawała mu pocałunki przyciskając go jedną ręką do siebie, a drugą wodząc po jego piersi.

Nigdy tego z tobą nie robiłam - stwierdziła nagle. - Masz bardzo seksowne włosy na piersiach.

Ponownie sięgnęła dłonią w dół, a on odwzajemnił jej pieśczętę i zdziwił się, jak bardzo płonęła pożądaniem. Naprawdę chciał tego, choć nie miał złudzeń, że właściwie mógłby to być ktokolwiek. Ta myśl ostudziła go nieco, co natychmiast wyczuła jej dłoń.

Nie zmuszaj się - nadała delikatnie i z uczuciem. - To moja wina.

Głuptas - odparł, chowając swoją twarz między jej nogami. - Chcę ciebie.

- Ja też. I naprawdę cieszę się, że mogę to zrobić z tobą. Już dawno miałam na to ochotę.

W miarę jak Kir posuwał się w gąszczu ciemnych włosów tworzących wzgórek łonowy powoli przestawał myśleć o tym, że jest zmęczony, zdenerwowany i niekochany. Ewa ze swojej strony robiła, co mogła, żeby zatuszować niefortunne stwierdzenie. Kiedy usłyszał jej pierwszy jęk zadowolenia i szybki urywany oddech, jego ciało również przestało być powolne myślom, które gdzieś w głębi podświadomości wciąż przecież tkwiły. Ich stosunek nie należał do najbardziej udanych czy wyrafinowanych, ale przyniósł obojgu ulgę. Leżeli potem przytuleni do siebie, całując się co jakiś czas, żeby zatrzeć zawstydzenie.

Żadne nie komentowało tego zdarzenia. Po prostu, stało się i minęło. Obojgu to trochę pomogło, choć może nie przybliżyło ich do siebie.

- Kochałaś go trochę, prawda? - spytał Kir myśląc o Franku.

- Chyba tak. Nie wiem. Miałam dość tego napięcia i intryg. Chciałam żyć jak normalna dziewczyna. Nie mogę mieć dzieci bo latam w kosmos, ale przecież to kłamstwo. Oni boją się naszych dzieci. Dlatego nie pozwalają nam ich mieć. Ani rodzin, ani miłości. Niczego!

- Żyjemy zbyt długo, jak na miłość przeciętnego człowieka. Wszyscy musimy się z tym liczyć. Wiesz przecież.

- I co z tego? Czy mam palnąć sobie w łeb?

Zdążyli położyć się na swoich leżankach zanim do pokoju wszedł lekarz, żeby dokonać ostatnich pomiarów i podpisać zgodę na lot. Odlecieli według planu. Zdążyli jeszcze przesłać telepatyczne pożegnanie Sonorowowi, który oczywiście oburzył się na to, bo nigdy nie potrafił przywyknąć do telepatii. Wyczuli jednak w jego myślach pierwsze szczerze życzliwe myśli od długiego czasu. Hildor odprowadził ich osobiście do trapu i przekazał treść rozmowy z Bronem. Od tej pory mieli zajmować się tylko Feniksem.

* * *

Kristine Oconnor kończyła obiad w towarzystwie męża, który po raz pierwszy od wielu dni znalazł czas na wspólny z nią posiłek. Sądząc po jej minie była mocno czymś zaaferowana. Oconnor z początku udawał, że niczego nie dostrzega. Kiedy podano im kawę i ciasto uznał wreszcie, że dłużej nie sposób tego ignorować. Kristine rzadko kiedy nie zaczynała sama rozmowy na dręczące ją tematy. To mogło oznaczać tylko jedno. Chciała rozmawiać z nim o polityce.

- Obiad jak zwykle świetny, kochanie - stwierdził sięgając po cygaro. - Ale to nie tłumaczy twojej miny. Powiesz mi wreszcie co cię dręczy?

Kristine patrzyła uważnie w swoją filiżankę z kawą, szukając w niej czegoś, o czym tylko ona wiedziała.

- Chyba nie chcesz mi wróżyć z fusów - zainteresował się Oconnor.

- Co sądzisz o wystąpieniu Borisova? - zapytała wreszcie.

- Ogłaszającym koniec Wolnych Genów?

- Właśnie. Wykiwał was wszystkich.

- Prawdopodobnie zechce wycofać się z wyborów, ale nie poda się do dymisji.

- Ogłosił, że to bojówki Wolnych Genów zaatakowały mutantów i dopiero interwencja policji i komandosów Floty przywróciła porządek.

- Ale bał się pójść dalej. To znaczy?

- Mógł dodać jednym tchem, że kapitana Hola uratowała bohaterska postawa jego córki, która zastrzeliła Gizę tuż przed tym, nim on strzelił do Peta.

- I to mnie niepokoi.

- Dlaczego? Osobiście zastanawiam się, czy Borisov nie trzyma czegoś w zanadrzu na wystąpienie w parlamencie.

- To znaczy, że Alicja stała się dla niego niebezpieczna i woli mieć ją w ręku. Mógł przecież jednym zdaniem zrobić z niej bohaterkę.

Oconnor zastanawiał się przez chwilę nad ostatnim zdaniem swojej żony.. Jej opinia trzymała się kupy. Alicja musi wiedzieć coś więcej niż im się zdawało. I nie miało to nic wspólnego z ostatnią akcją Borisova. Podejrzewał nawet, że do dziś nie miała zielonego pojęcia o tym, że jej tatuś próbował załatwić problem mutantów raz na zawsze. Ani o tym, że mu nie wyszło. Borisov trzymał więc ją w rezerwie. Oconnor jednak nie sądził, by prezydent chciał jej użyć w rozgrywce o władzę. A to świadczyło o tym, że w tej chwili jego przeciwnik rozpoczął grę o coś innego.

- Masz rację - stwierdził marszcząc brwi. - Ale nie sądzę, żeby mogło to mi zagrozić w najbliższym czasie.

- Wpędziłeś się w pułapkę - stwierdziła Kristine z troską w głosie. - Myślałeś, że to ty nim kierujesz, a tymczasem on przez cały czas nawet nie pomyślał poważnie o tobie.

- Bo nie wie, że posiadam wreszcie całą dokumentację dotyczącą jego związku z Wolnymi Genami. Do tej pory prowadziłem tylko działania polityczne wśród posłów. Zdaje więc sobie sprawę, że zamierzam kandydować i nawet nie prze-

szkadzał mi na serio. Czyli wciąż jest pewien, że o niczym nie wiem.

- Świadom jesteś, mam nadzieję, że jeżeli nie zmusisz go do dymisji teraz, to przez rok trwania kampanii przedwyborczej zdąży całą sprawę zatuszować?

- Jego poplecznicy nigdy nie pozwolą mu na dymisję, bo byłoby to prawie otwartym przyznaniem się do autorstwa ataku na mutantów.

- Pozostaje więc tylko zmusić go do rozpisania natychmiastowych wyborów zgodnie z XXII poprawką do Konstytucji.

Oconnor dolał kawy z pięknego szklanego dzbanka i wolno mieszał cukier. Wszystko wokół pachniało luksusem. Szklany dzbanek pochodził z XXVII wieku. Cukier z trzciny cukrowej, uprawianej w specjalnych szklarniach rządowych. Na rynku można było dostać jedynie syntetyk. I chociaż dość wierny oryginałowi, to przecież nie tak kaloryczny. Uprawa buraków cukrowych zanikła prawie tysiąc lat temu. Skórzane fotele zdobiące jego dom również należały do autentycznych zabytków. Nie miał nawet problemu z pensją, bo wszyscy urzędnicy rządu światowego dysponowali przez cały czas trwania ich kadencji nieograniczonym kontem w Banku Federalnym. Rozpisanie wyborów w tym momencie mogło się obrócić przeciwko niemu. Wiem o czym myślisz - Kristine uśmiechnęła się do niego szelmowsko. - Ale nie powinieneś się tym martwić. Od wielu lat odkładałam duże sumy na konto w Banku Amerykańskim. Jest tam teraz kilkanaście milionów. Nawet ten dom wykupiłam na własność. Akt własności opiewa na nas dwoje.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że defraudowałaś rządowe pieniądze? - Oconnor poważnie się zaniepokoił. W jego sytuacji potrzeba mu było tylko oskarżeń o nieuczciwość.

- Kochanie - Kristine rozsiadła się wygodnie w swoim fotelu i opuściła oparcie do tyłu, tworząc leżankę. - Nie zapomnij, że z wykształcenia jestem prawnikiem. Nie wolno ci po-

siadać jedynie dzieł sztuki, więcej niż dwóch nieruchomości oraz sprzętu kosmicznego o zasięgu dalszym niż Księżyc, pochodzących ze środków rządowych. Ale śmigaczy możesz mieć nawet sto.

Oconnor spojrzał na swoją żonę, jakby ją po raz pierwszy zobaczył. Nigdy by jej o to nie podejrzewał. Zawsze sprawiała wrażenie osoby, której nie zależało na pieniądzach.

Nie chcesz chyba powiedzieć, że mamy sto śmigaczy, dwie nieruchomości i prom księżycowy? - zapytał, sięgając z wrażenia po następne cygaro.

- Mój drogi. Zawsze zajęty byłeś polityką i zbawianiem świata. Trochę się mnie bałeś, więc czasami bywałeś nawet w domu lub od święta na obiadach. Cóż może robić wciąż jeszcze młoda kobieta, której mąż zajęty jest polityką? Nie wiem, szczerze mówiąc. Ja zajęłam się interesami. Doszłam do wniosku, że kupowanie sprawia mi przyjemność. Ale masz rację. Mamy tylko cztery śmigacze. Prom odebrałam ze stoczni pół roku temu, jak tylko poczułam co się święci. Zapewniam cię, że jesteśmy nędzarzami w porównaniu z Borisovem. A już twoi koledzy posłowie czasami są aż niesmaczni w interpretowaniu prawa.

- Nie życzę sobie żadnych dalszych malwersacji - Oconnor wstał wzburzony z fotela i poszedł do barku serwując sobie dość specyficzny koktajl na bazie neowina i dwóch kostek lodu z dodatkiem kropli soku owocowego dla rozcieńczenia.

- Dzięki temu, głuptasie, nie będziesz musiał zastanawiać się, czy warto ryzykować utratę tych luksusów - Kristine przyglądała mu się ironicznie, obracając się wraz z fotelem w jego stronę. - Mężczyźni to dzieci. Potrafią zastanawiać się z zimną krwią jak wbić swoim wrogom nóż w plecy, ale rani ich wiadomość, że ktoś dba o ich dobrobyt. Żaden prawnik w całym Układzie Słonecznym nie znajdzie nawet cienia pretekstu, żeby ci w jakikolwiek sposób zaszkodzić w oparciu o twój stan konta bankowego. Jesteśmy czyści jak aniołki. A nawet gdyby tak nie było, mimo że jest, co podkreślam, to żaden poseł nie

poprze takiego absurdalnego oskarżenia, bo precedens uderzyłby przede wszystkim w nich. Tak samo jak żaden z was nie pójdzie i nie ogłosi, że Borisov jest po prostu zbrodniarzem i szaleńcem. Gdybyś ujawnił te dowody, które trzymasz w sejfie, Borisov nie dotrwałby nawet do końca listy zarzutów.

- Obyś miała rację - Oconnor uspokoił się nieco. - Ale nie zapominaj, że ostatnio aż się roi od precedensów.

- Przed czterystu ośmioma, o ile się nie mylę, laty cała własność prywatna przeszła na rzecz rządów regionalnych i Federacji. To, co robimy, jest jedynym legalnym sposobem zdobycia fortuny w ciągu jednego życia. Chyba, że jest się jakimś geniuszem, ale nie sądzę żeby twoja megalomania była aż tak daleko posunięta.

- A więc będziemy mieli za trzy miesiące nowe wybory prezydenckie. Gdyby się uprzeć, to robiąc odpowiednio duże zamieszanie wokół afery z mutantami sprzed dwudziestu czterech godzin, można by przeprowadzić głosowanie na ten temat. Wtedy moje akta posłużą do trzymania Borisova na odległość od moich spraw.

- Tylko uważaj na admirała Brona. Hildor posłużył się nim dla nawiązania kontaktu z tobą i w tym celu musiał mu coś powiedzieć. Ostatnie działania Floty mówią zresztą same za siebie.

Oconnor pokiwał potakująco głową, bo sam doskonale wiedział, że Bron wie prawie wszystko. Na wszelki wypadek nie powiedział żonie ani słowa o planowanym odlocie Feniksa.

* * *

Pet z Anną mieszkali od chwili napadu na nich w Kosmoporcie. Hildor z Sonorovem czasami również tu nocowali, choć zasadniczo nie mieli się czego obawiać. Poza tym załatwiali gorączkowo wszystkie szczegóły planowanej wyprawy.

Pet od czasu, kiedy zrozumiał zdradę Judith nie mógł doczekać się dnia zemsty. Pragnął szczerze jej śmierci. Oboje z

Anną postanowili, po naradzie z pozostałymi mutantami, przygotować przed odlotem niespodziankę dla Borisova i Boko. Tym ostatnim obiecała zająć się Anna.

Ich kwatery nie były tak luksusowe, jak dotychczasowe mieszkania w mieście, ale przynajmniej gwarantowały im bezpieczeństwo.

Oconnor nie ujawniał się od czasu rozmowy z Anną, jeśli nie liczyć podpisania rozkazu lotu i zatwierdzenia listy załogi. Bron również udawał, że się nimi nie interesuje. Tylko pułkownik Vantrop kilka razy zajrzał do nich na pogawędkę. Jego niesubordynacja zaowocowała umieszczeniem go na liście oficerów planowanych do awansu na generała. Miał dostać pierwszą gwiazdkę generalską na Nowy Rok. Chyba dlatego właśnie czuł się w obowiązku odwiedzać ich. Rozmowy z nim nie ograniczały się do plotek z kantyny oficerskiej i z poligonów. Żołnierze i oficerowie uważali, że bardzo dobrze się stało, że ktoś wreszcie pozwolił dać nauczki policji. Było tajemnicą poliszynela, że obie formacje serdecznie się nienawidziły.

Aktywność Oconnora ujawniła się dopiero poprzedniego dnia w czasie sesji parlamentu, na której Borisov niespodziewanie oznajmił, że zdecydował się roz�isać przedterminowe wybory prezydenckie. W związku z tym sam podał się do dymisji, przekazując władzę przewodniczącemu parlamentu - staremu Marko Morilowi z Tokio. Ten zaś poprosił Borisova o formalne kierowanie sprawami ekonomicznymi Federacji i przekazał parlamentowi pełnię uprawnień politycznych, należących normalnie do prezydenta. Tak się składało, że ktoś kiedyś uznał iż gospodarka nie może się rozwijać bezpiecznie, jeżeli nie kontroluje się jednocześnie policji. W ten sprytny sposób Borisov pozwolił Alfredowi Boko dalej zajmować się zacieraniem śladów po wszystkich intrygach. Żadne z postów nie robił sobie najmniejszych złudzeń, że będzie inaczej, ale nawet prezydenci poszczególnych regionów nie mieli zamiaru robić z tego afery. Każdy z nich był w jakiś sposób powiązany z Oconnorem lub Kollombem, którym na

tym nie zależało. Borisov nie przedstawiał swojej kandydatury, zadawałając się przypadającym mu z urzędu fotelem prezydenta - doradcy Ameryki Południowej. Funkcja była czystą fikcją, ale pozwalała ustępującym władcom do końca życia korzystać z apanaży rządowych i cieszyć się pełnym immunitetem. Nikt z ważnych obserwatorów politycznych nie wątpił, że Oconnor wygra wybory przytłaczającą większością głosów. Ostatnie wydarzenia nawet przyczyniły się w pewnym sensie do zwiększenia jego popularności. Ludzie, jak wskazały ankiety przeprowadzane gorączkowo od kilku dni, nie darzyli co prawda mutantów zbytnią sympatią, ale nie mieli im do zarzucenia nic konkretnego. Natomiast Flota raz jeszcze odniosła pełny sukces. Większość ankietowanych uznała, że nie wolno dopuścić do wybuchu nowych rozruchów i że Flota miała obowiązek wkroczenia do akcji tam, gdzie policja okazała się bezradna. Na Oconnora, któremu przecież Flota podlega, spłynęła więc również część chwały.

Hildor od rana był na mieście, a na wieczór został zaproszony niespodziewanie do Oconnora. Anna i Pet czekali na nadejście Sonorova. Mieli zastanowić się wspólnie nad dodatkowym wyposażeniem Feniksa. Magazyny Floty były pełne, ale im potrzebne były najnowsze osiągnięcia nauki, najlepiej prototypy. Ich lot miał trwać trzysta lat, ale kto mógł przewidzieć jak potoczą się dalej ich losy. Jaka będzie sytuacja po powrocie na Ziemię?

- Stary jak zwykle się spóźnia - stwierdziła Anna, siedząc na niewygodnym krześle ustawionym przed konsolą komputera. Od dłuższego już czasu starała się znaleźć sposób na nawiązanie kontaktu z Alicją. W przeciwieństwie do Peta wcale nie pragnęła jej śmierci. Kochająca Alicja mogła jeszcze wiele dla nich zrobić. Poza tym miała niejasny jeszcze plan wykorzystania jej osoby do zabicia Borisova.

- Wcięto tę dziwkę - zdenerwowała się wreszcie, wstała ze złością i przeniosła się na kanapę, na której leżał Pet trzymając nogi na stoliku stojącym obok.

- Mówiłem ci, że stary musiał ją zamknąć. I tak wystarczająco już narozrabiała - mruknął przejęty tym niepowodzeniem. - Sama się ujawni.

- Gdyby nie ten atak, to dalej byś wyglądał jak obdartus - stwierdziła Anna siadając mu na sterczących poza kanapą nogach. - Ogolony, umyty, w świeżutkim mundurku, z naładowaną do pełna bronią. Nareszcie wyglądasz jak oficer godny nienawiści. Poprzednio nawet agenci Boko dziwili się, czemu szef każe im strzelać do takiego pijackiego obdartusa.

- Pieprzysz bez sensu - oburknął i skrzywił się, czując jak coraz bardziej kostki nóg wrzynają mu się w blat stołu pod wpływem jej ciężaru. - Poza tym złamiesz mi nogi.

Naprawdę tak myśleli. Nie zapominaj, że jestem telepatką pozbawioną skrupułów. W przeciwieństwie do ciebie.

Anna podniosła się jednak z tego zaimprovizowanego krzesła i runęła obok niego na kanapę. Zaczęła go lekko łąskotać za uchem.

- Chodź! Będziemy się kochać - szepnęła namiętnie.

- Nie mamy nic innego do roboty? - zdziwił się Pet. Nie jestem pewien, czy mam ochotę zostać następną ofiarą na twojej liście. Nie mam zresztą najmniejszej na to ochoty. Od kilku dni pragnę tylko krwi.

- Cóż, z tym będzie gorzej, ale mogę spróbować zamówić litr krwi dla spragnionego bohatera. Kuchnia z pewnością nie odmówi ci tej przysługi.

- Ta gówniara nieźle zalaża ci za skórę - Anna przekręciła się na boku i usiadła obok niego. - Ale postaraj się wydrośleć na kilka dni i nie zabijaj jej, kiedy tylko ją zobaczysz. Prześpij się z nią. Wyznaj jej miłość. Powiedz, że szalałeś ze zmartwienia nie mając żadnej informacji na jej temat. To akurat nie będzie kłamstwem.

- Wiesz dobrze, że nie uda nam się drugi raz zmienić jej przekonań, a już nigdy tak, żeby zabiła starego.

- Nie będzie potrzebny. Coś wymyślimy

- Zemsta to uczucie niskie. Perfidia jeszcze bardziej.

- Pet, kochany, to nie będzie zemsta, tylko przesłanie.
- A my tymczasem uciekniemy. Więc do kogo zaadresujesz to przesłanie?

- Nie uciekniemy, a usuniemy się na pewien czas. To zupełnie dwie różne rzeczy.

- Najpierw trzeba ją znaleźć. A ja i tak nie wierzę, żeby Borisov zostawił nas w spokoju.

W tym momencie wpadł zabiegany Sonorov. On też jakby odmłodził i z dostojnego, lekko podtatusiałego admirała przemienił się w dziarskiego oficera pałającego żądzą działania.

- Witaj - nadał do niego Pet, wiedząc jaką reakcję spowoduje.

- Mówiłem ci tyle razy, żebyś nie straszył mnie tą waszą telepatią - krzyknął Sonorov siadając na fotelu stojącym naprzeciw kanapy. - Zachowujesz się jak dzieciak.

- To samo mu przed chwilą tłumaczyłam - przytaknęła Anna. - Uparł się zabić Alicję za wszelką cenę.

- Wolę nie wiedzieć, co za świństwo planujecie - odparł Sonorov. - Jestem za stary na takie rzeczy. Na razie muszę zapewnić wam bezpieczny odlot.

- Jakieś kłopoty? - Pet natychmiast spoważniał.

Słyszeliście naszego przyjaciela Borisova? Wyraźnie nastawił się na jakiś plan nie mający nic wspólnego z wyborami. Przynajmniej nie bezpośrednio. Rozmawiałem o tym z Hildorem. Nie sądzimy, żeby udało się zbyt długo utrzymać tajemnicę. Poleciałem odizolować od was wszystkich znanych agentów policji działających we Flocie. Już samo to da im dużo do myślenia.

- Trudno przypuszczać, żeby nie wpadli na to, że polecimy teraz w jakiś dłuższy rejs. - Anna starała się odgadnąć niepokoje admirała, ale nie chciała czytać w jego myślach, bo on naprawdę się tego bał. Mimo tylu lat spędzonych razem z nimi.

Chodzi o to, żeby nie wiedział gdzie i na czym. Mam rację? - spytał Pet.

- Właśnie - Sonorov pokręcił głową rozglądając się za czymś. - Macie coś do picia? Byle bez alkoholi.

- Kiedy pracuję to nigdy nie piję - wyjaśnił, widząc ich miny.

- Zaraz podam sok wieloowocowy - Anna wstała z kanapy i podeszła do barku. Uprzedzam, że pochodzi z magazynów Floty. Termin ważności upłynął przed trzema miesiącami. Według mnie daje się pić tylko z alkoholem, ale jeżeli chcesz ryzykować, to proszę bardzo.

Podawała mu wysoką szklankę napełnioną różowym, lekko musującym płynem.

- Sfermentowany? zaniepokoił się Sonorov wachając ostrożnie podany napój.

- Nie. Ma jakieś musujące dodatki - wyjaśnił Pet.

- Da się wypić - stwierdził admirał, ale jego rozmówcy przysięgliby, że po prostu za nic nie chce się przyznać, że Anna miała jednak rację. - A wracając do tematu. Odkryłem przypadkiem, że w naszym laboratorium fizycznym zakończyli prace nad czymś, co nazwali polem siłowym.

- To stary kawał we wszystkich laboratoriach. Każde z nich posiada jakąś tajną broń, której głupie dowództwo nie chce uznać - wyjaśnił mu Pet.

- Tym razem to prawda. Znam kierownika laboratorium. Ich pole posiada właściwości muru bądź stali. Nie przepuszcza żadnych przedmiotów posiadających pęd lub masę, lub jedno i drugie. Nie wiem jakim cudem przepuszcza tylko powietrze. Ani laser, ani żadna bomba tego nie przebije. Sprawdzali je detonując bomby taktyczne dwunastomegatonowe. Wytrzymało. Lasery bojowe po prostu odbija. Trochę im nie wyszło z falami radiowymi, bo przy odpowiedniej sile nadajnika można się jednak przebić. Nie powiem wam nic więcej, bo wiecie już tyle samo co i ja. Na Marsie mają dwa duże ge-

neratory tego pola i sześć małych. Zamówiłem jeden duży i trzy małe dla was.

- Jaki to ma zasięg? - zainteresowała się Anna.

- Duży tworzy kulę o średnicy czterystu metrów, a mały taką samą kulę, ale o średnicy tylko pięćdziesięciu metrów. Dla was idealne.

Słyszałem, że Flota posiada gdzieś automatyczne stacje załogowe z czasów, kiedy zamierzano jeszcze pozostawiać na planetach takie budowle dla potrzeb przyszłych osadników. Mówi się, że mogą wyżywić i pomieścić po trzysta osób każda.

- To prawda. Ale ten program zarzucono ponad sto lat temu. Brak funduszy. W magazynie jest tego kilkadziesiąt sztuk, bo był nawet plan wysłania ich automatycznymi statkami na ślepo, w promieniu stu lat świetlnych. Ten plan oczywiście też upadł.

- Potrzebujemy trzech takich stacji - stwierdził Pet z dziwną stanowczością w głosie.

Sonorov spojrzał uważnie na niego, a potem na Annę, która uznała za stosowne poszukać wzrokiem stojącej tuż przed nią szklanki z koktajlem, który piła już od godziny.

- Dzieci. Po co wam te starocie? - zaniepokoił się.

- Możesz nam je załatwić? - wtrąciła Anna.

- Oczywiście - mruknął Sonorov. - Nie powiem, żebyście byli szczerzy wobec mnie, ale to wasza sprawa. Chcecie trzy stacje, będziecie je mieli. Ładownie Feniksa mogą ich pomieścić co najmniej dwadzieścia.

- I potrójne zapasy paliwa jądrowego do reaktorów dla każdej z nich - dodał Pet.

Zanotujcie sobie mój numer komputerowy - stwierdził Sonorov po dłuższej chwili zastanowienia. - I tak miałem go wam przekazać na parę dni przed odlotem, żebyśmy mogli sprawniej załatwić ostatnie szczegóły.

Anna, która miała fenomenalną pamięć, wysłuchiwała dwunastu cyfr i kiwnęła potakująco głową na znak, że je zapamiętała.

- Za każdym razem dodawajcie kryptonim Wolność. To wam da absolutny priorytet. Ale wolałbym, żebyście mnie jednak informowali o waszych zamówieniach, żebym nie wyszedł na idiotę, kiedy mnie ktoś spyta, dlaczego na przykład zamawiam tysiąc bomb termojądrowych, gdyby wam coś takiego przyszło do głowy.

- Powiemy ci wszystko, ale jeszcze nie teraz - Anna wstała i przytuliła się do admirała, jak za dawnych czasów, kiedy jeszcze wszyscy byli dziećmi. - Sami nie wiemy dokładnie co zamierzamy zrobić. Dlatego chcemy być przygotowani na wszystkie ewentualności. Te stacje mają być naszymi trawami ratunkowymi na wypadek gdyby wszystko zawiodło.

- Nigdy nie potrafiłem was zrozumieć - mruknął Sonorov, niezręcznie usiłując objąć ją ramieniem. Teraz obejmował już dorosłą kobietę i czuł, że wygląda to sztucznie. - Złóż wreszcie ze mnie - burknął sięgając po szklanke.

- I nalej mi czegoś porządnego - stwierdził, krzywiąc się już po pierwszym łyku zaserwowanej mu lemoniady.

Kiedy już jego życzeniu stało się zadość uraczył się z miejsca połową zawartości nowej szklanki i wyraźnie zadowolony odstawił ją na stolik.

- Chyba stałem się zbyt słuźbistą - stwierdził z zadowolaniem - ale na szczęście zorientowałem się o tym w porę. Te soki trzeba wycofać z magazynu. Jestem pewien, że zaszkodzą mi na żołądek.

- Uprzedzaliśmy - Pet wzniosł swoją szklanke do góry.

- Chcecie coś jeszcze?

- Feniks ma zasięg do trzystu parseków, prawda? - zapytała Anna.

- Teoretyczny. Ludzka załoga oczywiście nie polecą tak daleko, ale wy moglibyście spróbować.

Ogranicza ten zasięg prowiant czy paliwo?

- Awaryjność systemu regenerującego tlen i żywność.

- To standard z potrójnym układem zabezpieczenia, tak? - pytał dalej Pet.

- Zgadza się.
 - Chcemy zdublować ten system. I otrzymać zapasy paliwa i energii do pełnej pojemności baterii.
 - Nie produkuje się tak dużych baterii. Teoretycznie istnieje możliwość uzupełniania zapasów po drodze. Chodzi przecież o wodór do syntezy jądrowej.
 - A system regenerujący?
 - To się da zrobić. Tylko, że w ten sposób stracie jakieś trzydzieści procent powierzchni magazynów na części zamienne.
 - Nieważne. Kir chce mieć jak najwięcej zespołów zapasowych. Zwłaszcza do kapsuł zwiadowczych.
 - Tym się zajmiemy dopiero wtedy, kiedy Feniks wyląduje na Księżycu.
- Potrzebujemy również po dwa egzemplarze wszystkich dostępnych miniwytwórni syntetyków.
- Nie ma tego tak dużo, synu. Dwie wytwórnice plastonu. Jedna stali i trzy produkujące jakieś syntetyczne tkaniny. To też wasza tratwa ratunkowa?
- Nie wiem - stwierdził szczerze Pet.
- Te stacje automatyczne, które tak mnie wystraszyły mają coś takiego. Budują się same z materiałów miejscowych. Na Ziemi w czasie testów sprawiały się znakomicie. Na innych planetach nikt ich nigdy nie wypróbował. Nie wiem nawet dlaczego.
 - Dołącz do tego ze trzy komputery naukowe, dwa automatyczne laboratoria chemiczne i dwa biologiczne.
 - Powinniście dostać całą eskadrę - zaśmiał się Sonorov.
- Nie wiem dlaczego Ocoonor raczył zaprosić Hildora do siebie? - spytała Anna.
- Nie widziałem się z nim dzisiaj - przyznał Sonorov, robiąc przy tym minę, jakby ich za to przepraszał.

* * *

Hildor zadawał sobie to samo pytanie, czekając aż Oconnor skończy załatwiać jakieś szczególnie ważne rozmowy wideofoniczne. Spodziewał się kolejnej próby wysondowania ich planów. Z pewnością nie chodziło o nic, co mogłoby zaszkodzić przygotowaniom do odlotu z Ziemi.

Mimo wszystko czuł się trochę nieswojo w tym domu przesiąkniętym atmosferą zagrożenia. Wokół pełno było komandosów, broni, automatów i czujnych spojrzeń rzucanych zza rogów.

Odniosł wrażenie, że Bron naumyślnie rozkazał Kirkowi zebranie w jednym miejscu tych wszystkich ludzi, żeby przygotować do czegoś Oconnora. Tylko do czego? Z pewnością do myśli, że tylko Flota może zapewnić bezpieczeństwo. Wszystko to stawiało dotychczasowe wyobrażenia o Bronie pod znakiem zapytania.

Hildor nie znał go zbyt dobrze. Bron był przede wszystkim politykiem. W kosmos nigdy nie latał dalej niż na Saturna. Wychowywał się przez cały czas na Ziemi w kręgu polityków. Pochodził z rodziny od trzech pokoleń związanej z władzą federalną. Uznawany był za odważnego, choć pozbawionego większych ambicji.

- Przepraszam profesorze - przerwał jego rozważania Oconnor. - Już jestem do pańskiej dyspozycji.

- Jest pan właściwie prezydentem, a to niesie ze sobą moc nowych obowiązków - Hildor nie sądził, żeby Oconnor przepadał za pochlebcami, ale odrobina wyważonej kurtuazji nie mogła zaszkodzić.

- Żona przygotowała skromną kolację - Oconnor zignorował wypowiedź Hildora, ale widać było po nim, że sprawiła mu ona przyjemność. Być może Hildor był pierwszym człowiekiem, który nazwał go prezydentem.

Przeszli więc do jadami, w której czekał już na nich nakryty stół. Honory domu pełniła sama pani Kristine.

Przez pierwszą część wieczoru rozmowa toczyła się na tematy banalne i każdy pochłonięty był swoimi myślami. Hil-

dor żałował, że nie ma z nim Anny. Telepata byłby szalenie przydatny w najbliższych miesiącach.

- Kristine opowiadała mi ostatnio pewne zdarzenie z czasów jej znajomości z żoną prezydenta Karpova. Pan go chyba znał osobiście? - zaczął wreszcie właściwy temat Oconnor. Czekał z tym aż do deseru czekoladowego.

Hildor uśmiechnął się, jakby słyszał starą dykteryjkę, którą zwykle opowiada się na tego rodzaju spotkaniach.

Krąży mnóstwo anegdot o Marii - odparł. Kilka z nich nad wyraz niepochlebnych, choć zapewniam, że są wysrane z palca. Maria przez całe życie była szalenie zrównoważoną osobą.

- To była opowieść o panu - wtrąciła Kristine. - A Maria nie wspominała mi nigdy o przyjaźni z panem.

Bo też trudno to było nazwać przyjaźnią. Byłem konkurentem do jej ręki. Na szczęście dla niej, w porę wybrała Karpova.

- Dlaczego na szczęście dla niej? - zainteresowała się Kristine.

- Cóż! - Hildor szczerze się zasmucił. - Mam czterdzieści pięć lat biologicznych i trzy rejsy poza - układowe za sobą. W latach bezwzględnych liczę sobie dwieście sześćdziesiąt lat i jeszcze kilka. Wyobraża pani sobie życie z takim człowiekiem?

- A nie mógł pan nie latać ze względów na mutantów! - Kristine spojrzała na niego niezbyt życzliwie.

- Właśnie.

- To jej pan nie kochał - stwierdziła autorytatywnie.

- Być może. Nawet na pewno. Ale nie żałuję. Inaczej nie miałbym przyjemności gościć tu dzisiaj u państwa.

- Loty pozaukładowe to w sumie świetny interes - Kristine zmieniła nagle ton na bardzo rzeczowy, pasujący bardziej do kobiety interesów niż do przyszłej prezydentowej. - O ile wiem jest pan jednym z najbogatszych ludzi w układzie.

- Być może - Hildor czuł się szczerze ubawiony niepokojami swojej rozmówczyni. - Rzadko kiedy interesuję się pie-

niędzmi. Odsetki nagromadzone w ciągu ponad dwóch wieków faktycznie mogą szokować.

Niech mi pan powie, co właściwie zdarzyło się w czasach Karpova? - wtrącił Oconnor, zdenerwowany poruszaniem tematu, który dalej uważał za niebezpieczny dla siebie.

- O czym pan myśli?

- Karpov zniszczył archiwa rządowe dotyczące pana i mutantów - wyjaśnił przyszły prezydent Kristine twierdzi, że może to mieć jakiś związek z zachowaniem Borisova.

- Pierwsze słyszę! - zdziwił się tym razem szczerze Hildor. Informacja o zniszczeniu akt założonych jeszcze przez Howarda była zdumiewająca. Nie widział przyczyny, dla której Karpov musiałby się zdecydować na tak ostateczny krok.

- Korzystając z chwilowej niestabilności władzy - ciągnął dalej Oconnor - wykorzystałem tajny kod Marko Morila. Jako przewodniczący parlamentu ma on pełny wgląd w archiwa rządowe. Na miejscu waszych akt znajduje się tylko enigmatyczna informacja tej treści: "Będą wszyscy w roku 3522. Na tyle się odważyłem".

- Domyślam się, że chodzi o mnie i mutantów?

- Tak to rozumiałem.

- I rzeczywiście. Po raz pierwszy od wielu lat wszyscy mutanci są jednocześnie na Ziemi - Hildor resztę swoich myśli przykrył milczeniem, wiedząc że właśnie trafił na największą z niespodzianek w swoim długim życiu. Karpov go jednak nie nawidził. Lub na starość poczuł potrzebę zbawienia ludzkości. Albo po prostu tak bardzo nie mógł ścierpieć myśli o tym, że Borisov przejmie po nim władzę. W owych czasach było to tak oczywiste, jak dzisiaj fakt, że następcą Borisova zostanie Oconnor.

- Czy Maria powiedziała coś konkretnego, czy raczej są to domysły? - Hildor zwrócił się do Kristine, która chyba również pierwszy raz usłyszała o tym enigmatycznym przesłaniu.

Kristine spojrzała pytająco na męża, który wolno pokiwał głową na znak, że nie widzi powodów ukrywania treści tej

rozmowy przed Hildorem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu tak otwarcie przyznała się, że nie wie co ma zrobić. Ale powtórzyła rozmowę równie wiernie, co poprzednio swojemu mężowi.

- Dlaczego mnie pan w ogóle o to pyta? - zapytał Hildor.

Maria rzeczywiście miała dużo racji. Chyba ją nawet rozumiała. Lubiła Kristine - wówczas podlotka, zaręczonego ze zdolnym, młodym politykiem, popieranym przez jej męża - a taka informacja mogła się kiedyś przydać. Zwłaszcza, jeżeli wierzyło się, że ulubienica i jej narzeczony zajdą daleko w odległej przyszłości.

- Z ciekawości - skłamał Oconnor.

Hildor pokiwał głową na znak, że rozumie jego pragnienie. Zastanawiał się nad tym dziwnym zdarzeniem sprzed lat i doszedł do śmiesznego wniosku. Maria Karpov wiedziała o zamiarach swojego męża. Wiedziała także, że będzie używał mutantów, jako wabia na Borisova. Dlatego starała się uprzędzić Kristine. Musiała być głęboko przekonana, że ówczesny narzeczony zostanie jednak jej mężem i że robi karierę. Fakt, że zdecydowała się na ujawnienie jednego z najtajniejszych sekretów swego męża - choć trzeba przyznać, w bardzo zawołanej formie - świadczył o tym, że już wtedy typowała Oconnora na przyszłego prezydenta.

- Maria była pani wielką przyjaciółką - stwierdził wreszcie, przyglądając się uważnie Kristine. Skoro jego dawna miłość dostrzegła w tej kobiecie jakieś niezwykle cechy, to i on powinien je dostrzec. Teraz musiała być po pięćdziesiątce, ale bynajmniej nie widział w tym nic złego. Kristine była doskonale zadbaną kobietą, mogącą żyć następne pięćdziesiąt lat. Wreszcie dostrzegł to, co niewątpliwie musiała dostrzec Maria tyle lat temu. Kristine była niewolniczo wręcz oddana swemu mężowi.

- A więc o to jej chodziło? - pomyślał z nostalgią. - Jakie to wszystko dziwne. Tyle lat minęło, a niektóre sprawy wracają jakby zaczęły się wczoraj.

- To teraz chyba nie ma już znaczenia - Kristine przypomniała o pytaniu męża. Za to właśnie musiała ją tak lubić Maria.

Pamięta pan zapewne sprawę tak zwanego "Buntu z San Diego" z czasów prezydentury Karpova? - spytał Oconnora.

- To była niepoważna akcja grupy nic nie znaczących polityków - odparł zdziwiony prezydent.

- Tak to przedstawiono w prasie i później w podręcznikach historii - Hildor zastanawiał się, co może wyjawić w tym gronie. Zasadniczo nawet prawda nie mogła zaszkodzić w jego planach.

- Ponad sześćdziesiąt lat temu trzydziestu polityków zgromadziło się w San Diego i ogłosiło niezależność obu Ameryk. Tak mówią oficjalne źródła. Podają one dalej, że policja w ciągu godziny miała ich wszystkich pod kluczem. Do rozruchów doszło tylko w niewielu miastach. W każdym razie policja wystarczyła do uśmierzenia zamieszek.

- W rzeczywistości było inaczej - stwierdził Oconnor, niezbyt zaskoczony usłyszanymi rewelacjami. - Tego już się domyślałam.

- Emil Karpov ściągnął mnie na tydzień przed tym wydarzeniem do swojego pałacu na niezwykle poważną rozmowę. Spisek miał bardzo szeroki zasięg. Zamieszanych w niego było wielu wysokich funkcjonariuszy policji i Wydziału Ochrony Rządu.

- Nie wierzę, żeby pod nosem Floty ktoś ważył się na taki pomysł - wtrąciła się Kristine.

- W tym okresie Flota była w niełasce. Opozycja parlamentarna przez ponad cztery lata stopniowo obcinała fundusze i powoli doprowadziła do tego, że Flota faktycznie utraciła swoją wartość bojową. Racją bytu Floty nie jest obrona przed jakimiś mitycznymi najeźdźcami z kosmosu, ale zagwarantowanie trwałości istniejącego systemu politycznego. Tak było przez prawie czterysta lat istnienia tej formacji. Od czasu jej

powstania zniknęły wojny. To spory sukces, jeżeli zna się naszą historię współczesną.

Poza tym, wielu oficerów zostało delegowanych na stacje układowe. Komandosi przechodzili kursy na Marsie. Na Ziemi było ich raptem cztery bataliony. Pojazdów bojowych było pod dostatkiem, ale brakowało pilotów. I tak dalej. Ta próba puczu była świetnie zorganizowana.

- I Karpov poprosił o pomoc mutantów - domyślił się Oconnor.

- Było ich wtedy na Ziemi tylko troje. Kir Jeni, Tatiana Monk i Jann Worg. Reszta znajdowała się wciąż w rejsach.

Kawy, profesorze? - Kristine przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni i sięgnęła do barku po dzbanek.

- Z przyjemnością - Hildor uśmiechnął się do niej z wdzięcznością i podał swoją filiżankę - Karpov prosił, żebyśmy w ciągu tygodnia zorientowali się w zasięgu spisku i określili kluczowe osobistości. Zwłaszcza w policji. Przykrywką była jakaś historyjka o... - przerwał, starając się przypomnieć sobie ten szczegół. Ze zdumieniem stwierdził, że zapomniał. A przecież przysięgłby, że sprawę tę znał na pamięć. Wzruszył zrezygnowany ramionami i ciągnął dalej. - Nie pamiętam., Faktem jest, że otrzymaliśmy wszyscy prezydenckie laissez passez. Okazało się, że jedna trzecia regionalnych szefów policji była zamieszana po uszy w tej sprawie.

- Reszta była zwykłą rutyną - podsumował Oconnor. Wyglądał na mocno przejętego usłyszaną historią.

- Niezupełnie. Musieliśmy zabić ponad dziesięć osób na ładnych parę godzin przed tym zebraniem, które przedostało się do podręczników historii.

Dlaczego więc Karpov utajnił tę sprawę? - zdziwiła się Kristine.

- Wiedzieli o niej tylko cztery osoby z zewnątrz. Wytypowani przez nas agenci ochrony rządu wykonywali rozkazy nie wiedząc zupełnie, w co się angażują.

Poza tym, chodziło o zachowanie dobrej opinii w społeczeństwie. Tak się złożyło, że wszystkie osoby, które były zamieszane w ten spiszek z reguły wypowiadały się publicznie za dalszym obcinaniem budżetu Floty. Łatwo się domyśleć, że już na następnej sesji parlamentu popłynęły duże pieniądze na modernizację sprzętu bojowego. Od tej pory również datuje się znana wszystkim niechęć obu formacji do siebie.

Ale dlaczego utajnił? - nie ustępowała Kristine.

- Mutanci wykorzystywani przez prezydenta, nawet w obronie ładu i porządku, to już wówczas było zbyt wiele jak na wytrzymałość zwykłych ludzi. Karpov na szczęście nią miał takich zahamowań.

- Skąd więc wzięła się ta informacja jego autorstwa w miejscu waszych akt?

- Nie mam zielonego pojęcia - skłamał tym razem Hildor.

- Wierzę panu - odparł Oconnor, a z jego twarzy pokrzyżsty trudno było wywnioskować, czy dalej uważał się za monopolistę w dziedzinie kłamstw podczas tej kolacji.

- Czy nie obawia się pan jakichś działań ze strony Borisova? - zainteresował się po chwili milczenia uznając poprzedni temat za ostatecznie zamknięty.

- Jestem przekonany, że wszyscy jeszcze kilka razy odczujemy jego działania na własnej skórze.

- Cieszę się, że mutanci odlatują z Ziemi - wyznał nagle wiceprezydent i Hildor nie mógł go podejrzewać w tym momencie o kłamstwo.

- Wiem. Ja również.

- Nazywają ich Dziećmi Hildora - wtrąciła się ponownie Kristine. - Dlaczego?

- Bo to ja programowałem ich kod genetyczny. Można w pewnym sensie uznać, że faktycznie jestem ich ojcem. Z biologicznego punktu widzenia to już oczywiście zupełna bzdura.

- Dałby się pan za nich zabić - stwierdziła Kristine, myśląc o czymś intensywnie. Marszczyła przy tym czoło, co na-

dawało jej dziwnym trafem młodzieńczy wygląd. - Chyba rozumiem, dlaczego nie mógł pan ożenić się z Marią.

- Chyba nie - zaprzeczył Hildor, myśląc o tylu szczegółach, których Kristine Oconnor nie mogła znać.

* * *

Kir Jeni przyglądał się z bałwochwalczym wręcz zachwytem Feniksowi oświetlonemu złotą poświatą odbitą od widocznego w tle pasma pierścieni Saturna. Czuł nawet, gdzieś w podświadomości, żal do siebie za to, że tak bardzo daje się ponieść uczuciom. To było silniejsze od niego. Feniks stanowił szczytowe osiągnięcie techniki podświetlonej. Był jedynym, jak dotąd, prototypem statku typu dziewięciu dziewiątek po zerze. Tak daleko sięgał bariery świetlnej. Trzysta metrów długości do końca dysz. Prawie sto metrów średnicy. Kolos. Nic takiego nie opuściło dotąd stoczni Saturna. Właściwie należałoby mówić orbity Saturna, bo tam właśnie umieszczono stację montującą statki kosmiczne. Fabryki umieszczono na Tytanie. Nikt nie odważyłby się składać takiego statku na jakiegokolwiek planecie czy satelicie. Spawy odpowiedniej jakości potrzebne do utrzymania tego giganta w całości można było wykonać jedynie w próżni. Tak samo jak połowę sztucznych tworzyw zużytych na jego budowę.

Feniks przycumowany był do stacji lewą burtą. Jedną trzecią jego objętości zajmowały silniki. Następną trzecią część wykorzystano na magazyny. Tylko sto metrów długości, licząc od dziobu, stanowiło właściwy statek. Czterdzieści jednoosobowych kabin, salon, basen, pięć laboratoriów, biblioteka, szpital na dziesięć łóżek. Każde pomieszczenie miało trzy razy większą powierzchnię niż zezwalały na to dotychczasowe normy konstrukcyjne. Od dwóch miesięcy oblatywacze testowali go w próbnym lotach na wszelkie możliwe sposoby. Przyspieszenia do dziesięciu g kompensowały specjalne fotele,

zmuszając ludzi do wytrzymania fizycznie odpowiednika trzech g. Wytrzymałość maksymalna na przeciążenia konstrukcji obliczona została na pięćdziesiąt g. Uzbrojony był w dwa lasery po cztery tysiące megawatów każdy, wyrzutnie bomb termojądrowych, a także klasyczne działo protonowe. Zespoły kriogeniczne zapewniały komputerowi pokładowemu praktyczną niezniszczalność. Każdy system pokładowy był potrójnie zabezpieczony. Trzysta robotów pokładowych wykonywało automatycznie większość czynności naprawczych i konserwacyjnych. W razie potrzeby można było przeprogramować je na roboty bojowe. To też były prototypy, których seryjna produkcja nieprędko jeszcze miała ruszyć. Trzy dni temu specjalne ekipy skończyły montaż tajnej aparatury. Jej przeznaczenie mieli poznać dopiero po rozpoczęciu rejsu. Chodziło o jakieś pole siłowe, które stanowiło tak wielką tajemnicę, że nie odważono się go zademonstrować nawet oblatywaczom i konstruktorom.

- Admirale Jons - zwrócił się komendant stocznii. - Czas na zaokrętowanie.

Wszyscy mutanci zgodnie z rozkazem Brona występowali tutaj pod fałszywymi nazwiskami, jako załoga tymczasowa, która miała statek przetransportować na Księżyc. Stamtąd miał wystartować do prawdziwego rejsu.

Kir kiwnął w milczeniu głową i skinął na swoją załogę. Nareszcie mogli samodzielnie przejść do śluzy. Potem dopiero uścisnął rękę komendantowi, którego znał z dawnych czasów. Rozstali się w milczeniu, udając, że żaden niczego nienormalnego nie dostrzega w tej zamianie nazwisk.

Kiedy znalazł się na mostku Feniksa zapomniał o wszystkim. Oprócz kapitana tę część statku obsługiwać musiało sześciu ludzi. Jego załodze niepotrzebne jednak były słowa. Pierwszy rozkaz i wszystkie następne wydawane były w absolutnej ciszy, przerywanej jedynie mruzeniem automatów.

- Zamknąć śluzę - polecił. Pomyślał, że właściwie powinien wydać ten rozkaz na głos, żeby urządzenie rejestrujące zachowanie ludzi w sterowni mogło go kiedyś przekazać potomkom. Być może nawet jego własnym. Było i tak za .późno na troszczenie się o historię.

- Włączyć grzanie silników.

Włączone - odparł Jann Worg pełniący funkcję mechanika.

- Sprawdzić parametry komputera.

W normie - usłyszał głos Tatiany Monk. Procedura ciągnęła się prawie godzinę. Nigdy nie dowodził takim statkiem i czuł się nim lekko onieśmielony. Dlatego postępował ściśle według instrukcji startowej. Po raz pierwszy miał prowadzić Feniksa samodzielnie. Bez pomocy oblatywaczy. Pod ich okiem wykonał cały, przewidziany programem, cykl nauczania. Teraz jednak nie było nikogo, kto podpowiedziałyby mu, że w tego typu statku nie wolno robić akurat rzeczy, które zwykle traktowało się jak rutynę na niniejszych jednostkach.

- Pierwszy silnik gotowy do rozruchu - zameldował Jann.

- Pilot gotów - zawtórowała mu Tatiana. Widział oczywiście to wszystko na swojej konsoli dowódczej, ale procedura wymagała potwierdzenia meldunków. Uczynił to machinalnie. Normalnie mechanik pokazywał podniesionym do góry kciukiem, że wszystko jest w porządku, a pilot po prostu odpalał.

- Silnik numer dwa i trzy gotowe do rozruchu.

- Rozruch - zakomenderował.

- Ciąg zerowy - zameldował Jann.

- Pilot gotów - powtórzyła regulaminowo Tatiana.

- Dziesięć jednostek mocy na zero - polecił. Na tą komendę pilot uruchamiał komputer, a mechanik przełączał swoje stanowisko na pilota. W Feniksie to wszystko odbywało się automatycznie, po włączeniu komputera.

W dziesięć sekund później lecieli w stronę Księżyca. Lot miał potrwać trzy dni i został zaprogramowany co do sekun-

dy. W piątej minucie po starcie stoczną można było dostrzec jedynie na ekranie radaru. Nareszcie poczuli się naprawdę sami.

* * *

Alicja włóczyła się bez celu po pałacu. Była coraz bardziej zawiedziona. Po przeszło czterech tygodniach podpatrywania i podsłuchiwania nadal nie wiedziała, co zamierza jej ojciec. Przez cały ten czas spotkała go zaledwie dwa razy. Za każdym razem ich rozmowy miały coraz bardziej wrogi charakter. Przynajmniej z jej strony. Bo musiała przyznać, że ojciec zachowywał się wciąż tak samo. Jedynym jej sukcesem było pozbycie się dwóch agentów włóczących się dotąd za nią krok w krok. Nie czuła się przez to wolniejsza. Cały pałac był monitorowany akustycznie i wizualnie z centrali ochrony, umieszczonej w jego piwnicach. Dziesięciu ludzi bez przerwy kontrolowało na swoich ekranach jego strategiczne punkty. Była dziwnie spokojna, że jeden z nich bez przerwy zajmował się jej wędrówkami. Dwa tygodnie temu odkryła wreszcie sposób na dyskretne podsłuchiwanie rozmów prowadzonych w gabinecie ojca. Sposób był mało oryginalny i mocno przestarzały. I pewnie dlatego nikt o nim dotąd nie pomyślał. Gabinet ojca miał stare urządzenia klimatyzacyjne, które prowadziły do pokoju piętro niżej. Dawniej mieścił się w nim magazyn bielizny pościelowej. Dzisiaj stał pusty i zakurzony. A co najważniejsze - otwarty. Nie miała pojęcia jakim cudem ochrona gmachu przeoczyła ten szczegół. W czasie swoich wędrówek po pałacu przekonała się jednak, że miała ona swoje słabe punkty. Przynajmniej wewnątrz. Być może zbyt mało ufali kontroli wizualnej. Kto wie? Sama dostrzegła wiele odstępstw od regulaminu. Agenci wchodzili sami do pomieszczeń, do których zgodnie z instrukcją, powinni wchodzić parami. Nie zamykali drzwi, które instrukcja kazała zamykać natychmiast po wejściu lub wyjściu przez nie. Nie były to ja-

kieś drastyczne uchybienia i wynikały nie tylko z niedbałości, co raczej z bezwzględnego zaufania do ochrony zewnętrznej. Faktycznie, dawne twierdze były łatwiej dostępne niż pałac prezydencki.

Co wieczór zamykała się więc w dawnej bieliźniarce w porach, kiedy do ojca zwykle przychodził Boko. Układali wtedy swoje plany, których ujawnienie mogło kosztować głowę obydwóch. Najczęściej narady te trwały od dziesiątej do jedenastej wieczorem.

Tego wieczoru bliska była zrezygnowania z cowieczornego zwyczaju. W końcu jednak zdecydowała się. Postanowiła wziąć się w garść i w miarę konsekwentnie realizowała ten zamiar. Na wstępie dokonała wielkiego zwycięstwa nad sobą, rezygnując z codziennych koktajli z neowina. Przez dwa ostatnie tygodnie wypłała może trzy. Tym bardziej postanowiła i tego wieczoru odsłuchać swoją godzinę.

Spóźniła się jakieś dziesięć minut. Boko tłumaczył coś ojcu podnieconym tonem.

- To pewna wiadomość, panie prezydencie. Wylądują na Księżycu. Nie wiem tylko, w której bazie.

- Musimy mieć absolutną pewność - Borisov widocznie nie był pewien informacji Alfreda Boko.

- Za wiarygodność tego źródła gwarantuję głową.

- Nie rób tego synu - mruknął ojciec. - Dzisiaj ludzie nie mają już takiego poczucia humoru jak kiedyś. Ktoś w końcu potraktuje cię poważnie.

- Zaryzykuję, panie prezydencie.

- W takim razie proszę wszystkich ludzi nastawić na to jedno zadanie. Wszystkich!

Jutro zacznę przygotowania. Musimy mieć pierwszorzędnych fachowców, jeżeli chcemy im uszkodzić silniki. To są jakieś prototypowe jednostki, na których znają się praktycznie tylko inżynierowie z Saturna.

To nie ma nic wspólnego z wiedzą. Twoi ludzie mają zainstalować trzy ładunki wybuchowe pod lustrami fotonowymi

i nastawić mechanizm wybuchowy na trzydzieści minut. Nie chcemy przecież, żeby razem z mutantami wyleciało w powietrze pół Księżyca, prawda?

Dałbym godzinne opóźnienie - odparł Boko. Feniks to olbrzyma jednostka. Jego wybuch może uszkodzić nasze instalacje nawet z odległości uznawanej normalnie za bezpieczną. - Ale ani sekundy dłużej.

Alicja prawie zamarła z wrażenia. Wreszcie dowiedziała się tego, co zmuszało ją przez tyle czasu znosić upokorzenie aresztu domowego. Ucieczka była koniecznością. Miała jednak rację. Ojciec chciał za wszelką cenę zabić ich wszystkich. Gdyby miała pewność, że Peta nie będzie wśród zabitych, to nie zaprzętałyby sobie głowy resztą. Takiej pewności jednak nie miała. Bezszelestnie wyszła z pokoju i starając się zachowywać naturalnie ruszyła na dach, gdzie znajdowało się lądowisko. Boko zazwyczaj przylatywał do pałacu własnym stratem. Tę część planu miała opracowaną od dawna. Codziennie, około jedenastej wieczorem chodziła więc na dach i oswajała strażników ze swoim widokiem. Zazwyczaj kręciła się bez celu po całym lądowisku obserwowana przez kamery z wieży kontrolnej. Strat Boko stał pośrodku, zasłonięty przez trzy inne jednostki. Jeżeli jej plan miał się udać, musiała się w nim znaleźć tuż przed jego właścicielem. Boko, po rozmowie z ojcem, wracał najczęściej jeszcze na godzinę do gmachu policji. Stamtąd mogła już wyjść spokojnie, bo nikomu nie przyszło do głowy zabierać jej dokumentów, a przede wszystkim laissez passez na okaziciela. Nawet ojciec był tak pewien tego, że nie może się wydostać z pałacu bez jego wiedzy, że najprawdopodobniej w ogóle się tą sprawą nie zainteresował. Teraz musiała czekać, starając się zniknąć z oczu kamery co jakiś czas, żeby ich do tego przyzwycząić.

W momencie, kiedy Alicja opuściła bielizniarkę, na biurku prezydenta zamrugła lampka kontrolna. Bo - risov rzucił na nią okiem i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Sprytna mała - mruknął z uznaniem. - A teraz do rzeczy! Prawdziwy sabotaż polegać będzie na umieszczeniu w reaktorze trzech gram pewnego proszku, który zwalnia reakcję syntezy termojądrowej. Po trzech miesiącach jest on już nie do użytku. Ktoś, kto będzie wykonywał to zadanie musi zostać przeszkolony jednocześnie w zakładaniu ładunków wybuchowych pod lustrami silników. Sprawdziłem na planach. Do luster można się dostać tylko przechodząc obok komory reaktora. Ten człowiek musi zostać tak przeszkolony w czasie hipnozy, żeby przechodząc koło tego miejsca zaczął nieświadomie wykonywać potrzebne czynności. Należy ich wykonać dwanaście. Po wyjściu z reaktora musi zapomnieć o całym zdarzeniu i wykonywać dalej zadanie podłożenia materiałów wybuchowych.

Boko słuchał w skupieniu, kiwając od czasu do czasu głową potakująco.

Kiedy otrzymam dokładny plan?

Natychmiast Borisov podał mu kryształ z zapisem video. - Jutro o ósmej zero zero zapis automatycznie ulegnie skasowaniu. Masz więc niecałe dziewięć godzin na zaprogramowanie aparatury hipnotycznej.

Boko wstał bez słowa. Doskonale wiedział kiedy prezydent uważał rozmowę za zakończoną.

- Kiedy pan spodziewa się ucieczki Alicji? - zapytał jeszcze, zatrzymując się przy drzwiach.

- W każdej chwili. Nie wiem oczywiście w jaki sposób tego dokona. Musi mieć przecież trochę swobody. Ale bardzo tego jestem ciekaw.

Jak tylko ją zlokalizujemy, powiadomię pana. - Boko skłonił się w milczeniu i tym razem naprawdę zabrał się do wyjścia.

Aha! - przypomniał sobie Borisov - uprzedź jeszcze raz ludzi, żeby jej przypadkiem nie złapali. Inaczej cały plan pójdzie na marne.

Proszę być spokojnym, panie prezydencie. Nikt jej nie złapie.

Alicja, nieświadoma tych faktów, zaczęła się coraz bardziej denerwować. Boko powinien już zjawić się na płycie lądowiska. Nikt przecież go nie zatrzymywał dla kontroli. Każdy agent znał twarz swego szefa. Bała się, że jej zdenerwowanie jest dla wszystkich widoczne i że ktoś w końcu zainteresuje się jego przyczyną.

Wreszcie dostrzegła jego sylwetkę w wejściu. Starając się wyglądać naturalnie podeszła specjalnie wolnym krokiem do stratu i jednym ruchem znalazła się w środku. Na szczęście Boko miał manię na punkcie latania i nigdy nie używał pilota. Nawet jej ojciec nie mógł go do tego przekonać. Miejsca do ukrycia się było dużo. Kiedy upewniła się, że nikt jej nie zobaczy pod fotelem pasażerskim, wślizgnęła się pod niego i zaczęła najbardziej denerwującą część swojego planu.

Boko, zgodnie ze swoim zwyczajem, rozejrzał się dookoła. Pokiwał ręką obserwatorom z wieży kontrolnej i wszedł do środka. Usadowił się na fotelu pilota i nie czekając na zezwolenie wystartował. Uwielbiał latać szybko. Po dziesięciu minutach znaleźli się na policyjnym lądowisku. Wysiadł nie zamykając drzwi i ruszył w stronę swojego gabinetu.

Alicja natychmiast wyczołgała się spod fotela i usiadła na miejscu drugiego pilota. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Boko często przywoził ze sobą swoje kochańki, jeżeli miał coś pilnego do załatwienia w swojej kwaterze.

Długo nie czekała. Może minutę. Do środka wsadził głowę jakiś młody chłopak w kombinezonie mechanika.

- O! przepraszam. Myślałem, że szef na dłużej - mruknął i zaczął się wycofywać.

- Nic wam nie mówił, że tu czekam? - Alicja udała oburzenie.

- Nie wiem. Miałem zająć się maszyną - chłopak był strasznie speszony.

- Pewnie polazł na dłużej - mruknęła do siebie urażonym tonem. - To i ja wychodzę. Nie będę tu tkwiła jak idiotka.

Wyszła na zewnątrz udając, że nie dostrzega kłaniającego się jej mechanika. Dla wszystkich, którzy oglądali tę scenę, nie mogło być najmniejszych wątpliwości. Kolejna awantura wisiała w powietrzu. Lepiej się więc nie wtrącać do sprawy wielkich tego świata.

Nie niepokojona przez nikogo doszła do centralnej windy i zjechała na parter. Tu czekała ją następna przeprawa. Kilku strażników bez przerwy notowało wszystkie osoby wchodzące i wychodzące.

Pewnym krokiem podeszła do zapory strzeżonej przez dwóch strażników i położyła przed nimi swoje laissez passez.

Powiedzcie swojemu szefowi, że teraz on może na mnie poczekać! burknęła dumnie i nonszalanckim gestem schowała przepustkę do kieszeni.

Nikt nie odważył się jej zatrzymać. Dopiero kiedy znalazła się na zewnątrz uświadomiła sobie najważniejszy fakt. Zupełnie nie wiedziała, co z sobą zrobić dalej.

* * *

Admirał Sonorov, ubrany w wyświechtany kombinezon, wyglądał jak trzeciorzędny mechanik z najbardziej zapomnianego Kosmoportu. Od kilku godzin pomagał Hildorowi likwidować tajne laboratorium na Florydzie. Do odlotu Feniksa pozostał już tylko miesiąc. Borisov ostentacyjnie zajmował się swoimi sprawami. Ani razu nie wtrącił się publicznie w sprawy toczącej się teraz pełną parą kampanii wyborczej. Oconnor i Kollombo obrzucali się nawzajem oskarżeniami, bo tak kazała długowieczna tradycja. Poza tym wszyscy wiedzieli, że tylko Oconnor może zostać wybrany. Obie strony musiały jednak powiedzieć swoje. Kilka razy w historii zdarzało się, że stuprocentowy kandydat na prezydenta zaniedbał, w przyprawie euforii i nadmiaru pewności siebie, kilka takich wła-

śnie przemówień bez znaczenia i przypadł. Ludzie byli bardzo czuli na punkcie poważnego ich traktowania. Prywatnie kandydaci mogli uważać ich za stado baranów. Tak zresztą właśnie uważali. Publicznie jednak, z kamiennymi twarzami, apelowali do wyborców o poparcie własnego programu.

Jeni coraz bardziej oswajał się z Feniksem. Jego tymczasowa załoga po wylądowaniu na Księżycu przybrała ponownie własne nazwiska. Różnica polegała na tym, że z Bazy Kopernika, w której dokonywano ostatnich przygotowań do startu, nikt prócz mutantów, Sonorova i Hildora nie mógł się wydostać. Każdy, kto tam przyleciał był uprzejmie informowany, że odbył właśnie drogę w jedną stronę, a jego bilet powrotny utracił ważność. Do tej pory nazbierało się ponad dwudziestu takich nieostrożnych, w tym co najmniej jeden znany agent Alfreda Boko. Wszyscy otrzymali standartowe kwatery oficerskie i komandosa do obstawy. W większości okazywali zrozumienie dla całej sprawy. Przynajmniej sprawiali takie wrażenie.

Admirał Bron ujawnił się jedynie raz. Dokładnie dwa dni temu. Przyczyną tego objawienia, videofonicznego zresztą, był admirał Kir Jeni. Na Księżycu udało się po długich bojach uzyskać zezwolenie na dokonanie próbnych lotów z wykorzystaniem pola siłowego. Jeni wprowadził Feniksa w pełnym polu na ciągu awaryjnym wprost do podziemnego schronu. Opinie na temat tego wyczynu były podzielone. Piloci i żołnierze obecni w bazie zgotowali mu owację i urządzili całonocne przyjęcie. Wszyscy chcieli koniecznie powtórzyć ten manewr uznany przez komendanta bazy za niewykonalny. I to właśnie była druga z obiegowych opinii. Komendant Bazy Kopernika, generał Wolf, w dziesięć minut po zakończeniu manewrów cumujących przesłał szyfrem depeszę protestacyjną na ręce Brona. Groził podaniem się do dymisji, jeżeli ci szaleńcy - tak właśnie to sformułował - będą dalej narażali jego bazę na całkowite zniszczenie.

Bron połączył się natychmiast z Sonorovem i w niespodziewanie ostrych słowach polecił ukrócić takie pokazy. Zauważył nie bez racji, że jeżeli Jeni chce popełnić samobójstwo, to niech załatwia to sprzętem mniejszego kalibru, bo gra toczy się o zbyt dużą stawkę. Sonorov poczuł się w obowiązku udzielić Jeniemu nagany z wpisaniem do akt oraz dwudziestoczterogodzinnego aresztu domowego. Jeni z kamienną miną wysłuchał wszystkiego, a następnie zapytał, w której kwaterze ma odbywać areszt, skoro przydzielono mu dwie. Jedną w bazie, a drugą na Feniksie. Sonorov o mało nie roześmiał się na głos nie dbając o to, że ich rozmowa z pewnością była rejestrowana co najmniej przez trzy tajne służby. Kiedy opanował się odrobinę, polecił nie wychodzić Jeniemu z Feniksa przez dwie doby, przedłużając karę za jawną niesubordynację wobec przełożonego. Rozstali się z kamiennymi minami i błyskiem złośliwej radości w oczach. Kiedy Sonorov powiadomił o karze generała Wolfa, ten po prostu wyłączył się, widząc że nic nie wskóra. Ale dalszych depech do Brona nie wysyłał.

Pet i Anna pracowali od tygodnia jako piloci towarowi - przewożąc promami towarowymi coraz to nowe ładunki dla Feniksa. Oboje niezbyt byli tym zachwyceni. Z tego samego powodu, ale z zupełnie innych przyczyn. Powód nazywał się Alicja Borisov. Anna miała plany wykorzystania jej do zgładzenia Alfreda Boko. Pet, wciąż nieprzytomny z wściekłości, chciał ją po prostu udusić. Jego poglądy na temat rodzaju śmierci, jaki jej zada zmieniały się zresztą dość często. Dlatego Sonorov nie przejmował się tym zbyt.

- Nad czym tak myślisz - usłyszał rozdrażniony głos Hildora. - Miałeś zdemontować inkubator!

Sonorov dopiero teraz zorientował się, że wciąż stoi z rurą tlenową od inkubatora w ręku zamiast zacząć ją zwijać.

- Zamyśliłem się - mruknął przepraszająco i szybko zabrał się do roboty.

- Musimy to skończyć w dwa dni. Pet ma przylecieć pojutrze po to wszystko promem.

- Tutaj? - zdziwił się Sonorov.

- A w jaki sposób przetransportujesz dwadzieścia ton aparatury do Kosmoportu? Nie zapominaj, że ten teren jest zamknięty od lat. Jak wytłumaczysz pojawiające się nagle ciężarówki?

- Masz rację. Jedno lądowanie łatwiej ukryć. Chociaż nie jestem pewien, czy nie warto by było poczekać z tym do ostatniej chwili.

- Boję się - wyznał Hildor, drapiąc się w niedokładnie ogoloną brodę. - Na razie wszystko nam sprzyja, ale wciąż mam wrażenie, że jest to stan przejściowy. Myślę, że trzeba to zabrać dopóki masz jeszcze to swoje pełnomocnictwo. Jeżeli Bron nagle zmieni zdanie, to nigdy tego nie wyciągniemy.

Możesz mi wreszcie powiedzieć, po jakiego diabła potrzebne im są te wszystkie instalacje? Poza tym chciałbym wreszcie wiedzieć, o co wam naprawdę chodzi? Pet i Anna złożyli zamówienia na sprzęt wystarczający do wyposażenia sporej wyprawy osiedleńczej. Ty każesz mi grzebać się w tych starociach. Po co to komu? Wątpię zresztą, by cokolwiek tu jeszcze działało.

- Masz rację przyznał się Hildor. - Możemy sobie zrobić małą przerwę. Chodźmy do gabinetu.

Znaleźli się w tak dobrze im znanym pokoju. Tyle razy wspólnie naradzali się tu nad najlepszym sposobem ochrony mutantów.

- Szkoda mi trochę tego wszystkiego - wyznał wreszcie Sonorov, sadowiąc się na swoim starym fotelu. - Tyle lat! A teraz wszystko poszło na marne.

Wcześniej czy później musiało się tak stać - Hildor wzruszył ramionami udając, że zupełnie się nie przejmuje.

- Głupstwa gadasz. Pamiętasz, jak wyjmowaliśmy ich z tych inkubatorów?

- Lepiej nie wracać do tego. Rozkleimy się.

- W tym inkubatorze, który kazałeś mi teraz rozbierać, leżała chyba Tatiana - Sonorov uświadomił sobie niespodziewanie, że wiele rzeczy zatarło się w jego pamięci.

- Anna, mój drogi. O mały włos nie umarłaby w szóstym miesiącu z powodu awarii właśnie tej rury, którą zwijałeś.

Faktycznie.

Sonorov zamyślił się. Tego dnia, przed ponad dwustu laty, w laboratorium, które mieściło się jeszcze w Genewie, było ich tylko trzech. Hildor, Howard i on. Z początku Hildor nie chciał pozwolić Howardowi na przyglądanie się tym narodzinom, ale musiał ulec pod wpływem wyraźnej groźby, że albo prezydent będzie przy tym obecny, albo diabli wezmą cały eksperyment.

Laboratorium ukryto na dalekich peryferiach miasta, w ruinach jakiejś starej willi. W tamtych czasach na całej planecie sporo było takich zrujnowanych budowli, będących pozostałościami po wybuchających co kilka lat rozruchach. II Wojna Klonów zakończyła się prawie sto lat wcześniej, ale długotrwały pokój miał tę wadę, że nie było innej wojny, która mogłaby nagromadzoną nienawiść z poprzedniej puścić w niepamięć.

Howard nie skąpił funduszy na wyposażenie i Hildor wykorzystywał w nieznanym dotąd stopniu automatykę laboratoryjną. Z reguły zbyt drogą dla większości laboratoriów. Howard siedział na krześle umieszczonym pod ścianą, aby nie przeszkadzać automatom i Hildorowi, którzy lada moment mieli zacząć krzątać się wokół czterdziestu inkubatorów od dziewięciu miesięcy pracujących nieprzerwanie pod czujnym okiem komputera.

Kiedy będę wreszcie świadkiem stworzenia - nie wytrzymał ciszy Howard.

Panie prezydencie Hildor raczył wreszcie oderwać się od swoich wskaźników. Mimo jego starań, każdy mógłby z łatwością stwierdzić, że profesor jest mocno zdenerwowany. - Za chwilę będzie pan świadkiem hurtowego sprawdzania

czterech nowych teorii naukowych. Inkubatory dokładnie odtwarzają warunki kobiecego łona. Oczywiście mogłem je zaprojektować całkowicie przezroczyste. Ze względów bezpieczeństwa nie można jednak do nich zajrzeć. Mimo wszystko obawiałem się przypadkowego wtargnięcia tu jakiejś bandy.

- Dziewięć miesięcy minęło wczoraj - przerwał mu Howard.

- Za kilka minut otworzymy inkubator numer jeden. Ma się urodzić dokładnie dwadzieścia dziewczynek i dwudziestu chłopców.

- Pielęgniarki od dwóch godzin czekają w mojej kwaterze na odbiór powierzonych im dzieci. - Sonorov wolał uprzedzić pytania niż być nimi zaskoczony. Był zdenerwowany równie mocno, jak Hildor.

Howard przyglądał się tym białym skrzynkom z zadumą. Wiele jego przyszłych działań miało zależeć od ich zawartości.

- Jeżeli Bóg również musiał tyle czekać na wyniki swojej działalności, to wcale się nie dziwię, że ten nasz świat jest taki zwariowany - mruknął.

- Przystępujemy do przyjęcia pierwszego z pańskich aniołów - Hildor dokładnie zapamiętał swoją poprzednią rozmowę z prezydentem.

W pełnej napięcia ciszy obserwowali pracę automatu otwierającego pierwszy pojemnik. Kiedy na pulpicie Hildora zapaliło się zielone światelko wszyscy odetchnęli. Dziecko żyło.

Profesor pierwszy podszedł do inkubatora. Długą chwilę stał nad nim bojąc się zajrzeć do środka. Uczynił to dopiero, kiedy stanął przy nim Howard. Sonorov bał się niemowlaków i wolał na wszelki wypadek przyglądać się wszystkiemu z daleka. Dopiero kiedy obaj mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu i wrócili na swoje miejsca zrozumiał, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało? - zapytał, wiedząc już, że w inkubatorze numer jeden narodziło się coś, co nie było zaplanowane.

Ponieważ nikt mu nie odpowiedział wstał ze swojego krzesła i poszedł przekonać się osobiście. Niemowlak leżący w splocie czujników i rurek wyglądał zupełnie normalnie. Na pierwszy rzut oka. Kiedy uważniej się mu przyjrzał, zrozumiał dlaczego nie było okrzyków radości. Dziecko miało olbrzymią główkę, z której wylewał się mózg, tworząc rodzaj narośli na potylicy.

W numerze drugim widok był podobny. Howard spochmurniał, ale nic nie powiedział. Dopiero numer trzeci wydał na świat normalną dziewczynkę. Darła się wniebogłosy, nie zważając zupełnie na tragizm chwili.

- Uff! pozwolił sobie głośno westchnąć Howard. - Przyznaję, że przez chwilę miałem wątpliwości.

Był to słodki eufemizm na określenie strachu, który odczuwał. Wszyscy, z wyjątkiem może Hildora, mieli od lat zakorzeniony w sobie instynktowny strach i odrazę przed mutantami. Teraz oczekiwali na urodzenie się specjalnie wychodowanych mutantów mając świadomość tego, że jest to sprzeczne z wszelkim prawem i, co gorsze, wbrew naturze ludzkiej. Oglądanie tych potworków musiało więc w nich wyzwoić uczucie strachu i zagrożenia. Prawda, że instynktowne i podświadome, ale zupełnie realne.

Hildor z kamienną twarzą, pewnymi rękoma, u - mieścił dziewczynkę na specjalnie do tego przystosowanym stole i włączył kilka aparatów, których przeznaczenie znane było tylko jemu. Przez dłuższą chwilę obserwował krzywe pojawiające się na monitorach.

- Dziewczynka. Rasa biała. Waga trzy tysiące czterysta dwadzieścia gramów. Wszystkie parametry w normie oznajmił wreszcie tonem, w którym nie udało mu się ukryć dumy.

- Co to znaczy: wszystkie parametry w normie? zainteresował się Howard.

- Kod genetyczny taki, jak zaplanowałem. To pierwszy z pańskich kosmonautów, panie prezydencie.

- Wymyślił już pan jakieś imię dla niej?

- Prawdę mówiąc nie zdążyłem o tym pomyśleć.
 - Bóg nazwał pierwszą kobietę imieniem Ewa Howard wciąż trwał przy swojej niezbyt trafnej przenośni.
 - Nie mam nic przeciwko Ewom Hildor wzruszył ramionami. Sonorov, który od razu wypisywał przyniesiony ze sobą akt urodzenia, starannie wpisał trzy litery przed umieszczonym już wcześniej nazwiskiem.
 - A więc są panowie świadkami narodzin Ewy Bonov stwierdził, odkładając wypełniony formularz na osobną kupkę.
 - Skąd pan wziął to nazwisko? zainteresował się Howard.
 - Tak się nazywał mój przyjaciel, który zginął rok temu na Marsie w czasie wybuchu w bazie biegunowej. Zawsze chciał mieć dziewczynkę, a żona rodziła samych chłopaków. Pomyślałem więc, że jej - tu Sonorov kiwnął głową w stronę wciąż krzyczącej Ewy - będzie wszystko jedno, czyje będzie nosić nazwisko.
- Następne inkubatory otwierano już z mniejszym przejęciem. Przy numerze dwadzieścia cztery - chłopiec - Hildor zawałał się. Razem z Howardem przyglądali się noworodkowi niepewnie. Chłopak miał twarz czarną i strupowatą. Sonorov przydzielił sobie rolę urzędnika i zajmował się jedynie wypełnianiem aktów narodzin, kilka razy wymyślając imiona, gdy jego towarzyszom zabrakło inwencji.
- To tylko krew! - odetchnął z ulgą Hildor. Widząc zdziwione spojrzenie prezydenta uznał za stosowne wyjaśnić.
- Pękło któreś z naczyń krwionośnych na głowie. Musiało się to zdarzyć kilkanaście godzin temu i stąd ta zakrzepła krew. Wystarczy umyć go porządnie.
- Wygląda jak niedopałek papierosa - mruknął nieprzekonany Howard.
 - Pet - skomentował Sonorov. - Pasuje na imię. Mam dla niego równie krótkie nazwisko: Hol.

- Też któryś z twoich umarłych przyjaciół? - zapytał Hildor, lekko rozdrażniony tym procederem. Choć musiał przyznać, że sam powinien zadbać o to, żeby jego dzieci miały ładne nazwiska i imiona. Ze wstydem musiał przyznać, że dotąd traktował wszystkie zarodniki jako numery laboratoryjne.

- Tym razem, nie - odparł lekko zmieszany Sonorov.

- Kobieta! - zawyrokował Howard, którego humor ulegał poprawie z każdym nowo otwartym inkubatorem.

- To przecież bez znaczenia bronił się admirał.

- Wpisz lepiej Peter - wtrącił Hildor. - Nie chcę, żeby potem miał do nas pretensje. Dzieci bardzo przeżywają takie rzeczy, jak śmieszne imiona.

- Słusznie! Lepiej nie ryzykować poparł go Howard. Sonorov odniósł przykre wrażenie, że prezydent pomyślał o pieniędzach, które wydano na ten eksperyment i o tym, że taka drobnostka mogłaby zakłócić prawidłowy rozwój któregoś z jego uczestników. - I tak będą mieli dość kłopotów - dodał zdając sobie sprawę z niezręczności poprzedniej wypowiedzi.

- A więc numer dwadzieścia cztery to pan Peter Hol - oznajmił z namaszczeniem Sonorov. Kupka wypełnionych formularzy wzrosła do trzydziestu. W sumie dziesięć inkubatorów wyhodowało potworki. Hildor być może zaryzykowałby utrzymanie ich przy życiu, ale nawet on zdawał sobie sprawę z granic elastyczności prezydenta.

Kiedy noworodki umyto i ubrano, automaty odsunęły się pod ścianę i zamarły w bezruchu. Od tej pory sprawami trzydziestu nowo narodzonych obywateli mieli się zajmować ich bracia - ludzie.

Kiedy Hildor z Sonorovem układali niemowlęta w specjalnych pojemnikach po pięćdziesiąt w każdym, prezydent popadł w zamyślenie. Najwidoczniej on również zdał sobie sprawę, że teoretyczne rozważania i spekulacje nabrały od tej chwili całkiem fizycznego wymiaru.

Howard osobiście pomagał przenieść pojemniki do sąsiedniego pomieszczenia, skąd miały je odbierać pielęgniarki.

Sonorov natychmiast po zaniknięciu laboratorium wezwał je wyczytując numery porządkowe. Dziesięć dostało polecenie wyjazdu na urlop.

Ku jego zdumieniu, prezydent przez cały czas osobiście dopilnowywał, żeby nie nastąpiły żadne nieprzewidziane kłopoty. Operacja trwała piętnaście minut, w czasie których Howard siedział w specjalnie dla Hildora urządzonej mieszkanie łączącym się z laboratorium.

Tam też wszyscy zebrali się po oddaniu ostatniego niemowlęcia w ręce pielęgniarki.

- Teraz trzeba czekać dwadzieścia lat, albo i więcej - Howard nie był z tego zadowolony.

- Wystarczy jakieś piętnaście - pocieszył go Hildor, doskonale wiedząc o czym tamten myśli. - W tym wieku powinniśmy już dostać odpowiedź na nasze wątpliwości. Osobiście jestem przekonany już teraz, że eksperyment się powiódł.

- Czy zrobiliśmy wszystko, żeby zapewnić im spokojny rozwój - niepokoił się dalej Howard. - Może trzeba jednak wszystko przemyśleć wszystko od nowa. To przecież dzieci.

- To już są mutanci - stwierdził poważnie Hildor. - Uprzedzam pana. Są to tacy sami mutanci, jak te potworki, które musieliśmy zabić. Mają tylko normalny wygląd. Będą inni najprawdopodobniej już za kilka lat. Właśnie dlatego postanowiłem stworzyć ich jako przedstawicieli rasy białej. Wie pan zapewne, że dwa tysiące lat temu rasa ta była bardzo liczna. Potem, w wyniku wojen, mutacji i zwykłych praw reprodukcji biologicznej wtopiła się ona między czarnych i żółtych, tworząc ten odcień skóry, który znamy na co dzień i uważamy za jedyny. Dzięki temu będą od początku inni niż ich rówieśnicy, ale jednocześnie zmieszczą się w granicach tolerancji społecznej. Potem, kiedy dorosną, będzie im łatwiej przywyknąć do swoich nadnaturalnych zdolności. Poza tym, jak pan wie, biali mają wielkie powodzenie wśród kobiet i mężczyzn. To jest mój prywatny prezent na urodziny dla nich.

Profesorze! Howard spojrział na niego bacznie swymi przenikliwymi oczyma. - Pan wiedział, że pewien procent zarodników może się zdegenerować, prawda?

- To ryzyko każdego eksperymentu w tej dziedzinie. Spodziewałem się, prawdę mówiąc, odrobinę gorszych wyników. Dwadzieścia pięć procent odpadów to naprawdę niewiele. Zapewniam pana.

- Mam nadzieję, że to ostatnia niespodzianka z pana strony?

- W każdym eksperymencie istnieje ryzyko błędu. Manipulowanie kodem genetycznym niebezpiecznie blisko ociera się o teorię nieoznaczoności. Im głębiej pan weń wchodzi, tym większe ryzyko zepsucia wszystkiego.

Nie jestem pewien, czy powinniśmy wypić lampkę szampana za ich zdrowie. Tego im nie zabraknie, jak sądzę Howard podniósł się i począł zbierać do wyjścia. Zapraszam panów pojutrze do siebie na kolację. Bo chyba warto wypić za nasze zdrowie.

* * *

Karl! Obudź się! - wyrwał Sonorova z zamyślenia głos Hildora. Bałem się, że coś ci się stało. Mówiłem, że lepiej nie wracać w przeszłość.

- Chyba masz rację. Ale przecież straciliśmy dla nich tyle lat. A teraz nie możemy nawet z nimi lecieć. Nie potrzebują nas już.

- Chyba właśnie dopiero teraz nas potrzebują. Bez nas musieliby zginąć.

- Jeszcze przez miesiąc Sonorov starym zwyczajem sięgnął do biurka, gdzie Hildor zwykle trzymał koniak. Tym razem butelki nie było na swoim miejscu.

- Nie zdążyłem kupić nowej - wyjaśnił Hildor. Wszystko rzeczywiście dzieje się za szybko. Chyba się starzejemy.

- Co będzie z nami?

- O to się nie martw. Nie dadzą nam zestarzeć się w spokoju. Za to mogę ręczyć.

- Może teraz powiesz mi, dlaczego uznałeś za stosowne zdemontować te rupiecie?

- Te rupiecie, jak mówisz, są stale konserwowane do dwustu lat. Część z nich jest zbudowana od nowa. Reszta zmodernizowana. Razem z zapisem komputerowym, który zabezpieczyłem na samym początku, jest to wciąż działające laboratorium do produkcji klonów ludzkich bądź do hodowli zarodników.

- Myślisz, że dzieciaki zechcą się tym bawić? - Sonorov pokręcił z powątpiewaniem głową. - Nie sądzę, żeby chcieli tworzyć nowy rzut mutantów, skazanych od początku na to samo, co oni.

- W chłodni, w podziemiach tego laboratorium, złożone jest dwadzieścia tysięcy zarodników. Plany pozwalające na produkcję nowych inkubatorów z części złożonych w ładowniach Feniksa już im przekazałem. I jestem głęboko przekonany, że jest to właśnie ta część ich planu, o której nie chcieli nam powiedzieć na Marsie.

- Wtedy faktycznie miałaś jakieś wątpliwości, ale przecież nie sądzisz poważnie, że założą kolonię. Jest ich za mało. Pamiętam jeszcze szkolenia, na których określano dokładnie minimalną liczbę ludzi potrzebnych do zaludnienia innej planety. Do tego trzeba tysięcy osobników.

- Dostaną zarodniki - odparł Hildor. - Są długowieczni. Mogą się ze sobą krzyżować dowolnie. Zadbałem o to. Ich kody genetyczne są sto razy bardziej stabilne niż u normalnych ludzi. Tam gdzie człowiek, jako rasa, ulegnie degeneracji już w piątym pokoleniu, oni mogą wytrzymać do setnego. Jeżeli naprawdę chcą zasiedlić jakąś planetę, to wierzę, że im się to uda. Boję się jedynie tego, czy wytrzymają ze sobą tyle lat.

- Na dobrą sprawę mogą to zrobić już w układzie Procjona. XXXVI wyprawa potwierdziła istnienie tam dwóch planet dających się zasiedlić.

- Polecą daleko - Hildor powiedział to z niezłomnym przekonaniem.
- Nawet nie wiesz, czy ich nie przeceniasz?
- Obym się mylił, Karl. Oby!
- Cóż - Sonorov spojrział tęsknie w stronę biurka. - Trzeba chyba wracać do roboty?

* * *

Od momentu opuszczenia pałacu Alicja była jak w transie. Przez długie minuty stała w pobliżu gmachu Kwatery Głównej Policji zastanawiając się nad swoją bezmyślnością. Znalazła się ścigana na ulicy, bez pieniędzy, z kartą kredytową na własne nazwisko i bez żadnego planu. Dopiero kiedy kilka razy potrącili ją jacyś przechodnie, spoglądając w zdumieniu na jej strój uświadomiła sobie, że ubrana była w ekscentryczną wieczorową suknię. Od kilku dni nudziła się w pałacu tak bardzo, że zmieniała stroje co parę godzin. Jej ucieczka akurat odbyła się w tej sukni.

Przede wszystkim musiała zniknąć z tej okolicy. Przez chwilę chciała zatrzymać któryś z przejeżdżających śmigaczy, podrywając po prostu kierowcę. Przypomniała sobie na czas, że ta dzielnica jest stale monitorowana przez kamery z uwagi na siedzibę władz policyjnych. Postanowiła więc skierować się w stronę jeziora, gdzie najłatwiej było znaleźć samotnego kierowcę, wracającego z któregoś z licznych w tej okolicy nocnych lokali. Myślała nawet, że najprościej byłoby spędzić tę noc w Jaskini, gdzie ją wszyscy znali jako Judith i gdzie miała otwarty kredyt na konto Peta. Boko z pewnością jednak tam przede wszystkim skieruje swoich ludzi. Nie była pewna, czy jej mieszkanie genewskie, w którym znana była jako Judith również jest zdekonspirowane. Wolą nie ryzykować. Szła więc znanymi sobie dobrze ulicami, po raz pierwszy czując się jak ścigany pies. To było dla niej zupełnie nowym przeżyciem. Poprzednio, jako Judith, zaopatrzona w doskonałe papiery na

różne nazwiska, traktowała to wszystko jako zabawę. Nigdy nie przypuszczała, że ten akurat sposób na nudę przybierze taki obrót. Giza miał jednak trochę racji, kiedy jej wymyślał. Nigdy dotąd nie posmakowała, co to jest prawdziwa ucieczka. Kiedy odeszła dobre trzy kilometry, postanowiła zaryzykować i zatrzymać jednak jakiś śmigacz.

Pierwszy, który się nawinął, był to akurat patrol policyjny. Zamarła w pół gestu i uśmiechnęła się niewinnie do zdziwionego policjanta. Gestem dała mu do zrozumienia, że zaszła pomyłka. Następny kierowca zatrzymał się natychmiast, kiedy podniosła rękę.

Gdzie podwieźć? zapytał, otwierając drzwiczki.

Na Kosmoport!

Nie po drodze mruknął i dopiero teraz przyjrzał się jej uważnie. Z pewnością nie widział jeszcze dziewczyny tej klasy włączającej się samotnie po Genewie. Był to widać człowiek bystry, bo natychmiast zrozumiał, że Anioł Opatrzności Podrywaczy daje taką szansę tylko raz w życiu.

Pani pozwoli wysiadł szybko na zewnątrz i przebiegł dookoła, żeby otworzyć jej drzwi. - I tak nie mam nic lepszego do roboty. A na Kosmoportcie byłem tylko raz.

- Nazywam się Adam Netz - powiedział, starając się wytwornie kiwnąć głową. - A pani?

Judith - Alicja była zadowolona, że tak długo używała tego imienia, bo teraz nawet sekundy się nie zawahała wypowiedając je.

Leci pani gdzieś?

- Jeszcze nie wiem.

- W tym stroju odradzam.

Zgubiłam towarzystwo - wyznała, grając rolę rozkapryszonej panienki z wyższych sfer. Jakiś kretyn zabrał mi kartę kredytową i mój śmigacz. O ile wiem, wszyscy mieli jechać na Kosmoport. Niech go tylko dopadnę!

- Głupi żart - przyznał Adam. - Ale to chyba bliscy znajomi? - upewnił się, bo widać jednak zaczęły go dręczyć wą-

pliwości, co taka dziewczyna robi o tej porze samotnie i tak daleko od centrum.

- Do dzisiaj! - syknęła przez zęby.

- Chyba jednak będę musiał pani pomóc - stwierdził z zadowoleniem.

- Dam sobie radę stwierdziła obrażonym tonem.

- Gdyby ich pani jednak nie znalazła - dodał.

- Nie może pan jechać szybciej? - zdenerwowała się, wiedząc, że przez swoją głupotę i tak już straciła wiele czasu.

- Jedziemy na automacie. Zgodnie z przepisami! - zdziwił się, ale kiedy spojrzał na jej pogardliwa minę szybko przejął stery i śmigacz ruszył z kopyta do przodu. Zapomniałem, że gonimy złodzieja. W razie czego potwierdzi pani na policji, że brałem udział w akcji pościgowej.

- Niech pan się nie martwi policją.

W tym punkcie pomyliła się jednak, zaledwie po kilku minutach dogonił ich śmigacz policyjny i dał sygnał do zatrzymania.

- Skąd ich się tu tyłu wzięło? - zdziwiła się w duchu. - Czyżby już mnie szukali? Przecież nie minęły nawet dwie godziny. Najpierw przeszukają pałac, żeby się upewnić, że to nie jest żart.

- Cholera! Już nas mają! - Adam Netz nie był zachwycony sytuacją i powoli zaczynał zadawać sobie pytanie, czy tę piękną nieznaną nasłał mu aby rzeczywiście Anioł Opatrzności Podrywaczy. Był skłonny uwierzyć, że był to raczej Anioł Opatrzności Znudzonych Policjantów. Bo skąd by się wzięli na tej trasie i to w porze, kiedy prawie nikt tędy nie jeździł?

Policjant podszedł do niego powoli, całą swoją postawą wyrażając głębokie zadowolenie, że jego trud nie poszedł na marne i że raz jeszcze udało mu się wykryć drastyczne naruszenie przepisów ruchu drogowego na sumę dwudziestu kredytów federalnych. Znalazł się tu przypadkiem, skracając sobie drogę na komisariat. Normalnie powinien objechać jeszcze dwie dzielnice, ale po namyśle, poświęcił ten czas pewnej da-

mie, z którą od kilku tygodni łączyły go zażyłe stosunki. I tu masz! Od razu może zapisać w raporcie nową interwencję.

- Karta tożsamości - powiedział, raczej twierdząco niż prosząco. Ufał głęboko w inteligencję ludzką. Facet siedzący z taką babką doskonale wiedział, dlaczego go zatrzymano i było mało prawdopodobne, żeby nie wiedział co należy w takiej sytuacji zrobić. Policjant właściwie współczuł kierowcy. Gdyby to on prowadził do domu taką zdobycz, to nie dałby się zatrzymać żadnemu idiotcie z drogówki. Ten kierowca widać był jeszcze niezbyt wyrobiony.

- No! - pogoził go, bo tamten wciąż się ociągał.

- Wystarczy? usłyszał damski głos. Dopiero teraz spojrział w stronę kierowcy. Dziewczyna pochyłona nad jego kolanami wyciągnęła jakiś dokument. Wziął go przekonany, że to kolejna próba łapówki. Zasadniczo nie brał. Odmówienie jednak takiej kobiecie, ktoś mógłby uznać za grzech. Dopiero kiedy podstawiał trzymany papier pod światło stojącej obok latarni dotarło do niego, że trzyma w ręku prezydenckie laissez-passez.

- Przepraszam. Dlaczego nie używacie identyfikatora radiowego? Nie traciłbym czasu.

- Czasami i nam się zdarza czegoś zapomnieć - powiedziała dziewczyna, zabierając zwrócony dokument.

Kiedy śmigacz odjechał policjant stał przez chwilę w zadumie. Gdyby u nich w komisariacie pracowały takie kobiety, nie musiałyby urywać się z patroli.

- Masz niezłe papiery - zauważył Adam, kiedy upewnił się, że policjant naprawdę ich nie ściga. - Co to było? Ten papier, który mu pokazałaś? Jesteś z policji?

- Czy to ważne? Naprawdę ukradli mi forszę i śmigacz. Jedźmy wreszcie!

- Z tobą wszędzie - Adam tym razem bez wahania wszedł na maksymalną prędkość.

Nie dane im jednak było dojechać do Kosmoportu. Kilometr przed celem trafili na zaporę policyjną. Tym razem jej magiczna przepustka nie odniosła żadnego skutku.

- Boko anulował te papiery na dwie doby - wyjaśnił jej znudzony policjant. Jeżeli chcecie, to idźcie się z nim kłócić.

Alicja spojrzała na Adama i uznała, że dwie doby da radę z nim wytrzymać. Należało teraz wykazać odrobinę taktu i kokieterii.

* * *

Anna i Ewa dawno już nie latały w tandemie. Taki krótki rejs na Księżyc nie stanowił jednak większego problemu. Kłopoty przysły wraz z koniecznością przypomnienia sobie procedury lotów na tej trasie. Z uwagi na duży ruch różniła się ona mocno od tych używanych w lotach wewnątrzukładowych czy pozaukładowych. Obie zresztą nigdy nie miały zbyt dobrej pamięci w tym względzie.

Właśnie przeżywały drobny dramat ambicjonalny przed wylądowaniem w Bazie Kopernika. Generał Wolf uważnie przysłuchiwał się wszystkim rozmowom prowadzonym przez mutantów w czasie startów i lądowań i z dziką satysfakcją notował wszelkie uchybienia. Wzięli więc sobie za punkt honoru nie dać mu, w miarę możliwości, najmniejszej satysfakcji. A właśnie obie jednocześnie zapomniały, czy w tutejszym zwyczaju jest pozdrawianie kontrolerów ruchu, czy nie. Regulamin nie wspominał o tym, ale każda baza miała swoje własne zwyczaje, których przestrzeganie stawiało przybyszów w rzędzie wtajemniczonych lub nie. Wolf notował sobie wszelkie uchybienia. Te zwyczajowe również.

Decyzję trzeba było podjąć natychmiast. Spojrzały na siebie i jednocześnie wpadły na identyczny pomysł.

- Cześć patrzaczu! - stwierdziły w zgranym duecie i natychmiast wybuchnęły śmiechem.

- Wisieć będziemy razem - zawyrokowała Ewa, starając się opanować śmiech, który nie pozwalał jej skupić uwagi nad sterami. Do dobrego tonu należało wylądować na ręcznych sterach, pozostawiając automaty kalekom i generałom.

Kiedy wreszcie wprowadziły swój prom do schronu, obie jak na komendę odetchnęły z ulgą.

- Zero i zero - stwierdziła Anna, naśladując belfrowskie ujęcia regulaminu, jakie zwykle słyszy się w Akademii.

Amen - mruknęła Ewa płaczącym głosem. - Co teraz będzie?

Mam ochotę na mężczyznę! oznajmiła Anna, oswabadzając się z pasów przypinających ją do fotela.

Zaraz przypomniała sobie, że Ewa nie mogła sobie wciąż darować śmierci Kroma.

- I tak ich tu nie znajdę - dodała z przekąsem. - Chodźmy lepiej się wykąpać. Już nas rozładowują.

Wyszły obie, wyskakując zbyt silnie do góry. Jak zwykle nie mogły się od razu przystosować do zmiany siły ciężkości..

- Nie rozwal nam tych stacji, bo nie będziemy mieli gdzie mieszkać na innych planetach - krzyknęła Ewa do technika pilnującego automatów rozładujących. Macie sześć godzin czasu, szczęściary - odparł mężczyzna, tęsknie patrząc na prom. Z chęcią wyskoczyłby na dół, na Ziemię. Był jednak żołnierzem i musiał brać pod uwagę również bzdurne rozkazy. Co mogło być tak tajnego w kolejnej wyprawie pozaukładowej?

- Nie wiesz gdzie może być Pet? - nadała telepatycznie Anna.

- To ma być mężczyzna? - zdziwiła się Ewa.

- Muszę mu przypomnieć, że na jutro jest umówiony z Hildorem. Staruszek nie chciał mi nawet powiedzieć po co!

- Stara się dowartościować biedaka. Nareszcie! - zabrzmiał jednocześnie w ich myślach głos Kira. - Miałyście je przywieźć wczoraj. Znowu mamy poślizg! Dopiero dzisiaj zaczęli ładować żywność. Nigdy nie wylecimy.

- Sonorov kazał je rozebrać na części i składać przy nim od początku, wymieniając każdy zespół, który nie dawał odblasku w świetle latarki - wyjaśniła Ewa. Admiralek jest tak przejęty swoją rolą, że nie miałam serca zwracać mu uwagi.

Kir Jeni pojawił się wreszcie osobiście na progu wejścia w głąb stacji.

- Mogłyście mnie chociaż zawiadomić - stwierdził już na głos, wciąż rozdrażniony.

Nie przejmował się przechodzącymi obu technikami. Oni zresztą również już zdążyli się przyzwyczaić do nich. Zwłaszcza do tego, że często prowadzą ze sobą rozmowy od środka.

- Niby jak? Tajemnica! - przypomniała mu Anna. Powinieneś wiedzieć, że admiralek i Hildor za nic nie pozwolą na rozmowy radiowe, jeżeli nie uznają tego za konieczność. A nie uznali.

- Czy widziałeś Peta? - zapytała Ewa. - Anna szuka mężczyzny.

- Zajęty - wyjaśnił krótko Kir.

- Bądź łaskaw przypomnieć mi, że jutro jest umówiony z Hildorem.

- Pamięta.

Obie kobiety spojrzały na siebie porozumiewawczo.

- Zezwolisz na udanie się do kwater? - zainteresowała się Anna.

- Musicie dziś obrócić jeszcze raz - przypomniał im Jeni i odszedł w swoją stronę.

- Co go ugryzło? - zapytała Ewa.

- Pewnie twoja uwaga, że szukam mężczyzny stojąc przed nim. To nie było zbyt eleganckie.

Ewa spojrzała na nią i dopiero teraz przypomniała sobie pewne rzeczy.

- Cholera - stwierdziła zrezygnowana. - Znowu narozrabiałam.

- Co się stało? - spytała Anna. Tym razem telepatycznie.

- Nic takiego. Palnęłam głupotę - odparła głośno Ewa i uparcie ignorowała wszelkie próby kontaktu telepatycznego.

Ruszyły w stronę swoich kwater. Z tym, że ciekawość Anny pobudziła ją do daleko idących spekulacji, z którymi jednak również wolała się nie ujawniać.

W bazie przydzielono im pokoje obok siebie. Anna stanęła przed swoimi drzwiami, szukając klucza i dopiero teraz przypomniała sobie, że poprzednim razem dała go Petowi, który spędził z nią noc i miał wracać na Ziemię później.

- Chodź do mnie - zaprosiła Ewa, domyślając się przyczyny jej niezdecydowania.

Obie jednocześnie wskoczyły pod prysznic, starannie zamykając za sobą drzwi do łazienki. Było w niej zresztą akurat tyle miejsca, żeby mogły stanąć obok siebie i trochę poruszać rękoma. Woda na księżycu nie leciała dokładnie tak samo jak na Ziemi. Przy odrobinie nieuwagi można się było nawet utopić. Przy odrobinie wprawy natomiast można było zamienić łazienkę w wannę. Pod warunkiem, że ktoś miał cierpliwość czekać potem, aż spłynie cała woda.

Ewa puściła od razu silny strumień ciepłej wody i z ulgą pozwoliła spływać mu po plecach.

- Aj! Za gorąca! - krzyknęła Anna, która przywarła do Ewy całym ciałem, żeby również od razu się zamoczyć.

Uregulowały temperaturę i natychmiast zaczęły się mydlić

- Plecy! - zakomenderowała Ewa podając jej mydło.

Anna posłusznie przystąpiła do namydlenia pleców i w trakcie tej czynności zauważyła ze zdumieniem, że odczuwa dawno już nie ujawniający się pociąg do stojącej przed nią kobiety. Odłożyła mydło do pojemnika i zaczęła delikatnie masować Ewę po karku.

Mhmm usłyszała w odpowiedzi i wtedy przywarła do niej całym ciałem, opierając swe dłonie na jej piersiach. Delikatnie ugniatała je czując, że narasta w niej podniecenie. Ewa oparła się teraz rękoma o ścianę łazienki, lekko dociskając

swoje ciało do Anny, która prawie położyła się na swojej partnerce. W warunkach panującego ciężenia na Księżycu nie był to ciężar zbyt męczący. Zwłaszcza w stanie, do jakiego obie się doprowadziły. Ręce Anny dotarły tymczasem do brzucha swojej partnerki, ominęły trójkąt włosów wieńczących na dole tę część ciała i skierowały się ku udom. Ewa mruczała zadowolona, bądź niezadowolona. Wszystko zależało teraz od dłoni Anny. Ta zaś nie wytrzymała i ku własnemu zdumieniu poczuła, że dół jej ciała zaczyna wykonywać, niezależne od jej woli ruchy, ocierając się o wbite w jej brzuch pośladki Ewy. Ruchy te były bardzo wolne. Jakby jej ciało samo zdawało sobie sprawę z faktu, że wszelka gwałtowność w warunkach księżycowych jest nie do pomyślenia. Jej dłonie również bezwolnie rozpoczęły delikatne ocieranie się o wyczuwane pod palcami krótkie włosy wzgórza łonowego jej partnerki. Obie traciły poczucie rzeczywistości. Pierwsza uspokoiła się Anna, zamierając na długą chwilę wtulona w plecy Ewy, z dłońmi zamartwionymi w bezruchu. Wreszcie ręka Ewy zacisnęła się na jej plecach i zmusiła do kontynuowania przerwanej tak brutalnie czynności. Anna robiła to teraz z zamkniętymi oczyma wsłuchując się uważnie w oddech Ewy. Za wszelką cenę pragnęła jej wynagrodzić swój pośpiech.

Kiedy było już po wszystkim, stwierdziły ze zdumieniem, że łazienka jest do połowy zalana wodą.

Jesteśmy ofiary - Ewa roześmiała się zadowolona i odwróciła się twarzą do Anny. - Teraz musimy poczekać dodała, przytulając się do niej delikatnie.

Anna również objęła ją swoimi ramionami i przez chwilę tak trwały w wodzie po pas. Wreszcie Anna pocałowała Ewę w usta. Trwało to krótko. Ewa wyglądała na trochę skrepowaną.

- Nawet w łazience nie potrafimy się opanować - mruknięła wyłączając wciąż płynącą wodę. - Potem dziwimy się, że wygadują o nas różne rzeczy.

- Jeszcze tylko dwa tygodnie - przypomniała Anna i zdecydowanie przyciągnęła ją do siebie, otaczając mocno ramio-

nami. - Przestań się wreszcie wszystkiego wstydzić - dodała z mocno przesadzonym oburzeniem. - Niedługo wrócimy na Ziemię, a tam Sonorov nie da nam chwili spokoju.

* * *

Kampania wyborcza dobiegała właściwie końca. Do wyborów pozostało tylko dziesięć dni. Tymczasem Vir od trzech godzin dobijał się do niego, jakby chodziło o koniec świata. Billy Oconnor nie mógł sobie wyobrazić niczego na tyle ważnego, żeby przerwać swój cykl starannie zaplanowanych rozmów z najważniejszymi politykami. W czasie takich właśnie spotkań decydowały się sprawy ludzi i stanowisk. Niemniej jednak postanowił poświęcić Virowi dziesięć minut.

- Bomba! - krzyknął od progu zdyszany Vir - Alicja uciekła z pałacu i od dwóch dni Boko nie jest w stanie jej znaleźć.

- Co to znaczy uciekła? - zdziwił się Oconnor. - O ile wiem, nie była zatrzymana.

- Oczywiście, ale Borisov nie wypuszczał jej z pałacu.

- To zrozumiałe.

- No i uciekła. Wytrzymała tylko przez miesiąc. Nikt nie wie w jaki sposób udało jej się dostać do stratu samego Alfreda Boko, który nieświadomie dowiózł ją do gmachu policji. Stamtąd wyszła najspokojniej w świecie za okazaniem prezydenckiego laissez pas - sez.

- To nasz przyjaciel Boko ma teraz duże przykrości - stwierdził z zadowoleniem Oconnor. - Mamy więc spokój.

- Dzięki temu w ogóle dowiedziałem się o całej sprawie. Była trzymana w najgłębszej tajemnicy.

- Przecież muszą jej szukać.

- Jak diabli! Trzystu specjalnych agentów nic innego nie robi od czterdziestu ośmiu godzin. Natomiast mundurowi nie zostali powiadomieni. Dlatego jest im tak trudno. Szukają jej w tajemnicy.

- Niezbyt wielkiej jak widzę.

- Zajął mi to dwa dni. Ale wiem również dlaczego uciekła!

Oconnor zrozumiał, że dopiero teraz dowie się właściwej tajemnicy. Vir nie był w stanie odmówić sobie maleńkiej satysfakcji. Czekał jednak w milczeniu.

- Alicja jest w drodze do Peta, żeby uprzedzić go o spodziewanej próbie sabotażu Feniksa.

- To mgliste. Znasz szczegóły? - zainteresował się niespodziewanie rzeczowo Oconnor. Docenił widać wagę tej informacji. - Mam jeszcze cztery minuty do następnego spotkania. Nie mogę go przełożyć.

- Mój kontakt w policji wie tylko tyle. - Vir posmutniał. Stracił całą przyjemność zaskoczenia szefa.

- Gdzie w tej chwili znajdują się mutanci? Dalej na Księżycu?

- Prawie wszyscy.

- ?!?

- Pet z Anną często przylatują na Ziemię. Pozostali praktycznie nie wychodzą z Feniksa - pospiesznie tłumaczył Vir.

- Czy Boko szuka małej na poważnie?

- Nie rozumiem.

- Czy naprawdę chce ją znaleźć?

- Akcja ma najwyższy priorytet. Oficerowie, którzy pełnili służbę w czasie ucieczki zostali natychmiast aresztowani. Ich procesy odbyły się wczoraj. Alicja dwa razy próbowała dostać się do Kosmoportu. Za każdym razem napotykała na blokadę policyjną.

- Trzeci raz nie spróbuje - zawyrokował Oconnor. - Postaraj się ją odszukać i gdzieś schować.

- Na jak długo? - zapytał Vir, czując, że właśnie wdaje się w coś śmierzącego.

- Do odlotu Feniksa. Nie potrzebujemy żadnych dodatkowych komplikacji miłosnych. Wystarczy, że zmuszono ich do odlotu z Ziemi. Już to wywołuje w nich zbyt silne napięcia

emocjonalne. Nie wiemy dokładnie jaka była rola Alicji w tym wszystkim Oconnor tłumaczył to wszystko z punktu widzenia dobrotliwego zwierzchnika Floty. Hans Vir nie był jednak aż tak głupi na jakiego wyglądał. Doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że jego przełożony zamierza po prostu pozwolić działać Borisowowi. Dobrzy mutanci, to mutanci martwi.

- Tak jest - odparł krótko i skłonił się przyszłemu prezydentowi, który natychmiast wyszedł do sąsiedniego pokoju na spotkanie, którego nie mógł przełożyć. Pomyślał sobie, że wielcy tego świata mają zadziwiająco krótką pamięć i że należy to koniecznie uwzględnić we własnych planach kariery. Mutanci nie byli może najważniejsi, ale przecież Hans Vir miał swoje własne zobowiązania. Pewnych przysług nie zapomina się. Był pewien, że zna kogoś, kto się ucieszy z tej historii i kto doceni jego dobrą wolę.

* * *

Adam Netz okazał się być dość miłym kompanem, który nie miał w łóżku zbyt wygórowanych zachcianek. Przez dwa dni żyła u niego, praktycznie nie wychodząc na miasto. Raz tylko próbowała ponownie dostać się na Kosmoport. I tym razem również trafiła na zaporę policji. Adam był z zawodu inżynierem. Pracował w jednej z największych w Genewie korporacji budowlanych. Po dwóch dniach zrobił się jednak straszliwie podejrzliwy i zaczął wypytywać Alicję o jej przyjaciół i ukradziony strat. Przede wszystkim zaś o pieniądze. Na szczęście przy pierwszej okazji zniszczyła swoją kartę kredytową na nazwisko Alicja Borisov. Nawet Adam mógł zacząć podejrzewać najgorsze gdyby ją zobaczył. Mimo wszystko jego megalomania nie sięgnęła jeszcze punktu, w którym uwierzyłyby poważnie, że zakochała się w nim córka prezydenta. Wiadomości video nie podawały szczegółów dotyczących Feniksa, chociaż właśnie poinformowały o przygotowaniach do nowe-

go lotu pozaukładowego w kierunku Procjona. To było wszystko. Żadnych informacji. Zrozumiała tylko, że przygotowania nie odbywają się na Ziemi z uwagi na wielkość statku. W grę wchodził więc tylko Księżyc. Z dwunastoma bazami. W której z nich znajdował się Pet? Gdyby mogła zaufać chociaż Adamowi, ale nie była na szczęście aż tak naiwna. Przez chwilę rozważała nawet możliwość sprzedania mu swojego laissez passez. Adam nie był jednak typem człowieka, który marzyłby o takim papierku. Interesowała go tylko praca i kobiety. W tej właśnie kolejności.

- Wiesz, że szykuje się nowa wyprawa? - zapytała go na wszelki wypadek, kiedy tylko wrócił do domu.

- A mnie brakuje funduszy na wykończenie fabryki - odparł wzruszając lekceważąco ramionami. - Co mnie obchodzi te ich wszystkie loty? Trzeba czekać kilkaset lat, żeby wrócili. Mnie to zupełnie nie interesuje. Ja chcę forsy na moją fabrykę. Właśnie Borisov ogłosił kolejną podwyżkę cen. Materiały budowlane poszły tylko w tym roku o dwadzieścia procent.

- To jednak romantyczne - stwierdziła, przybierając swoją najbardziej rozmarzoną pozę. To znaczy, położyła się na wznak na łóżku i zamknęła oczy.

- Jak oni to wytrzymują? - kontynuowała. - Tyle lat bez szans wyjścia na zewnątrz. Ja bym zwariowała.

- Oni wszyscy są kopnięci - zgodził się Adam z głębokim przekonaniem. - Nie radzę się w takim zakochać. Poleci i nie wróci. Do śmierci potem będziesz o nim myśleć.

- Nie powiem, żebyś zbyt przepadła za Flotą - Alicja postanowiła otworzyć oczy i pokazać mu, że nie jest mężczyzną jej marzeń. - Znałam kiedyś kilku pilotów. Trzeba ich zobaczyć na dancingu. Co za styl!

- Ta cała Flota to też wyrzucone pieniądze. Gdyby ktoś miał rzeczywiście przylecieć z kosmosu, żeby nas zaatakować to chyba tylko dlatego, że któraś z tych ich wariackich wypraw przyleciała do nich kompletnie sfiksowana.

- Jaka wyprawa?

- Twoich pilotów z fantazją - odparł z przekąsem. Czy ty naprawdę sądzisz, że komukolwiek chciałoby się lecieć kilkaset lat, żeby zdobyć jedną zafajdaną planetę, która nie jest w stanie wybudować w terminie małej fabryki butów?

- Głupi jesteś! oznajmiła, złącząc na czworakach z łóżka. Flota nie została powołana do obrony przed jakimiś potworami. Ma bronić kobiety przed idiotami. Zresztą robi to z dużym poświęceniem - spojrzała na niego tak, że musiał w końcu spytać, czego od niego chce. Zaczynał żałować, że Anioł Podrywaczy ma tak wybujałe ambicje. Powoli dochodził do przekonania, że ten typ pięknych kobiet należy naprawdę pozostawić tym pijakom z Floty. Niech przepuszczają swoje konta przed następnym rejssem.

- Pożyczysz mi jakiś strój zapytała wreszcie - nie mogę tak wracać do domu.

- Przecież cię odwiozę - zdziwił się.

- Nie będę tak wracała! Chcesz, żeby wszyscy zwracali na nas uwagę?

- Chyba twoi koledzy gliniarze, bo normalny człowiek ma dość własnych problemów.

- Ty zwróciłeś na mnie uwagę - przypomniała. - Czyżbyś nie był normalny?

- Wszystko będzie za duże - mruknął wreszcie. - Możemy wyjść coś ci kupić. Znaczący ja wyjdę - dodał zaraz, przypominając sobie jej suknię i wcześniejsze uwagi.

- Kup byle co. Niech się nie rzuca w oczy.

Kiedy wyszedł zrozumiała wreszcie, że przez cały ten czas zachowywała się jak idiotka, licząc na cud. Teraz przyszedł jej wreszcie go głowy pomysł. Przecież mogła zadzwonić do telewizji. I tak zaraz opuści to mieszkanie.

- Z działem informacji - poprosiła, kiedy zgłosił się dyżurny automat.

- Dział informacji videowizji - usłyszała następny automat - proszę podać swoje pytanie i poczekać trzy sekundy na

odpowieź. Jesteśmy bardzo radzi, że pani zechciała do nas zadzwonić.

- Skąd ma się odbyć start wyprawy Feniksa, o której mówiono dziś w wiadomościach?

- Informacja zastrzeżona - stwierdził automat po upływie zaledwie jednej sekundy.

Wsunęła w czytnik videofonu Adama swoje laissez-passez.

- Agent Specjalny Judith Karło - miała nadzieję, że nie zdążyli lub może nawet nie chcieli wtajemniczać ludzi z telewizji w jej ucieczkę. Okazało się, że chociaż tym razem miała rację.

- Feniks stacjonuje na Księżycu w Bazie Kopernika. Informacja jest zastrzeżona przez tydzień.

- Proszę podać pełny zestaw informacji na temat wyprawy z wyjątkiem dzisiejszego komunikatu.

Automat powtórzył to, co przed chwilą usłyszała. Chyba naprawdę nic więcej nie wiedział.

- Koniec - rzuciła szybko na dźwięk otwieranych drzwi. Wrócił Adam z dużą paczką, którą rzucił na łóżko.

- Buty też ci kupiłem - stwierdził na powitanie. Jesteś mi winna dziesięć kredytów.

Mogę sobie wyobrazić lepsze ciuchy - stwierdziła Alicja, słysząc wysokość zainwestowanej w nią sumy.

- Chcesz przecież tylko przejechać w tym do domu.

- To jedźmy! odparła i rozpakowała paczkę. Był w niej czerwony kombinezon z żółtymi pasami na nogawkach i para zwykłych butów plastikowych, Takich do chodzenia na co dzień. Na wszelki wypadek nie komentowała prezentu. Przyglądający się jej mężczyzna zaczynał mieć jednak pewne wątpliwości, czy aby jej powściągliwość była wynikiem tylko nawrotu dobrego wychowania. Kiedy zobaczył, że Alicja zdejmuje z siebie jego szlafrok i spokojnie zaczyna się ubierać, zapomniał o swoich podejrzeniach. Dziewczyna leżała na ple-

cach i z wysoko zadartymi do góry nogami mocowała się z nogawkami.

- Nie teraz zdusiła brutalnie jego pomysł już w samym zarodku.

Następnie wygięła się bezwstydnie podciągając kombinezon jak najwyżej. To znaczy do połowy brzucha.

- Jesteś wspaniały - stwierdziła, ubrana. Następnie pocałowała go mocno w usta. - A teraz musimy już lecieć - przypomniała.

- To jedźmy.

Adam był jednocześnie zrezygnowany i zadowolony. Ta dziewczyna go przerastała. Wiedział, że nigdy w życiu nie uda się mu jej zdobyć. Może kiedyś, po latach, uda mu się znów z nią przespać, jeżeli spotkają się przypadkiem w sprzyjających warunkach.

- Gdzie jedziemy - zapytał, kiedy znaleźli się już w śmigaczu.

Alicja nie mogła jechać do żadnego ze swych mieszkań. Przypomniała sobie, że byli kiedyś z Petem w pewnym lokalu pod Genewą, gdzie zwykle zbierali się piloci. Oczywiście dopiero teraz na to wpadła. Podała więc ten adres Adamowi.

W czasie drogi milczeli. Alicja znów była wściekła na siebie. Straciła tyle czasu. Pozwoliła ojcu zorganizować poszukiwania. Może nawet zdążyli obstarwić i ten lokal.

Z zewnątrz wyglądał on jak zwykła willa. Dopiero w środku okazywało się, że właściwa sala mieści się w podziemiach. Przychodzili tu głównie samotni piloci po długim rejsie lub po kilku latach nieobecności na Ziemi.

- Poczekaj tu na mnie - rzuciła Adamowi i nie czekając na jego odpowiedź wysiadła.

W środku było jeszcze pusto. Prawdziwy ruch zaczyna się tu dopiero po dziesiątej wieczorem. Wyszła więc na zewnątrz i zobaczyła, że Adam jednak czeka.

- Możesz jechać. Zostanę tutaj. Pieniądze prześlę ci w najbliższym czasie.

- Nawet nie wiem gdzie mieszkasz - bronił się bez przekonania.

Alicja podała mu adres jednej ze swych przyjaciółek. Kto wie, może się jej nawet spodoba?

- Tylko po dziewiątej wieczorem dodała wcześniej mnie nie ma.

Teraz pozostawało jedynie poczekać i poderwać jakiegoś oficera, żeby ją przeprowadził przez blokadę Kosmoportu. Chciałaby zobaczyć policjanta, który spróbuje zatrzymać dziewczynę odprowadzającą swojego pilota do pracy. Wątpiła w to jednak. Policjanci nie byli aż tak szaleni. A jeżeli nawet, to nie na oczach dyżurnych Kosmoportu, którzy przecież na pewno obserwowali bacznie ich zachowanie.

* * *

Człowiek, którego Alfred Boko wybrał do wykonania zadania zleconego przez Borisova nazywał się Al Nikrom. Boko nie był pewien, czy akurat ten facet nie przejdzie do historii. Za nic w świecie nie chciałby jednak znaleźć się na jego miejscu.

Grupa operacyjna o kryptonimie Feniks składała się z szesnastu osób. Tylko Nikrom został przygotowany do wykonania właściwego zadania. Reszta miała próbować podrzucić ładunki pod lustra dysz. Mutanci mieli się wkrótce o tym dowiedzieć z ust Alicji. Polecił nawet osłabić trochę kontrolę dojsć do Kosmoportu, żeby mała nie przestraszyła się za bardzo.

Al został poddany, zakazanej Konwencją Pekińską, operacji wszczepienia pod skórę maleńkiej płytki z bardzo silną trucizną. Sterowana ona była automatem reagującym na takie sformułowania jak: co ty tu robisz? stać, nie ruszać się i tym podobne. Miała zaprogramowane w swojej pamięci wszystkie możliwe sposoby reagowania ludzi na odkrycie agenta. W sumie trzy tysiące słów i zwrotów. Specjaliści, programujący to

cacko, uwzględnili wszystkie możliwe teoretycznie, choć psychologicznie nieprawdopodobne, sytuacje. To było dodatkowe zabezpieczenie Alfreda Boko. Standartowe Al Nikrom przeszedł, jak pozostali, hipnotyczne szkolenie z bardzo silnym przymusem popełnienia samobójstwa przez rozgryzienie umieszczonej w zębie plomby z trucizną. Na tę jedną akcję zrezygnowano nawet z plastikowych plomb, zastępując je delikatnym szkłem. Agenci zostali o tym uprzedzeni. Wszyscy wiedzieli, na co się decydują. Każdy zgłosił się na ochotnika i został przyjęty dopiero po sprawdzeniu i upewnieniu się, że jego nienawiść do wszelkiego rodzaju odstępstw od natury jest patologiczna. Boko sam się dziwił, skąd tylu ludzi cierpi na tak śmieszne przesady.

Każdy z agentów doskonale znał rozkład Bazy Kopernika. Plan Feniksa mogli narysować z zamkniętymi oczyma i po ciemku. Specjaliści oceniali szansę wykonania zadania głównego na sześćdziesiąt procent pod warunkiem, że Alowi uda się dostać niezauważenie do bazy. W przeciwnym wypadku nawet nie starali się udawać, że istnieje jakakolwiek szansa.

Boko zdobył, sobie tylko wiadomymi metodami, wszelkie klucze szyfrowe Bazy Kopernika i przekazał je swoim agentom. Pierwszy miał wyruszać Al. Plan polegał na dojściu piechotą do bazy, wejściu do środka przez służbę awaryjną w magazynie, a następnie przedostaniu się do Feniksa. W bazie był tylko jeden schron zdolny pomieścić jednostkę tej wielkości. Boko wiedział, że rozpoczęto już trzytygodniowe odliczanie przed startem. Wszelkie sprawdzenia we Flocie odbywały się zawsze od dysz. Trzeba było liczyć na szczególnego pecha, żeby akurat teraz ktoś jeszcze raz chciał je oglądać. Poza tym, po Feniksie kręciło się zawsze dużo twarzy, które trudno było zidentyfikować. Mutanci nigdy nie korzystali bez potrzeby z telepatii. Wśród swoich kolegów trzymali się tego zwyczaju szczególnie silnie.

Al ruszył do bazy w pojeździe gąsienicowym. Jechał trasą stałego patrolu technicznego, wzdłuż jednej z bocznych linii

przesyłowych energii. Ruszył na dwie godziny przed planowanym patrolem. Mapa trasy zapewniała brak kontaktu wzrokowego przez cały czas dojazdu do bazy. Nawet jeżeli na radarze ktoś go zobaczy, to pomyśli, że energetykom się spieszy. Jeżeli dostrzegą prawdziwy patrol, to pomyślą, że musieli zawrócić, żeby coś sprawdzić.

Pierwsza część planu powiodła się znakomicie i Al znalazł się niezauważenie w magazynie. Przybył w porze obiadowej, kiedy wszyscy kręcili się z jednego końca bazy na drugi. Ubrany był w mundur inżyniera bez dystynkcji. Tak zwykle chodzili ludzie z Saturna, a było ich tu sporo. Przylecieli przed trzema dniami.

Zatrzymano go tylko raz, tuż przed wejściem do schronu mieszczącego Feniksa. Ktoś z obsługi pytał, czy nie widział głównego inżyniera. Odparł zgodnie z prawdą, że nie ma pojęcia, gdzie tamten może być. Widać nie było go na statku.

Kiedy zobaczył Feniksa w pełnej okazałości, aż przystanął na chwilę. Widok był monumentalny, nawet w tym olbrzymim przecież schronie. Statek z trudem się mieścił.

- Ciekawe, jak go tu wprowadzili? - pomyślał i zaraz przypomniał sobie o zadaniu. Wszystko szło jak po maśle. Dopiero przy wejściu do windy prowadzącej na górę ktoś się nim zainteresował naprawdę.

- Szkoda czasu, wszyscy poszli na obiad - uprzedził go dyżurny sierżant.

- Nie wszyscy - stwierdził Al, dając tonem i zachowaniem do zrozumienia, że właśnie wrobiono go w pilną robotę.
- Powariowali z tym tempem!

- Fakt - zgodził się z nim żołnierz. - Jakby to było diabli wiedzą co! Pan przynajmniej nie musiał tu siedzieć półtora miesiąca, jak my.

- Ale teraz posiedzimy razem - zaśmiał się gorzko Al i wszedł do windy podnosząc dłoń z wyciągniętym w górę kciukiem. - Już niedługo - dodał i pojechał na górę.

Kiedy znalazł się w śluzie musiał stanąć na chwilę, żeby jeszcze raz upewnić się, że niczego nie pomylił. Wiedział, że Feniks jest największym z dotąd zbudowanych statków, ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć na własne oczy. Na planach to wszystko wyglądało jakoś bardziej normalnie. W rzeczywistości nawet rozmiary śluzy były olbrzymie. Wszystko się jednak zgadzało. Lewe drzwi to wejście do korytarza prowadzącego do wind. Prawe były wejściem do magazynu.

Spojrzał na zegarek. Za jakiś kwadrans powinno tu być znowu tłoczno. Już teraz chyba wszyscy powoli kończą jeść. Przy windzie spotkał Tatianę Monk.

- Pan nowy? - zapytała widząc jego wahanie.

- Nic się przed wami nie ukryje! - odparł, uśmiechając się jak mógł najszczerzej. Wiedział, że pracownicy nie byli przyzwyczajeni do mutantów równie mocno, jak piloci. Jego zachowanie musiało więc wyglądać normalnie.

- Przecież Kir mówił, żebyście nie chodzili sami. Spodziewamy się sabotażu - stwierdziła, przypatrując się mu uważniej.

- Al wiedział, że jego odpowiedź będzie decydować o życiu i śmierci.

- Wasz admirał popędza nas jak diabli, a chce żeby chodzić razem! Proszę z tym do Głównego! Ja tu nie jestem od gadania. Kazali mi sprawdzić zwój numer sześć w trzeciej komorze silnikowej, bo Głównemu śniło się w nocy, że go źle zabezpieczyli. Szczerze mówiąc, też to uważam za idiotyzm!

Tatiana spojrzała na niego jakby cieplej.

- Co zrobić stwierdziła tonem, który przy odrobinie dobrej woli można by uznać za pojednawczy. - Nie chcemy wylecieć w powietrze.

Al puknął trzy razy w najbliższą ścianę z miną kogoś, kto usłyszał największe bluźnierstwo wszechczasów.

- Wy wylecicie w powietrze, a nas będą wieszać - stwierdził z oburzeniem. - To pudło kosztowało czteroletni budżet Floty.

- To co? Mogę jechać, czy zaczekamy na resztę? - zapytał, żeby uśpić do końca podejrzenia. - Zaraz powinni tu być - dodał uśmiechając się zalotnie do Tatiany. - Właściwie mogliśmy sobie pogadać. Macie tu przecież niezły salon.

- Lepiej niech pan jedzie - stwierdziła Tatiana, udając zadowolenie. Al doskonale wiedział, że mutantki w ostatnich tygodniach stały się bardzo modne wśród męskiego personelu Floty, bo wszyscy podejrzewali, że niedługo już zabawią na Ziemi.

Kiedy drzwi windy zamknęły się za nim, bał się nawet oddychać aż do samego dołu. Nikt nie wiedział jak daleko sięga telepatia mutantów, choć wielu specjalistów twierdziło, że ściany Feniksa powinny ją mocno ograniczać. Al nie miał najmniejszego zamiaru korzystać z nadarżającej się właśnie możliwości sprawdzenia tych założeń.

Wysiadł na poziomie maszynowni i teraz już pewniejszym krokiem ruszył wykonać swoje zadanie. Do maszynowni, skąd dopiero można było przejść do tunelu prowadzącego do dysz i luster, było osiemdziesiąt metrów. Na czterdziestym metrze Al Nikrom przestał być sobą. Zachowywał się pozornie tak samo normalnie. To znaczy szedł w napięciu i z czujnością, ale w oczach jego nie można było już nic wyczytać.

Pierwszą czynnością było dojście do drzwi otwierających komorę reaktora. Drugą, ich otwarcie i zamknięcie za sobą. Następne cztery czynności polegały na upewnieniu się, czy w pobliżu nie ma nikogo, dotarciu do zaworu awaryjnego dostarczania paliwa umieszczonego w dolnej części dziesięciometrowej średnicy reaktora i otworzeniu go. Po tej ostatniej czynności pracę za niego zaczynał wykonywać automat sterujący zaworem. W rezultacie jego działania przed Alem otworzył się maleńki podajnik, w którym zwykle umieszcza się kapsułkę ze wzbogaconą mieszanką wodorową. Głównie w przypadku, jeżeli załoga chce dłuższy czas lecieć na ciągu ponadmaksymalnym. Poza tym, można było wtedy podawać ręcznie paliwo w przypadku awarii głównego podajnika. To była

już czysta teoria, bo nigdy nie zdarzyło się, żeby jednocześnie zawiodły wszystkie trzy niezależne układy takiego reaktora. Szóstą czynnością Ala było wyjęcie z kieszeni plastikowego pakieciku o wymiarach kapsuły. Ułożył ją w podajniku i od tej pory rozpoczął się wycofywać. Podajnik automatycznie zamykał wszelkie zawory i w minutę potem wrzucał kapsułę do podajnika paliwa, gdzie ulegała całkowitemu zniszczeniu. Sama kapsułka nie zawierała bowiem paliwa, a z reguły wykonana była z materiału wzbogacającego. Wrócił do drzwi i delikatnie je otworzył. Potem upewnił się, że nikogo w pobliżu nie widzi. Otworzył je więc szerzej i wyszedł zamykając za sobą. Po przejściu dziesięciu kroków znów był sobą. Nie pamiętał niczego ze swoich działań sprzed kilku chwil. Cała akcja trwała dokładnie jedną minutę i trzy sekundy.

- Cholera pomyślał ze zdziwieniem - zagapiłem się.

Ze zdwojoną uwagą rozejrzał się dookoła. Dalej był sam. Ruszył więc w stronę tunelu prowadzącego do dysz i luster.

* * *

Tatiana Monk patrzyła przez chwilę w zamknięte drzwi windy i zastanawiała się, czy jednak nie sprawdzić tego inżyniera telepatycznie. Nie zrobiła tego, bo Kir prosił o unikanie zadrażnień z ekipą techniczną za wszelką cenę. Ten facet wydał się jej podejrzany. Potem przestała go podejrzewać i dopiero kiedy zamknęły się za nim drzwi windy jej obawy wróciły ze zdwojoną siłą. Nie mogła sobie w pierwszej chwili uświadomić, co takiego było w nim fałszywe.

Telepatycznie nie była w stanie go dosięgnąć. Feniks ekranował wszelkie myśli. Poszła więc w kierunku służy. Wywołała dyżurnego na dole i kazała się połączyć z Głównym Inżynierem.

- Tu Tatiana. Czy pan wysyłał do nas kogoś, żeby sprawdził jakiś zwój w trzeciej komorze? - zapytała, wciąż wahając się.

- Nigdy w życiu! odparł zaniepokojony głos. - To nie mógł być nikt z moich ludzi!

- Alarm! - Tatiana przerwała połączenie i przełączyła się na sierżanta. Ogłóście Alarm! Nikogo nie wypuszczają! Tego faceta, który przed chwilą wszedł na górę obezwładnić, gdyby się znów pojawił. Starajcie się go nie zabijać.

Zanim dobiegł ją głos dzwonek alarmowych miała wrażenie, że słyszy w głośniku ordynarne przekleństwo.

Już nadbiegali żołnierze ochrony. W dali widać było kilku pracowników stoczni biegnących jak do pożaru. Feniks był ich dzieckiem. W końcu odebrała Kira.

- Ilu?

- Jeden. Będę w sterowni. Niech wszyscy zejść do maszynowni. Ta winda zatrzymała się dopiero w dole. Tego jestem pewna. Jednocześnie przekazała Kirowi całą scenę rozmowy z Alem.

- Biegnij! odebrała suchy rozkaz bez cienia pretensji. Ale wiedziała i tak, że Kir był wściekły.

Winda dowiozła wreszcie pierwszą grupę żołnierzy i jednego z inżynierów.

- Jedźcie na dół! Do maszynowni! Pokieruję wami ze sterówki - poleciła i pobiegła na mostek.

W biegu włączyła system podglądu wszystkich pomieszczeń i sprawdziła maszynownię. Była pusta. Poinformowała o tym przez głośniki wewnętrzne nie dbając czy sabotażysta ją usłyszy. Sprawdziła komorę reaktora i wszystkie trzy komory silnikowe. Też bez rezultatu.

- Wszystkich kierować do maszynowni - rozkazała dyżurnemu na zewnątrz. - Obstawić każde pomieszczenie co najmniej czterema żołnierzami - poleciła znajdującym się już na pokładzie. Po chwili na ekranach zaczęli się pojawiać ludzie w niebieskich mundurach. Uspokoila się trochę.

- W miarę możliwości starajcie się go złapać żywcem - dodała i jeszcze raz zaczęła sprawdzać Feniksa. Pomieszczenie

po pomieszczeniu. Po dziesięciu minutach miała pewność, że facet nie ukrył się w żadnym z nich.

- Zamykam śluzy! - poinformowała żołnierzy i izolowała wszystkie trzy poziomy do siebie.

- Jest - zabrzmiało nagle w głośniku.

- Gdzie?

- Komora trzecia - wychodzi z tunelu - odparł głos. - Nie strzelać! Łapać go żywcem.

Słychać było odgłos biegnących ludzi i zaraz potem czyjś wściekły głos.

- Mówiłem żywcem! Co za idiota go zabił?!

Tatiana podniosła śluzę i nadała do kontroli, że sabotażysta został ujęty, ale nie żyje. Wreszcie zrozumiała, co wzbudziło jej podejrzenia. Facet zaczął ją podrywać dopiero wtedy, kiedy poczuł, że jest podejrzany. Żaden mężczyzna nie zachowywał się tak wobec mutantki.

* * *

- Nasz pomysł zawiódł - stwierdził zaniepokojony Bron.

- Gdyby nie urażona ambicja Tatiany, to nawet byśmy tego nie zauważyli. Dysze sprawdza się na samym początku odliczania przed startem - powiedział Hildor.

Obaj od paru minut zastanawiali się, co mają robić dalej. To Bron wpadł na pomysł ujawnienia wyprawy publicznie, na wiadomość o ucieczce Alicji i spodziewanym sabotażu. Miał nadzieję, że w ten sposób przestraszą Borisova. Sądził, że nie zechce zaczynać z Flotą. Mylili się.

- Mam informacje, o coraz większym niezadowoleniu oficerów i żołnierzy. Borisov porwał się na świętość. Nie robi się takich rzeczy - Bron głośno myślał, ale po cichu spodziewał się potwierdzenia.

- Piloci mu tego nie darują. - Hildor doskonale rozumiał rozterki admirała. Załoga musiała mieć pewność, że obsługa zrobi wszystko, żeby mogli dolecieć do celu bezpiecznie i cało

wrócić na Ziemię. Statek przeznaczony na wyprawę pozaukładową stawał się świętością w chwili podjęcia decyzji o przeznaczeniu go do takiej misji. Inaczej nikt nie mógłby latać.

- Od wczoraj były nowe próby? - zainteresował się Bron.

- Jak dotąd nie. Zresztą Kir sprawdza teraz telepatycznie każdego, kto wchodzi na pokład. Poza tym generał Wolf kazał patrolować okolice bazy.

- Trzeba było od tego zacząć - mruknął Bron.

Jakby na potwierdzenie tych słów na jego video - ekranie pojawiła się wzburzona twarz Wolfa.

- Panie admirale! - zaczął wzburzonym tonem - to nie do przyjęcia. Przed chwilą moi ludzie zastrzelili następnego sabotażystę.

- Dostał się do bazy?

- Złapali go przy wejściu do tunelu, przez który wyrzucamy śmiecie. Ktoś dysponuje wszystkimi naszymi planami. To nie są zwykli sabotażyści. Oni znają bazę jak własną kieszeń. Nawet nasze klucze szyfrowe nie są dla nich tajemnicą.

- To, mam nadzieję, pan już załatwił generale?

- Oczywiście! A jednak ten facet był pewien, że dostanie się zsympem na śmieci do środka. Gdzieś jest jakiś potworny przeciek, admirale. Ogłosiłem pogotowie bojowe. Kazałem strzelać do wszystkiego, co znajdzie się w polu rażenia moich patroli. Mam nadzieję, że pan potwierdzi ten rozkaz?

- Ma pan generale całkowicie wolną rękę. Pana zadaniem jest nie dopuścić do uszkodzenia statku. Może pan podjąć wszelkie kroki, które uzna pan za , konieczne. Wolałbym jednak, żeby nie wystrzelał pan przypadkiem prawdziwych patroli księżycowych. Proszę uprzedzić wszystkie służby techniczne, że rejon, w promieniu dziesięciu kilometrów od bazy, jest ogłoszony strefą wojenną do momentu startu Feniksa. Proszę się powołać na mnie i nie reagować na żadne interwencje. Czy pan mnie zrozumiał, generale?

Wolf spojrzął na swego zwierzchnika w milczeniu, zastanawiając się, którą część jego wypowiedzi należało uznać za dwuznaczną. Wreszcie pojął o co chodzi.

- Oczywiście, admirale - odparł z uśmiechem. - Nie będę reagował na żadne interwencje. Od tej chwili łączność z Bazą Kopernika ma tylko pan i admirał Sonorov. Dla reszty ogłoszę ciszę radiową.

- Doskonale. Resztę biorę na siebie, generale.

- I co teraz - zapytał Hildora, kiedy ekran zgasł. Wygląda na to, że Boko naprawdę oszalał.

- Oni pogardzają Flotą - odparł Hildor. - Nie rozumieją jej. Myślą, że to zwykła hierarchia urzędnicza, która dba głównie o własne interesy, jak oni.

- W końcu Wolf może nie upilnować kogoś. To mi wygląda na akcję samobójczą. Nawet policja rzadko używa takich metod. Ci ludzie muszą albo wszyscy zginąć, albo któremuś musi się w końcu udać.

- Zastanawiam się, czy nie zacząć procedury odliczania od początku? - Hildor nie krył swego niepokoju. - A jeżeli tamten pierwszy wykonał jednak swoje zadanie?

- Przecież znaleźliście ładunki.

- A jeżeli to była zasłona dymna? Może mieliśmy je znaleźć?

- Dochodzenie wykazało, że nie miał czasu. Porucznik Monk ogłosiła alarm w dwie minuty po jego odejściu. Nie miał czasu na nic innego niż na dotarcie do tunelu dyszowego trzeciej komory. Odtworzyliście to przecież bardzo dokładnie.

- Owszem, ale miał około czterdziestu sekund, które mógł poświęcić na coś innego.

- Dalsze opóźnienie może tylko pogorszyć całą sprawę. Oni odlecą, a ja będę miał na głowie cały personel latający.

- Kir mówi to samo - poddał się wreszcie Hildor. - Chociaż nie jestem do końca przekonany.

- Główny Inżynier stoczni zapewnił mnie, że wszystkie trzy silniki zostaną jeszcze raz sprawdzone. Jeżeli zaistnieje

podejrzanie, że jednak coś w nich zostało ruszone, to przesunemy termin odlotu, ale nie wcześniej niż skończą sprawdzać. Za cztery dni zaczną się wybory. Nikt nie wyda mi na to zgody. Feniks ma wystartować w dzień inauguracji nowego prezydenta. Nie mogę bez wyraźnego dowodu zmieniać całego harmonogramu. Wszystko jest już przygotowane.

- A co zrobimy z sabotażystami? - zapytał Hildor. Wygląda na to, że Boko rzeczywiście nie spocznie aż do naszego odlotu. Można przecież wymyślić inny sposób na rozwalenie Feniksa. Dla kogoś, kto się na tym zna, nie jest to takie trudne.

- Wiem, co zrobimy - oznajmił Bron, uśmiechając się przebiegle. - Trzeba tylko złapać Oconnora.

Kiedy Bron dał polecenie połączenia go z wiceprezydentem, Hildor domyślił się, że tym razem admirał postanowił wreszcie wygrać swoją kartę w toczącej się walce politycznej i umocnić własną pozycję.

- Oconnor na linii poinformowała sekretarka.

- Na scramblerze? upewnił się Bron.

- Oczywiście odparła oburzona dziewczyna, która nie mogła uwierzyć, że po tylu latach pracy szef wciąż jeszcze pyta ją o rzeczy oczywiste.

- Panie prezydencie. Doniesiono mi przed chwilą o ponownej próbie sabotowania Feniksa. W tej sytuacji nie mogę przewidzieć, co zrobią moi piloci. Proszę o zezwolenie na przeprowadzenie operacji pod kryptonimem Genewa.

- Czy pan oszalał? - wściekł się Oconnor. - Na cztery dni przed wyborami? Chce pan mi wszystko popsuć? Nigdy!

- Panie prezydencie. Wiadome panu osoby będą podejmowały kolejne próby zniszczenia Feniksa.

- Ma pan swoich ludzi. Niech ich zastrzelą, ale nigdy nie zgodzę się na tę operację w takiej chwili.

Hildor dał znak Bronowi, że chciałby mówić. Ten kiwnął głową za znak zgody.

- Profesor Hildor jest u mnie i również ma panu coś do powiedzenia. Czy zechce pan z nim mówić?

- Panowie! Mam mało czasu! Ale proszę mi go dać.

- Panie prezydencie! - zaczął Hildor obchodząc biurko Brona dookoła, żeby wejść w zasięg kamery. - Admirał Bron zwrócił uwagę na bardzo istotny element pana przyszłych działań. Nowy szef rządu zawsze musi okazać Flocie jakiś gest dobrej woli. Doskonale pan o tym wie. Pana agenci prasowi potrafią przecież sprzedać to wydarzenie jako najlepszy pomysł pana życia. A to pójdzie w świat. Nie chciałbym teraz mówić o szczegółach, ale proszę się nad tym zastanowić. W każdej chwili może się pan skontaktować z porucznikiem Bor, która najlepiej panu wytłumaczy szczegóły.

Oconnor na wzmiankę o Annie skrzywił się na sekundę, ale zaraz się opanował.

- Skoro już i tak straciłem tyle czasu, równie dobrze mogę wysłuchać pana. Z mutantami zobaczę się przed samym odlotem.

- Jak pan woli zgodził się Hildor, ale nie umknęło jego uwadze zachowanie się rozmówcy. Zawsze dobrze mieć takie dodatkowe potwierdzenie swoich informacji. - Otóż trzonem Floty nie są komandosi a piloci. Jest ich około tysiąca. Trzydzieści procent z nich uczestniczyło w co najmniej trzech wyprawach pozaukładowych. Niektórzy liczą ponad sto pięćdziesiąt lat czasu ziemskiego. Cała reszta pracuje właściwie tylko na nich. Czy zdaje sobie pan sprawę ze skutków takiej sytuacji? Ich prestiż jest tak wielki, że jeżeli zechcą, mogą anulować każdy rozkaz. Nawet admirała Brona. Dlatego Kir Jeni był w stanie, w sytuacji krytycznej, na własną odpowiedzialność ogłosić alarm, mimo że formalnie wymagana jest do tego zgoda głównodowodzącego. Nawet zawód żołnierza czy kogośkolwiek z personelu naziemnego jest przekazywany z pokolenia na pokolenie. Flota jest mikroświatem rządzącym się własnymi prawami. Niepisanymi oczywiście, ale przestrzeganyimi przez wszystkich. Nawet ja, czy admirał Bron musimy się temu prawu podporządkować. Nie przyjdzie nam na przykład do głowy mówić kapitanowi statku, nawet wewnątrzukładowego,

którédy ma lecieć, czy co ma w danej sytuacji zrobić. Uznałby nas za pomyłonych. Piloci i komandosy od wieków są szkoleni do podejmowania samodzielnie decyzji o wielkim znaczeniu. W czasie wykonywania swoich zadań są trochę bogami.

Słyszałem, że to najbardziej zdyscyplinowana jednostka w historii Ziemi - przerwał mu Oconnor. - A pan mi grozi ich buntem!

- Nie buntem, panie prezydencie. W ich rozumieniu to nie będzie bunt. To będzie ostrzeżenie. Żaden pilot nie pozwoli na sabotowanie statku. Nawet jeżeli na nim ma lecieć jego serdeczny wróg. To jest jedyna rzecz, której się po prostu nie robi. A jeżeli już, to trzeba się liczyć z konsekwencjami. Od czasu pierwszej próby sabotażu nie mamy już do czynienia z konfliktem między mutantami, a znaną panu osobą. To głupie działanie doprowadziło do spięcia na linii piloci i Flota kontra reszta świata. Oni muszą dostać winnego. Nie trupa biednego idioty, który dał się w to wpuścić. Oni chcą głowy tego, kto wydał taki rozkaz. A jeżeli już go znajdą, to postawią przed sądem Floty. Będzie to sąd wojenny. Proszę się zapytać admirała Brona, czy zechce interweniować w takiej sprawie.

Hildor zamilkł na chwilę, czekając aż Oconnor przetrawi usłyszaną informację.

- Co pan na to, admirał? - zapytał wreszcie. - To naprawdę jest aż tak poważne?

- Inaczej byśmy pana nie niepokoił, panie prezydencie.

- Mówi pan, że nie jest pan w stanie pokierować takim procesem, jeżeli oczywiście do niego dojdzie? - w głosie przyszłego prezydenta zabrzmiało niedowierzanie.

- Profesor ma rację. Nigdy nie odważyłbym się na coś takiego. Gdybym wydał rozkaz uniewinnienia, to facet i tak nie wyszedłby z sali sądu żywy. Ktoś by go zastrzelił. I jestem pewien, że nie znaleźlibyśmy winnego. Ja i pan, jako formalny zwierzchnik Floty, przestalibyśmy się tu w ogóle liczyć. Nie sądzę, żeby potem ktoś wykonał jakikolwiek mój rozkaz.

- Proszę poczekać - powiedział Oconnor już o wiele bardziej poważnym tonem. Widać i jemu coś się przestawało podobać w tej sprawie. - Proszę się wstrzymać do jutra. Potrzebuję czasu do jutra wieczorem na przygotowanie polityczne takiej akcji. Czy wystarczy panu, jeżeli przewodniczący parlamentu poprosi o zademonstrowanie możliwości Floty bez podawania przyczyn.

- Oczywiście.

- A więc jutro wieczorem Marko Moril ogłosi tę decyzję publicznie przez videowizję.

- Natychmiast potem rozpocznę działanie, panie prezydencie. Porucznik Kirk otrzyma wszelkie plany na godzinę wcześniej. Może go pan wykorzystać do kontaktowania się z każdą jednostką biorącą udział w tych ćwiczeniach.

- Nie jestem pewien, czy to nie będzie za późno - mruknął Hildor, kiedy wyłączył się Oconnor. - Zostaną tylko trzy dni do odlotu.

- Do jutra wieczorem Wolf da sobie radę. Później trzeba będzie zacząć już wpuszczać na teren bazy oficjalnych gości. Czy mutanci polecą tradycyjnie pożegnać się z Ziemią? zainteresował się.

- Kir Jeni poinformował mnie, że nie ruszą się z Feniksa na krok. Ci, którzy zechcą polecić na dół mogą to zrobić w każdej chwili. Ale tylko dwoje z nich, jak dotąd wyraziło takie życzenie.

- Proszę ich uprzedzić o manewrach powiedział Bron, myśląc już o profitach z tej akcji. Jego osoba będzie przez cały czas ich trwania równie popularna, co kandydaci na prezydenta czy załoga Feniksa. Przez długi czas nie uda się Oconnorowi odebrać mu tego kapitału. Bron też dostrzegł zamieszanie przyszłego prezydenta na wieść o możliwości wizyty Anny. Domyślał się, dlaczego jego szef nie chciał mieć do czynienia z telepatką.

* * *

Dzień później Anna Bor przyleciała na Ziemię wraz z Petem. Wylądowali w Kosmoporcie i skierowali się od razu do prywatnych apartamentów komendanta, w których od kilku dni przebywała Alicja. Jej plan powiódł się znakomicie. Już po trzech godzinach zaprzyjaźniła się z pilotem statku zaopatrzeniowego latającego na Marsa. Po dwóch latach służby otrzymał wreszcie półroczny urlop na Ziemi. Alicja wpadła mu w oko z daleka, a ponieważ sprawiała wrażenie osoby, uważającej go za przystojniaka przysiadł się do niej. Nie wiedział oczywiście, że Alicja potrafiła o wiele cwańszych od niego zmusić do tego, żeby zaczęli ją podrywać. I wszyscy byli przekonani, że jest to ich inicjatywa. O jedenastej wieczorem była już w Kosmoporcie. W dwadzieścia minut później poinformowała o wszystkim Sonorova i rozmawiała z Kirem Jenim. Pet był w tym czasie zajęty i nie mógł podejść. Nie wierzyła w to, ale nic nie mogła zrobić.

Anna kazała Petowi oczekiwać w sąsiednim pokoju i nie podsłuchiwać. Sama weszła zobaczyć się z Alicją. Kilka dni spędzonych w spokoju znacznie poprawiło jej samopoczucie i wygląd. Hildor otworzył jej konto ze swoich prywatnych funduszy i kazał dostarczyć wszystkiego, co mogłoby być jej potrzebne. Pilot, który ją przyprowadził otrzymał zadanie dokonania zakupów. Ponieważ nikt nie kazał mu liczyć się z pieniędzmi, więc tym razem otrzymała wszystko w najlepszym gatunku.

Przyjęła Annę w eleganckiej tunice i sandałach, które znakomicie podkreślały jej ciemne, smukłe nogi.

- Pięknie wyglądasz - pochwaliła ją Anna na przywitaniu.
- Będzie zachwycony, kiedy cię zobaczy.

- Gdzie on jest? - Alicja nie mogła ukryć swego rozdrażnienia. Czy naprawdę macie wszystkich za nic?

- Dziewczyno! - Anna ciężko westchnęła - Pet nie miał czasu nawet spać przez ostatnie dni. Nie dostał przepustki na Ziemię.

- Jakby wam były potrzebne przepustki!

- Teraz obowiązują przepisy naszego kapitana. Kir Jeni potrafi być szalenie przykry kiedy chce. A teraz ma na głowie przygotowania i sabotaż.

- Trzeba było go przesłuchać - stwierdziła Alicja. A nie od razu zabijać.

- Popełnił samobójstwo. Trudno nam było nawet ustalić jak się nazywał.

- Kiedy przyjdzie Pet? - powtórzyła Alicja, nie kryjąc niezadowolenia z przedłużającej się wizyty. - Czy będziesz nas pilnować cały czas?

- Mogę usiąść? - spytała Anna i nie czekając na odpowiedź usiadła na stojącej pod ścianą kanapie. - Przyszłam z tobą pomówić. Pet musi jeszcze załatwić kilka spraw przed odlotem na Księżyc.

- To znaczy, że zaraz wracacie?

- Właśnie o tym chciałam z tobą pomówić. Siadaj wreszcie!

- Słucham - Alicja nie była wciąż przekonana o potrzebie takiej rozmowy, ale podejrzewała, że inaczej nie zdoła się spotkać z Petem.

- Odlatujemy na Procjona - zaczęła Anna. - I nie wrócimy za twojego życia. Pet musi lecieć z nami. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Tu, na Ziemi, w końcu go zamordują.

Alicja pokiwała ze zrozumieniem głową. To było oczywiste i nawet ona już się z tym pogodziła. Hildor mówił jej coś podobnego.

- Czy pomyślałaś o jakiejś pamiątce po nim? - spytała Anna.

- Myślisz o chusteczce? Czy może mam go poprosić o autograf?

- Jesteś kobietą...

- On się nigdy na to nie zgodzi! - Alicja wreszcie zrozumiała cel wizyty Anny. - Poza tym ja nie mogę. I on chyba też brał pastylki?

- Przed odlotem nas wszystkich poddano specjalnym zabiegom i teraz już możemy mieć dzieci. To ma być lot eksperymentalny w każdym sensie.

- Ale ja nie mogę - Alicja myślała już o tym, ale nie brała tego nigdy na poważnie, wiedząc, że mutanci i tak są sterylni w czasie lotów pozaukładowych.

Musiabym czekać pół roku aż skończy się działanie ostatniej pastylki.

- A chciałybyś?

- Bardzo - Alicja powiedziała po raz pierwszy w swoim życiu coś ważnego i udało jej się to powiedzieć tonem dojrzałej kobiety. Nawet Anna nie wątpiła, że naprawdę chce mieć dziecko z Petem.

- Poczekasz na Peta jeszcze przez godzinę?

- Przecież wiesz, że to nie ma sensu. Nawet przez dwie godziny nikomu nie uda się nic zrobić.

- Za kwadrans możesz być w naszym szpitalu. Tam jest pewien lekarz, który przeprowadził ten zabieg na mnie. Wszystko trwa równo półtorej godziny. Łącznie z obowiązkową godziną drzemką. Za dwie godziny będziesz mogła spotkać się z Petem.

- Skąd wiesz, że zajdę, tak od razu, w ciążę?

- Ten lekarz może ci przywrócić płodność w dowolnym okresie cyklu. Jeżeli naprawdę chcesz, to możesz zajść w ciążę już za dwie godziny.

- A Pet? On się nigdy nie zgodzi. Nie będzie chciał zostawić tu dziecka, którego nigdy nie zobaczy.

- Pet, to dzieciak. Nie musi niczego wiedzieć. To będzie nasza tajemnica. Tylko twoja i moja.

- To nieuczciwe. On powinien wiedzieć.

- Słuchaj! Anna pochylała się w jej stronę rozdrażniona. Kochasz go. On odlatuje, a ty zostajesz. On może nawet ciebie zapomnieć, ale ty będziesz musiała tu żyć bez niego. Słuchać komunikatów z wyprawy, które będą ci go przypominały. On nie ma prawa ci tego zabronić. Ty jesteś kobietą i masz prawo

mieć swojego ukochanego w sobie przez cały czas, a potem mieć chociaż jego część przy sobie.

- Dlaczego to robisz? Przecież wiem, że mnie nienawidzisz.

- Cóż! Odlatujemy i nigdy się nie zobaczymy. Nam nie wolno kochać, a Pet jest jedyny, który się z tego wyłamał. Gdybyśmy mieli zostać, to na pewno byłabym przeciwko tobie. Teraz, dawne nienawiści straciły swój sens. Poza tym. Ja też chciałabym mieć dziecko. I to nie na statku, gdzie będzie pozbawione świeżego powietrza, słońca, zieleni i innych dzieci. Ty możesz w jakiś sposób przechować cząstkę nas wszystkich na Ziemi. Nie wiem zresztą. Po prostu lubię Peta. To też jest nie bez znaczenia. A on kocha ciebie. Alicja podeszła do niej i niespodziewanie uścisnęła ją.

- Nigdy ci tego nie zapomnę! - stwierdziła uroczyście.

- No to chodźmy. Pet będzie tu za dwie godziny. Tylko pamiętaj - dodała, zanim wyszły. - On też może mieć chwile słabości. Może mu przyjść do głowy na przykład, żeby nie zabierać ze sobą wspomnień twojego ciała. Jeżeli zajdzie potrzeba, to go zgwałć. Pamiętaj! Masz mieć z nim dziecko, więc nie przejmuj się jego humorami.

Tuż przed zostawieniem jej w szpitalu Anna jeszcze raz ją ucałowała w oba policzki i dopiero wtedy przypomniała sobie o jeszcze jednym. Tak to wyglądało w każdym bądź razie.

- Wiesz, że jeżeli urodzisz to dziecko, to twój ojciec może wyrzucić cię z domu?

- Niech spróbuje! - Alicja powiedziała to tak jadowitym tonem, że Anna zupełnie się uspokoiła.

- Albo załatwi jakoś z Boko, żeby je zabić. To jeszcze bardziej prawdopodobne.

- Alfred Boko nie dożyje tej chwili Alicja oznajmiła to tonem, jakby składała przysięgę.

- To trzymaj się! - stwierdziła Anna. - I do widzenia. Ja zaraz wracam na Księżyc. Petowi powiem, że Sonorov kazał mu czekać do jutra na jakąś przesyłkę. Więc nie przejmuj się,

gdyby ci tłumaczył, że zaraz musi wracać. Do jutra nikt go na Księżyc nie puści.

Obie kobiety rozstały się jak najlepsze przyjaciółki. Anna wracała podśpiewując sobie wesoło pod nosem. Jej pomysł na zlikwidowanie Alfreda Boko był najlepszym z około dziesięciu pomysłów, jakie mutanci rozważali. Za jednym zamachem kompromitował Bo - risova, ułatwiał życie Hildorowi, który znów będzie miał okazję zająć się dziećmi. Tym razem półmutan - tem. Poza tym Anna nie wątpiła, że Alicja nie spocznie dopóki Boko będzie chodził po Ziemi. Będzie się zbyt bała o swoje dziecko. Kiedy ją Kir zapytał skąd to przekonanie, przypomniała mu, że przecież to ona z Ewą sprawiły tę nagłą przemianę Judith w kochającą Alicję. Alicja z pewnością ogłosi, że jest w ciąży z Petem natychmiast po odlocie Feniksa. A dziecko kosmonauty jest rzeczą świętą. Nawet jeżeli ten kosmonauta był mutantem. Nikt nie odważy się wystąpić przeciwko matce i dziecku, bo za nim będzie stała Flota i wszyscy piloci. Niech się potem Borisov i Boko martwią, co z tym fantem zrobić.

Teraz pozostawało jeszcze przekonać Peta, żeby nie był idiotą, tylko poszedł z małą do łóżka. Wciąż miał pewne zahamowania, co do sposobu przyjętego przez resztę. Był zdania, że dwóch ludzi może jednocześnie załatwić Alicję i Boko. Być może miał rację, ale Anna i Kir byli zwolennikami pewnej finezji. Nawet jeżeli chodziło o tak przyziemną sprawę jak zemsta. Życie Alicji Borisov nie zapowiadało się tak świetnie jak się tego spodziewała. Matkę mutantu mało salonów zechce przyjmować. Nawet jeżeli będzie córką prezydenta.

Kiedy siedziała za sterami swego promu poczuła, że ma ochotę się zabawić. Za parę godzin miała się jednak rozpocząć akcja Genewa. Woląta przebywać w tym czasie na Księżycu. W trakcie tych wszystkich przygotowań Boko podesłał jeszcze trzech ludzi. Każdy szedł inną drogą. Jednego złapali przy windzie tuż przed służą wejściową. Na szczęście udało im się wtargnąć w jego myśli zanim popełnił samobójstwo. Boko

miał wciąż ten sam plan. Była w tym pewna doza genialności. Do chwili wystartowania nie będą wiedzieli, czy silniki są sprawne czy nie. A nikt nie liczył się już z możliwością udanej próby sabotażu. Może to właśnie o to chodziło. O co by nie chodziło, to jedno udało im się osiągnąć. Piloci i oficerowie komanda marzyli, żeby wreszcie położyć rękę na kwaterze głównej policji i na jej szefie.

Trzymaj się Pet nadała fonią przez radio i nie czekając na zezwolenie wystartowała. Niech ją podadzą do raportu jeśli chcą.

* * *

Marko Moril miał swoje publiczne wystąpienie punktualnie o ósmej wieczorem. Ogłosił, zgodnie z umową Boko i Oconnora, że ćwiczenia zostaną przeprowadzone za zgodą parlamentu, po konsultacji z prezydentem i obydwoma kandydatami na prezydenta i że mają na celu sprawdzenie Floty w warunkach władzy przejściowej. Flota musi być przecież przygotowana na każdą ewentualność - dodał na zakończenie.

W tym samym momencie z pobliskich baz wystartowały straty bojowe z komandosami. W ćwiczeniach brało udział dziesięć tysięcy ludzi i ponad tysiąc stratów i innych maszyn bojowych. Pierwszym celem grup szturmowych było zabezpieczenie pałacu prezydenckiego, gmachu policji i telewizji. W następnej kolejności miano zajmować budynki najważniejszych ministerstw i banków. Manewrami dowodził osobiście admirał Bron. W stroju bojowym, z ciężkim laserem u boku unosił się dwadzieścia kilometrów nad Genewą w stracie dowódczym. Laser do niego zupełnie nie pasował. Kombinezon bojowy podkreślał jedynie postępującą otyłość i brak ćwiczeń. Nie wyglądał może bojowo, ale nikt z jego sztabu nie miał najmniejszych wątpliwości, kto tu rządzi.

Pierwsze straty usiadły na placach i skrzyżowaniach Genewy w trzeciej minucie po zakończeniu wystąpienia Mori-

la. Bron najbardziej był jednak zainteresowany wynikiem akcji na pałac prezydencki i gmach policji.

Ten ostatni zdobywano jednocześnie z powietrza i z ziemi. Osiem stratów usiadło na dachu i wyrzuciło z siebie trzystu komandosów pod dowództwem pułkownika Berta. Dwudziestu ludzi skierowało się natychmiast w kierunku gabinetu Alfreda Boko. Na ziemi tymczasem osiem dalszych stratów otoczyło cały gmach i przygotowywało się do jego obrony. Komandosi robili to tak serio, że żaden z policjantów nie pomyślał nawet przez chwilę o dyskusji, nie mówiąc już o otworzeniu ognia. Na najwyższym piętrze, gdzie mieścił się gabinet Boko sytuacja wyglądała odrobinę inaczej. Ochrona osobista szefa policji postanowiła nie wpuścić do niego nikogo. Otworzyli ogień zabijając pierwszą salwą ośmiu komandosów. Bert kazał się reszcie ukryć i wezwał posiłki. Dopiero wtedy połączył się z Bronem.

- Napotkałem opór. Straciłem ośmiu ludzi - zameldowałem ponuro - proszę o pozwolenie zajęcia tego piętra siłą.

Zezwalam - odparł Bron zadowolonym głosem. Prawdę mówiąc czekał na coś takiego. - Ogłóście swoim ludziom, że mogą w każdej chwili używać broni. Nie chcę mieć dalszych ofiar.

Bert spojrzał porozumiewawczo na szefa swojej kompanii i kiwnął głową w stronę rogu, za którym czaiła się ochrona. Na szczęście do windy mogli dojść jedynie przez nich. Komandosi bezszelestnie poustawiali się w trzyosobowe grupki i kiedy tylko nadeszły posiłki rzucili granaty. Zanim jeszcze rozwiął się kurz z opadających ścian skoczyli w kierunku gabinetu strzelając jak opętani. Dopiero później się okazało, że ich determinacja była zbędna. Granaty zabiły praktycznie całą obstawę z wyjątkiem kilku ludzi, którzy zginęli trochę niepotrzebnie, bo i tak nie mieli najmniejszej ochoty dalej się bronić.

Bert wszedł do gabinetu Boko dopiero wtedy, gdy jego ludzie upewnili się, że szef policji nie ma w zasięgu swojej dłoni żadnej broni.

- Czy wy nie przesadzacie! - ryknął na jego widok Boko. - To miały być ćwiczenia, a nie rzeź. Właśnie zameldowałem o tym prezydentowi - dodał z satysfakcją.

- Zrobimy tak, panie generale - oznajmił spokojnym tonem Bert. - Pan będzie przebywał w tym pomieszczeniu aż do czasu odlotu Feniksa. Potem poczekamy jeszcze tydzień, ale już w naszych kwaterach. Jeżeli okaże się, że Feniks wybuchł, lub po prostu musiał zawrócić bo zepsuły mu się prysznic, to ci żołnierze mają rozkaz natychmiast pana zastrzelić.

- Gdyby z jakichś powodów chciał pan połączyć się ze swoimi ludźmi i odwołać rozkazy, to może pan to zrobić w każdej chwili. Radziłbym to zrobić natychmiast. Jeżeli mimo tego Feniksowi coś się stanie, to nawet ja nie powstrzymam swoich ludzi.

Bert nie czekał na reakcję Boko tylko po prostu wyszedł z gabinetu. Miał mnóstwo spraw na głowie. W dwadzieścia minut później mógł zameldować Bro - nowi, że kwatera główna policji jest całkowicie w rękach komandosów. Bron polecił im poczekać na grupę ekspertów, która miała zapoznać się z aktami znajdującymi się w sejfach.

Alfred Boko poprosił o zezwolenie na skorzystanie z radia po godzinie.

- Jednego nie zdążyłem zawrócić - oznajmił potem. - Jest w tej chwili już na Księżycu w drodze do waszej bazy. Ma wejść dachem schronu głównego.

Sądząc po jego minie nie był to najszczęśliwszy człowiek, jakiego zdarzyło się Bertowi widzieć.

Akcja na pałac prezydencki odbyła się w ten sam mniej więcej sposób. Różnica polegała na tym, że Borisov zabronił swoim ludziom stawiać opór. Wszystko odbyło się więc jak w kinie. Łącznie z wymianą honorów wojskowych.

Admirał Bron miał jednak natychmiast wiadomość od niego. Prezydent zabraniał mu otaczania swojego pałacu komandosami.

Takie są założenia ćwiczeń, panie prezydencie - wyjaśnił Bron. - Komandosi przejęli od tej pory całkowitą ochronę pana osoby. Zaręczam, że włos panu nie spadnie z głowy. Chociaż muszę przyznać, że nie wiem co się stanie, jeżeli Feniks na przykład wybuchnie zaraz po starcie. Ktoś rozpuszcza wśród moich ludzi plotki na ten temat, mieszając w to pańskie nazwisko. Prowadzę energiczne dochodzenie w tej sprawie.

- Sprytnie, Bron - Borisov uśmiechnął się prawie szczerze, ale nie było widać po nim zdenerwowania. - Ale i tak pojutrze muszę być na Księżycu. Będę przecież do spółki z Oconnorem żegnał naszych bohaterów.

- " Flota dostarczy pana na czas, prezydencie - odparł Bron i wyłączył się.

Czekał teraz na wyniki prac swoich fachowców. Sejfy policyjne musiały zawierać wiele bardzo ciekawych rzeczy. Informacje sprawiały na Oconnorze doskonałe wrażenie. Tyle zdążył już zauważyć. A im bardziej były owe informacje związane z osobą nowego prezydenta, tym bardziej go nastrajały przychylnie do ludzi, którzy mu je znosili. Admirał Bron nie spodziewał się zmiany na stanowisku głównodowodzącego Flotą w nowej kadencji.

* * *

Mutanci zgromadzili się w salonie Feniksa. Miał to być ich pożegnany wieczór. Oprócz nich, tego wieczoru, byli tylko Hildor i Sonorov. Kir zamknął służbę wejściową i zabronił łączyć kogokolwiek. Choćby świat się walił. Dla nich właśnie się walił.

Na Ziemi wszystko toczyło się spokojnym, utartym trybem. Godzinę temu podano komunikat, że wybory wygrał, zgodnie z przewidywaniami Billy Oconnor, zdobywając sie-

demdziesiąt procent głosów. Bron szalał po gmachu policji, wykorzystując ostatnie godziny ćwiczeń. Dzięki rozsądkowi Borisova nie było wielu ofiar. Były prezydent gratulował swojemu następcy wyboru i życzył owocnych rządów. Sebastian Kollombo, który miał już załatwioną nominację na wiceprezydenta przyłączył się do serdecznych słów swojego przedmówcy. Potem wszyscy poszli na bankiet. Rano Oconnor miał zostać zaprzysiężony w parlamencie przez Marko Morila i oficjalnie objąć urząd. Pierwszą wizytę miał złożyć o dziewiętnastej czasu ziemskiego w Bazie Kopernika na Księżycu, gdzie miał uroczyście pożegnać wyprawę odlatującą w kierunku Procjona.

Nawet mutanci dostali się w łaski środków masowego przekazu. Wciąż pokazywano ich twarze i czytano poprzednie osiągnięcia z innych wypraw. Komentatorzy podkreślali, że nigdy dotąd Flota nie zebrała na jednym statku tak doświadczonej załogi.

Alicja Borisov pożegnała się z Petem na Ziemi. Nie chciała lecieć na Księżyc z obawy przed napromieniowaniem dziecka. Pet udawał, że o niczym nie wie i było mu z tego powodu bardzo głupio. Anna z Ewą Bonov pół nocy starały się go doprowadzić do stanu używalności, ale bez rezultatu. Admirał Bron, zgodnie ze swoimi oczekiwaniami, udzielał się przed kamerami z podziwu godnym poświęceniem. Nawet Hildor musiał udzielić wywiadu przed swoim odlotem na Księżyc.

Generał Wolf natomiast zmienił się nie do poznania. Od dwóch dni chodził wokół nich jak koło jajka, starając się każdemu dogodzić jak tylko mógł. Kiedy dowiedział się o planowanym przyjęciu w gronie własnym, uruchomił nawet most kosmiczny z Ziemią i ściągał promami wszystkie potrawy, które ich kartoteki opisywały jako marzenia kulinarne. Wina i alkohole brał tylko najlepsze, każąc wszystkimi rachunkami obciążyć Flotę. W salonie znajdowało się jedzenie na co najmniej sto osób.

Nikt się jednak nie bawił. Wszyscy siedzieli ponuro i w najlepszym wypadku wymieniali między sobą krótkie myśli. Tylko Sonorov korzystał z win z gracją prawdziwego znawcy. Hiłdor chciał powiedzieć coś mądrego, ale zupełnie nie był w stanie nic takiego wymyśleć. Rozmawiał ze wszystkimi telepatycznie za pośrednictwem Kira.

Uważajcie na wszystko - przypomniał im po raz setny. - Mam cały czas przeczucie, że Boko jednak postawił na swoim i że statek jest uszkodzony. Nie wierzę w te kretyńskie ataki samobójcze. Najważniejszy był pierwszy sabotażysta. To on miał wykonać brudną robotę. Innych posyłano po to, żeby uśpić waszą czujność.

- Sprawdzaliśmy wszystko sto razy. Niczego nie znaleźliśmy. Te samobójcze ataki ustały prawie natychmiast po zajęciu gmachu policji. Na koniec przyznali się do porażki.

- W sumie to jednak jesteście jeszcze bardzo młodzi - Hildor pokiwał zatroskany głową. - doceniacie Borisova i Boko. Oni zbyt łatwo przyznali się do klęski.

- Kiedy odszedł Borisov, Boko stał się nikim.

- Znów upraszacie. Oconnor tak samo was nienawidzi jak inni. Po prostu postanowił was wykorzystać. Ale dopiero wtedy, kiedy okazało się, że nawet Boko siłą niewiele wskórał.

- Obiecujcie mi, że jeżeli którykolwiek ze wskaźników chociaż na milimetr odchyli się od normy natychmiast zawrócicie. Przez pewien czas nie będą mogli i tak nic wam zrobić. Nie wierzę w ich dobrą wolę powtórzył z naciskiem. - Oni nie kierują się rozumem, a emocjami. Wszyscy. Każdy jeden, z Bronem na czele czuje się przez was upokorzony. To nie są ludzie, którzy potrafią zakończyć jakąś grę i zapomnieć o niej. Będą ją pamiętali do końca życia. I w bezsenne noce nie przestaną układać planów zemsty.

- Obiecujemy - Kir powiedział to nie tylko w imieniu mutantów, których był pośrednikiem, ale powtórzył to dodatkowo w swoim imieniu.

- Czy chociaż raz nie możecie paplać do siebie na głos - oburzył się wreszcie Sonorov, nalewając sobie kolejny kieliszek. - Mam tego dość! Ciągłe mi robicie na złość. Zabronię wam lecieć! Ot co!

To wystąpienie rozładowało trochę atmosferę. Wreszcie pojawiły się głosy, a potem nawet ciche śmiechy.

- Ty! - Sonorow wskazał palcem na Kira. - Jesteś tu dowódcą! Powiedz mi więc, co wy naprawdę zamierzacie. Myślicie, że jestem taki głupi? Hildor i tak mi wystarczająco dużo powiedział. Nie wróćcie już! Ot co!

Kir Jeni spojrział na resztę, a potem na Hildora.

- Skąd wiesz? - zapytał. - Nie chcieliśmy ci nic mówić aż do samego odlotu. Baliśmy się, że będzie ci przykro.

- I jest mu przykro! - zahuczał Sonorov. - I mnie też jest przykro! Lećcie sobie do diabła.

Anna i Tatiana podeszły do admirała i coś mu zaczęły szeptać do ucha.

Hildor nie pytał się, co takiego mu mówiły, ale wreszcie przekonały Sonorowa do skosztowania nowej butelki, co uczynił już zupełnie rozluźniony. Może jeszcze rozżalony, ale już nie zdenerwowany.

- Nie wiecie, gdzie chcecie lecieć! - stwierdził Hildor.

- Szczerze mówiąc naprawdę myślimy o Procjonie. Tam są dwie planety nadające się do życia. Po to przecież dawałeś nam zarodniki.

Właśnie po to - przyznał Hildor. - Już na Marsie czułem, że nie chcecie mi wszystkiego powiedzieć. Ale co innego mogliście wymyśleć.

- Dla nas nie ma miejsca na Ziemi - odparł Kir. - Jesteśmy tu tak samo obcy jak gdzie indziej. Z tym, że na Ziemi nie dadzą nam żyć w spokoju. Może gdzie indziej nam się poszczęści?

- Ja też wam muszę coś wyznać - stwierdził Hildor.

- Też chcesz odlecieć? Leć z nami!

- Nie. Mnie też należy się teraz trochę spokoju. Dowiedziałem się, dlaczego Borisov tak na was nastawał.

- To już nie ma znaczenia - stwierdził Kir - wszyscy tak uważamy - dodał.

- Chcę jednak żebyście wiedzieli. Pamiętasz Karpova i ten pucz z San Diego? Karpov zlikwidował nasze akta rządowe założone przez Howarda i w ich miejsce zostawił wiadomość, a właściwie postanie, do przyszłych pokoleń. Żeby was zlikwidować. W ten sposób chciał zniszczyć Borisova.

- Taak stwierdził Kir uśmiechając się. - Wszystko tu jest takie pomieszane. To przecież niczyja wina. Nikt nie mógł wiedzieć, że to robi.

- A jednak powinienem był się domyśleć.

- Gdyby nie on, to zrobiłby to ktoś inny. Nie dziś, to za sto lat. Ty nigdy nie oduczysz się myśleć kategoriami zwykłych ludzi. Dla nas ten problem istniałby na Ziemi przez kilkaset lat. Co za różnica, kto był tą siłą, która wywołała lawinę?

Hildor dopiero teraz uświadomił sobie, że dawno już stracił kontakt z nimi. Oni od lat żyli własnym życiem. I mieli własny rozum. Już nie potrafiłby im doradzać.

- Napijesz się ze mną? - zapytała Anna, która nie wiedzieć kiedy podeszła do nich. - Sonorov jest znów w formie, ale musisz na niego uważać. Bardzo to wszystko przeżywa.

Napiję się. A jakże - Hildor sięgnął po kieliszek i wychylił go duszkiem. - Za was wszystkich - powiedział i Kir bez pytania przesłał telepatycznie te życzenia do wszystkich.

- Co będzie z wami? - spytała Anna. - Ten służbista pewnie nie pomyślał o tym - dodała wskazując na Kira.

- Co ma być? - zdziwił się Hildor. - Będą chcieli nas jak najszybciej wyeliminować. Zbyt dużo wiemy, żeby taki Oconnor mógł na przykład spać spokojnie.

- To życzę im dużo szczęścia - Anna zaśmiała się na tę myśl. - Już kilku prezydentów tego chciało.

- Kto wie? Może nie będę się tak mocno bronił? - Hildor spojrzał w stronę Sonorova, który opowiadał pasowemu ze

zmieszania Petowi, w jaki sposób zyskał imię, ku ucieście wszystkich dookoła. - Razem z Karlem mamy już trochę dość tej nerwowej bieganiny. Stać nas na spokojne życie do śmierci. Jak to zauważyła słusznie pani Kristine, żona naszego prezydenta, jestem jednym z najbogatszych ludzi w Układzie.

- Naprawdę nie chcecie lecieć z nami? - zapytała. - Położymy was w hibernatorium w godzinę po starcie i obudzimy dopiero u celu. Nawet nie zauważycie, kiedy wam ten czas zleci. Dłuższa drzemka zawsze działa ożywczo na organizm.

- Mówiłem, że chcę mieć wreszcie trochę spokoju. Poza tym zostawiacie mi potomka. Ktoś musi się nim zająć.

- Gniewasz się? - Anna była gotowa wrócić na Ziemię i zmusić Alicję do usunięcia ciąży. Nawet gdyby tamta nie chciała.

- Dlaczego miałbym się gniewać? - zdziwił się Hildor. - Wymyśliliście to naprawdę doskonale. A ja z przyjemnością zajmę się dzieciakiem. Będę wreszcie dziadkiem, a nie tylko przyszywanym ojcem. Na starość ludzie mają najdziwniejsze pomysły.

- Pet przepisał na to dziecko swoje konto. W ogóle strasznie jest dziwny ostatnio.

- Może i on się zakochał, a raczej nie do końca odkochał - zauważył Hildor. - I wy powinniście poważnie pomyśleć o dzieciach. Sonorov, na mocy swoich specjalnych uprawnień, wysłał wam dwie skrzynie zabawek. W jednej umieścił nalepki: "od wujka Alfreda", a w drugiej "od wujka Karla". Kir kazał je postawić w specjalnym schowku magazynu, żeby nie uległy uszkodzeniu - Anna spojrzała nagle na Hildora poważnie. - Czy myślisz, że będę mogła mieć dzieci? - spytała tak spokojnie, że profesor aż przyciągnął ją do siebie ze wzruszenia i posadził na kolanach.

- Będziesz najlepszą ródką jaką kiedykolwiek zanotowały kroniki Ziemi. Jeżeli wiesz, kto ma być ojcem, to radzę ci już się do tego zabrać. W każdym razie zaraz po starcie.

- Alfredzie! Ale on nic o tym nie wie! - szepnęła mu do ucha i szybko pocałowała w policzek, zeskakując na podłogę. - Nie powinieneś dźwigać takich ciężarów. Zaczynam tyć.

Nawet Kir roześmiał się słysząc te słowa, a jego akurat zawsze trudno było rozbawić.

Wyszli z Sonorovem o ósmej rano następnego dnia. Rozstanie było niezwykle spokojne, choć obaj musieli się mocno brać w garść, żeby się nie rozkleić. Nawet Sonorov nie protestował, kiedy każdy z mutantów przekazywał im telepatycznie swoje pożegnanie. Zjechali windą w dół i trochę zbyt szybkim krokiem poszli do gabinetu generała Wolfa. Czekały ich ostatnie przygotowania do przyjęcia oficjalnych gości.

* * *

Ceremonia startu była skromna, choć uroczysta. Uczestniczyli w niej - nie ucząc pomniejszych gości - Oconnor z żoną i Borisov, wszyscy prezydenci regionalni, admirał Boko, Hildor i Sonorov. Szefem ceremonii został generał Wolf. Jego komandosi prezentowali się wspaniale, a eskadra trzech okrętów wojennych na godzinę przed startem ustawiła się nad bazą, żeby odprowadzić Feniksa do orbity Saturna. Zgodnie ze zwyczajem stamtąd rozpoczynał się zawsze właściwy lot. Jedynym odstępstwem od zwyczajów była załoga Feniksa, którą reprezentowała tylko trójka mutantów z Kirem Jenim na czele. Pozostałych dwoje, to byli Anna i Pet.

Wszyscy wysłuchali w skupieniu przemówienia Oconnora. Potem kilka słów powiedział Borisov. Wreszcie Bron podkreślił, że Flota uczyniła jak zwykle wszystko, co było w jej mocy, żeby i ta wyprawa mogła powrócić bez przeszkód.

To sformułowanie wywołało pewne szepty wśród osób towarzyszących i cień uśmiechu na ustach mutantów.

Na końcu Kir pożegnał się tradycyjnie z Ziemią, ale nikomu nie podziękował.

Kiedy znaleźli się u szczytu statku, tuż przed wejściem do śluzy, Sonorov i Hildor odebrali jeszcze raz ich pożegnanie i krótkie ostrzeżenie.

- Trzymajcie się - nadawał Kir. - Sprawdziliśmy ich myśli. Miałeś rację. Gdyby mogli, to rozszarpaliby nas na kawałki. Teraz mają zamiar skupić się na was. Oconnor jakby mniej. Bron najbardziej. Więcej nie możemy dla was nic zrobić.

Zniknęli w śluzie i od tej pory jedynym kanałem kontaktu z Feniksem było radio.

Sam start obserwowano w specjalnie przystosowanej sali. Feniks uniósł się powoli w górę i zaraz zniknął im z oczu, odzierając całą scenę z dramatyizmu. Jedyne komandosi strzegący Borisova nadali odrobinę prawdziwości tej scenie, bo po usłyszeniu komendy' start, ich dłonie delikatnie przesunęły się w stronę wiszących u boku laserów.

Prawdziwe dramaty miały się dopiero zacząć.

Dla wszystkich.

Warszawa, październik 1982 - grudzień 1984